Nawrocki po roku • Lody polskie • Szał wieczorów panieńskich • Gdynia UNESCO!
Marihuana prawie legalna • Tajemnice Gromdy • Jawność zarobków: będzie się działo

POLITYKA.PL

POLITYKA

Cena 16 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195
TYGODNIK, nr 32 (3576), 5.08–11.08.2026
USA 5 USD; WIELKA BRYTANIA 4 GBP; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO



Drużyna druha Mateusza

ISSN 0032-3500
Wydanie w sprzedaży do 11.08.2026

© SHUTTERSTOCK AI/LEL

ZAPRASZAMY NA OLIMP



W sprzedaży

116 stron

KUP TERAZ

Wydanie papierowe – w punktach sprzedaży prasy i na **sklep.polityka.pl**
Wydanie cyfrowe i audio – subskrypcja **polityka.pl/cyfrowa**
Podkast POLITYKA o historii – **polityka.pl/podkasty**
Newsletter historyczny – **polityka.pl/newslettery**

Na sklep.polityka.pl znajdziesz ponad 60 tytułów z serii Pomocnik Historyczny

eprasa.pl 7b9ca5e5e4



© AI/JM

40
Jawne wynagrodzenia: to się da zrobić?

Temat tygodnia

10 Wojciech Szacki
Grill u Morawieckiego

Polityka

14 Rafał Kalukin
Rok z Nawrockim
18 Ewa Siedlecka
Prokuratorzy kontra minister Żurek

Społeczeństwo

21 Agnieszka Sowa
Milionowe kontrakty i długi, czyli co się stało z polską służbą zdrowia
24 Katarzyna Kaczorowska
Moda na gorące wieczory panieńskie
27 Martyna Bunda
Kim jest najbogatszy Polak
30 Paweł Walewski **Legalna marihuana i prawna fikcja, którą uprawiamy**
33 Katarzyna Kaczorowska
Gromda atakuje
36 Natalia Sawka, fotografie Leszek Zych
Za kulisami Portu Polska, czyli jak się próbuje wysiedlić rolników z ich ziemi

Rynek

40 Zbigniew Borek **Co w praktyce oznacza jawność wynagrodzeń**
43 Cezary Kowanda **Lody polskie**

Świat

46 Timur Olevsky, Paweł Reszka
Zabójstwo rosyjskiego opozycjonisty – nowe fakty
49 Paulina Wilk INDIE **Ludowa Partia Karaluchów wychodzi na ulice**
52 Marcin Żyła **Europa płonie**

Nauka/projektpulsar.pl

56 Andrzej Hołdys
Czekając na zaćmienie
59 Rozmowa z prof. **Paulem Bloomem** o tym, czego naprawdę potrzeba nam do szczęścia
62 Archeolog, dr **Janusz Budziszewski**, o śladach zapisanych w górach

Historia

64 Marek Ledwosiński
Jak powstańcy styczniowi chcieli wywołać ogólnosyberyjską rebelię
67 Kinga Strzelecka-Pilch
Kim była Erika Mann

Kultura

74 Agnieszka Krzemińska
Gdynia się pnie – i dołącza do listy światowego dziedzictwa UNESCO
78 Aneta Kyzioł
Matt Damon: jak chłopak z sąsiedztwa został Odyseuszem
81 Reż. **Maciej Cuske** o „Kandydatach śmierci" i wzorcach męskości

Sport

84 Tomasz Zalewski
Chicagowski Lewandowski

Ludzie i style

93–97 • **Kompot w trendach**
• **Haaland w sieci**
• **Polityk na polu**
• **Kwiaty z mozzarellą**
• POCZTÓWKA POLITYKI
Malta przyciąga

Stałe rubryki

• **4** Przypisy • **6** Ludzie i wydarzenia • **70** Afisz • **87** Agata Passent • **88** Orliński • **89** Chutnik i Plebanek • **90** Hartman • **91** Mizerski • **91**, **98** Galeria POLITYKI • **92** Do i od redakcji • **98** To jeszcze nie koniec

OKŁADKA: © WOJCIECH LELIŃSKI/SHUTTERSTOCK/AI

eprasa.pl 7b9ca5e5e4



Dyspensa na grilla

Jerzy Baczyński

W piątek, w ostatnim dniu lipca, Mateusz Morawiecki i jego drużyna zorganizowali „piknik idei", pierwsze publiczne zgromadzenie członków i sympatyków stowarzyszenia Rozwój Plus. Było miło, nieformalnie (relacja Wojciecha Szackiego s. 10), pojawiło się parę nieoczywistych osób (Jan Rokita, Marek Jurek, Janina Goss), ale prawdziwe zainteresowanie – większe niż przewidywalne do bólu deklaracje programowe – wzbudziła informacja, że Morawiecki załatwił u biskupa dyspensę, czyli zgodę na spożywanie w postny piątek mięsa, bo kiełbasa i karkówka z grilla miały być ważną atrakcją pikniku. Wahającym się sugerowano, aby przed spożyciem karkówki „odmówili modlitwę w intencji Ojca Świętego". Tę dyspensę słusznie można uznać za symboliczny akt założycielski wyłaniającej się z podziału PiS nowej formacji. Nie chodzi tylko o specyficzne dla Morawieckiego łączenie „tradycji z nowoczesnością", patosu z kombinatorstwem – rzecz w tym, że Morawiecki od tygodni starał się u Kaczyńskiego o dyspensę, zgodę na grzech podziału PiS w imię przyszłego zwycięstwa. Wiele osób podejrzewa, że ta zgoda została w dyskrecji udzielona, a to, co obserwujemy teraz – czyli wzajemne ataki działaczy „starego i nowego PiS" – ma budować wiarygodność rozłamu. Ludzie od piaru, którzy stanowili zasadniczą część rządowej ekipy Morawieckiego, na pewno by taki scenariusz podpowiadali.

W sumie to mało ważne, czy Morawiecki z Kaczyńskim dogadali się w cztery oczy i oglądamy teraz spektakl z udziałem nie zawsze świadomych aktorów – dyspensa od Kaczyńskiego, wraz z rozgrzeszeniem, może przyjść w każdej chwili, jeszcze przed wyborami albo po. W zależności od sondaży oraz sukcesu lub porażki Morawieckiego w budowaniu „prawicowej Trzeciej Drogi". Bo nawet jeśli Morawieckiego pchała do rozłamu urażona ambicja (zwłaszcza po mianowaniu Przemysława Czarnka „przyszłym premierem PiS"), to przekonując Kaczyńskiego do kontrolowanego podziału partii, miał wiele racji, oczywiście z punktu widzenia czystej taktyki i manipulacji wyborcami. Znamy te argumenty: jeśli PiS, rywalizując z obiema Konfederacjami, przesuwa się coraz dalej na prawo, to opuszcza centrum, porzuca „normalsów". Więc kiedy „maślarze" będą gonić Brauna, „harcerze" powinni uprawiać pole środkowe, przyciągać liberałów od Mentzena, sieroty po Trzeciej Drodze, może łącznie z samym Hołownią, Pełczyńską-Nałęcz i częścią PSL; i ogólnie jakieś grupki wyborców znużonych duopolem Tusk–Kaczyński. Czyli: teraz się podzielimy (zadaniami), a później połączymy (w koalicję). Przy paroprocentowym wyniku drużyny Morawieckiego z takiej przyszłej prawicowej koalicji można by nawet usunąć niewygodnego antysemitę Brauna. Same korzyści.

Dokładnie ten scenariusz jest teraz realizowany. Pytanie, czy Morawiecki i jego ewentualna partia rzeczywiście przyciągną nowych centrowych wyborców, czy tylko podzielą się elektoratem i sondażami z PiS? To powinno być już wiadome późną jesienią, kiedy ustabilizują się porozłamowe sondaże. Na razie morawiecczycy ruszają w kraj z „ofensywą programową". I tu warto znów wrócić do symbolu grilla. Rozwój Plus to odgrzewany, odsmażany plan Morawieckiego z 2016 r.; niemal te same słowa, diagnozy, obietnice: wzrost demograficzny, innowacyjność, nowe technologie, wielkie inwestycje, sprawna administracja. Prezentacje w PowerPoincie, z których przez niemal siedem lat rządów Morawieckiego niemal nic nie zostało zrealizowane. Plan CPK czy samochodu elektrycznego Izera realizuje w okrojonej wersji obecna ekipa; inne ówczesne zapowiedzi wystarczy tylko przepakować, bo pozostały nietknięte. O Morawieckim pisaliśmy wielokrotnie jako o sprawnym opowiadaczu, bajarzu, wyćwiczonym w bankowości specjaliście od prezentacji i zagajania. Poglądy? Za czasów prezesowania w zagranicznym banku był liberałem i kosmopolitą, w rządzie PiS radykalnym prawicowcem, nacjonalistą i etatystą, wobec Brukseli – konformistą, wobec prezesa Kaczyńskiego – czołowym lizusem. W nowej wersji ma być (chyba?) konserwatywnym liderem postępu.

W 10-punktowym programie Rozwoju Plus jest jednak ważna polityczna nowość: otóż Morawiecki w drugim punkcie, zaraz po deklaracji miłości do ojczyzny, składa hołd Karolowi Nawrockiemu („Szanować prezydenta wybranego przez naród"). To tylko potwierdza, że na prawicy punktem orientacyjnym przestał już być Kaczyński. Po rozłamie w PiS do wyborów szykuje się już pięć prawic (PiS, Rozwój, Braun, dwuczłonowa Konfederacja) o różnym stopniu skłócenia. To Nawrocki, nie Kaczyński, będzie więc desygnował ewentualnego przyszłego premiera i patronował prawicowej rozczłonkowanej koalicji. Mija dokładnie rok od objęcia urzędu przez Nawrockiego (art. na s. 10). Człowiek praktycznie nieznany, który wcześniej nie pełnił żadnej wybieralnej funkcji, został od razu prezydentem kraju. I jeśli koalicja demokratyczna nie utrzyma władzy, to Nawrocki może się stać faktycznym jednoosobowym szefem władzy wykonawczej. Trudno sobie wyobrazić, aby ten polityczny radykał, narcyz i ideowy Konfederata zrobił z Morawieckiego premiera. Co najwyżej były premier może wrócić do funkcji, od której zaczynał swą rządową karierę: ministra ds. rozwoju, ściślej: propagandy rozwoju. Tak się układają strzałki w tych podchodach.

Rozłam w PiS to żaden polityczny przełom, ale też i sygnał dla rządzącej koalicji, że ruszyła kampania i jeśli prawica się dzieli, to po drugiej stronie czas pomyśleć o konsolidacji. I czas wyostrzać alternatywę: już nie Tusk kontra Kaczyński, ale cały obóz demokratyczny kontra nacjonalistyczna, antyunijna prawica pod patronatem Nawrockiego. Rzecz jasna z Morawieckim – już po dyspensie i rozgrzeszeniu.

eprasa.pl 7b9ca5e5e4

Albatros travel

Albatros 40 lat



Costa Dorada i piękna Katalonia

Wybierz się z nami na tygodniową wycieczkę do Hiszpanii, podczas której zwiedzimy Costa Dorada i Katalonię, od regionu winiarskiego Priorat po rzymską Tarragonę.

Podczas wycieczki zamieszkamy w 4-gwiazdkowym hotelu w nadmorskiej miejscowości Cambrils na Costa Dorada, zaledwie 150 m od morza. Zwiedzimy wpisaną na listę UNESCO Tarragonę, winiarski region Priorat z winnicą w Escaladei oraz malowniczą Siuranę. Dla chętnych przygotowaliśmy opcjonalne wycieczki do Barcelony, Montblanc i Reus. Będzie też czas na relaks przy basenie lub na plaży.

8 dni
Wylot z Warszawy
08/10 2026

od **4.498,-**

2 posiłki dziennie

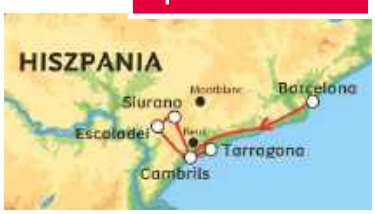



Słoneczny stan Floryda

11 dni słońca i gorącego lata w amerykańskim raju, na Florydzie, a także nieco historii i kultury oraz mnóstwo atrakcji i wakacyjnej atmosfery.

Wyrusz na słoneczną Florydę i odkryj jej największe atrakcje. Zwiedzisz Miami, klimatyczne Key West, Park Narodowy Everglades oraz zimową rezydencję Edisona. Odwiedzisz także St. Augustine i Kennedy Space Center, a chętni zanurkują z manatami w Crystal River. Wycieczka z polskim przewodnikiem odbywa się zimą, gdy na Florydzie panuje ciepła, słoneczna pogoda.



11 dni | Wylot z Warszawy 08/11 2026 | od **13.998,-**



Przedłużenie pobytu o 4 dni na plaży w Mui Ne

Zachwycający Wietnam

Wybierz się w podróż przez cały Wietnam i poznaj jego największe atrakcje od Zatoki Ha Long przez 4 najważniejsze miasta po Deltę rzeki Mekong.

Jednym z największych przeżyć będzie rejs po Zatoce Ha Long wśród 3000 wapiennych wysepek wpisanych na listę UNESCO. Odwiedzimy także 4 różnorodne miasta Wietnamu: historyczne Hanoi- stolicę kraju, urokliwe Hoi An, dawną cesarską stolicę Hué oraz nowoczesne Ho Chi Minh, skąd wyruszymy do tuneli Cu Chi i Delty Mekongu.



15 dni | Wyloty z Warszawy 19/10 2026
15/01, 10/02 2027 | od **9.998,-**

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **PL29**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl 7b9ca5e5e4

Krater w systemie



Dziesięciometrowy lej po uderzeniu rosyjskiego pocisku manewrującego w środku wakacji przypomniał Polakom, że Rosja nie ma urlopu od agresji, a wschodnia Polska sąsiaduje z frontem wojny powietrznej. Władimir Putin od tygodni bombarduje ukraińskie miasta rakietami balistycznymi, dronami i skrzydlatymi pociskami, takimi jak Ch-101. Było kwestią czasu, aż „coś" znowu do Polski wleci, gdy celem nalotu będzie Lwów czy Łuck. Wojsko było przygotowane i zastosowało procedury, wciąż niewojenne. Piloci myśliwców F-16 wysłanych na wschodnie rubieże mają prawo zestrzelić intruza po jego identyfikacji i ocenie, że użycie broni nie wyrządzi większych szkód niż upadek ściganego pocisku. Ryzyko unaocznił ubiegłoroczny incydent z Wyryk, gdy pocisk wystrzelony przeciwko rosyjskim dronom wbił się w dom, choć nie eksplodował.

Tym razem do użycia uzbrojenia nie doszło, bo rosyjski pocisk sam spadł na pole między Lublinem a Zamościem, z dala od zabudowań. Prawdopodobnie wybuchł, o czym świadczy zarejestrowana na monitoringu gospodarstw fala uderzeniowa, a także relacje okolicznych mieszkańców i wielkość powstałego krateru. Głowica Ch-101 potrafi zburzyć cały dom lub klatkę schodową bloku mieszkalnego – od tragedii było więc o włos. Ale od władz usłyszeliśmy – przewidywalnie – że system zadziałał. Mieszkańców Lublina i okolic o 3.50 w nocy zbudziły syreny alarmowe, tyle że wedle wojska pocisk przyziemił cztery minuty wcześniej. Alarm postawił ludzi na nogi, ale nie wiedzieli ani co się stało, ani co mają robić.

Przywoływany jako „biblia" bezpieczeństwa rządowy poradnik mówi, by po usłyszeniu syren włączyć telewizor lub radio i stosować się do komunikatów. Te jednak nie nadeszły. Radzi też, by w razie ataku z powietrza wziąć plecak ewakuacyjny, ukryć się w miejscu z grubymi ścianami bez okien lub paść na ziemię. Wskazówki ogólnie słuszne, ale nijak nieprzetrenowane o czwartej nad ranem. Rząd zapewnia, że z incydentu wyciągnie wnioski i RCB będzie od teraz lepiej wyjaśniać, co się dzieje – również poprzez aplikację mObywatel. Trudno nie mieć wrażenia, że instytucja niemal co dnia ostrzegająca przed burzami i upałem gorzej sobie radzi z zagrożeniami przez duże Z. Jeśli więc Rosja chciała sprawdzić polski system, to trafiła w jego słaby punkt. Przy okazji wywołała też polityczną reakcję łańcuchową, w której rosyjską rakietę bez wahania przyjęto do arsenału wojny polsko-polskiej. (MŚ)

Wyborcza jesień w Krakowie

Miały być najważniejszym politycznym wydarzeniem wakacji, staną się pierwszym znaczącym epizodem nowego sezonu politycznego. Przedterminowe wybory na prezydenta Krakowa odbędą się 27 września, premier Donald Tusk podpisał już odpowiednie rozporządzenie w tej sprawie. Data głosowania przesunęła się o ponad miesiąc ze względu na rozpatrywanie protestów po referendum odwoławczym.

Kampania za chwilę rozkręci się na dobre, przypomnijmy więc najważniejszych pretendentów i pretendentki. KO i PSL wystawiają Monikę Piątkowską, senatorkę i wieloletnią współpracowniczkę prezydenta Jacka Majchrowskiego. PiS postawił na radnego Michała Drewnickiego, którego poprą również rozłamowcy z Rozwoju Plus Mateusza Morawieckiego. Jako kandydat obywatelski wystartuje z kolei Jan Hoffman, lider inicjatywy referendalnej. Nowa Lewica wysyła do boju posłankę Darię Gosek-Popiołek, a Razem współprzewodniczącą partii Aleksandrę Owcę. Wciąż swojego startu nie ogłosił faworyt wyborów **Łukasz Gibała**, niezależny radny (kiedyś w PO i Ruchu Palikota), który w 2024 r. o włos



© PAP/WOJTEK JARGIŁO, X.COM/KPELCZYNSKA, PAP/LESZEK SZYMAŃSKI

przegrał w drugiej turze bój o prezydenturę z odwołanym w czerwcu Aleksandrem Miszalskim. Trudno sobie wyobrazić, żeby Gibała nie skorzystał z szansy, którą daje mu kryzys w krakowskiej KO i na pierwszy rzut oka niezbyt konkurencyjna stawka kontrkandydatów, więc można przypuszczać, że czeka tylko na dogodny moment, by dołączyć do wyścigu.

Interesujące, że zdjęcie z Gibałą opublikowała ostatnio w mediach społecznościowych liderka Polski 2050 **Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz**, co jest poszlaką, że jej formacja nie wystawi własnego kandydata w stolicy Małopolski. Co prawda partia Pełczyńskiej jest w takim stanie sondażowym, że jej ewentualne poparcie niewiele znaczy, ale dla Gibały może być w kampanii symbolicznym atutem jako przyczółek we władzach centralnych i rządowa sojuszniczka w ważnych dla Krakowa sprawach: ustawy metropolitalnej i ograniczenia najmu krótkoterminowego.

Zresztą politycy KO i PSL znacznie ułatwili Gibale zadanie, przez wiele dni broniąc z absurdalnym uporem wykastrowanej ustawy o najmie, który jest jednym z centralnych tematów zaprzątających myśli mieszkańców Krakowa. Ustawili tym samym własną kandydatkę Monikę Piątkowską w roli reprezentantki środowisk, którym bardziej zależy na interesach lobbystów, a nie pragnących spokoju zwykłych obywateli. Ostatecznie zainterweniował premier Tusk, zapowiadając poprawki, ale dla Koalicji i ludowców kampania już zaczęła się od falstartu, chociaż formalnie jeszcze jej nie ma. (M.DAN)

eprasa.pl 7b9ca5e5e4

Nowa Trzecia Droga



Antoni Dudek

Politolog i historyk, profesor nauk humanistycznych; prowadzi na YouTube autorski kanał Dudek o Historii

Z chwilą rozłamu w PiS pojawiła się hipoteza, że mamy do czynienia z tzw. ustawką, czyli wyreżyserowanym wspólnie przez Jarosława Kaczyńskiego i Mateusza Morawieckiego przedstawieniem, którego celem jest pozyskanie przed przyszłorocznymi wyborami centrowo nastawionych wyborców. Stowarzyszenie Rozwój Plus, które za kilka miesięcy przekształci się w partię, po wejściu do kolejnego Sejmu powróci do macierzystej formacji, jak niegdyś Zbigniew Ziobro i jego kompani. Na poziomie typowym dla fanów słabych politycznych thrillerów taki scenariusz wygląda atrakcyjnie, bo w nich zawsze takie makiaweliczne plany się udają, pozostawiając najbardziej naiwnych widzów w podziwie nad przebiegłością ich autorów.

W rzeczywistości jednak może być też i tak, że Rozwój Plus odbierze PiS zaledwie 2–3 proc. głosów, ale w konsekwencji tego pozornie niewielkiego uszczerbku partia Kaczyńskiego zostanie na ostatniej przedwyborczej prostej dogoniona i przegoniona przez Konfederację. A to byłby dla PiS koniec marzeń o fotelu premiera i odgrywaniu w prawicowej koalicji dominującej roli. Pierwsze sondaże po rozłamie, dające formacji Morawieckiego ok. 7 proc., traktowałbym z dużą rezerwą. Bo na polskim rynku politycznym każda nowa oferta, byle tylko firmowana przez osobę powszechnie znaną, dostaje na starcie rodzaj sondażowego kredytu. Udziela go – jak wynika z wielu badań – nawet kilkanaście procent wyborców, zwykle tych najsłabiej zainteresowanych polityką, którzy szukają wciąż nowej oferty. Dlatego z realną oceną potencjału wyborczego Rozwoju Plus poczekałbym do jesiennych sondaży, kiedy będzie też wiadomo, czy – w ślad za 40 parlamentarzystami – za Morawieckim pójdzie proporcjonalna część działaczy PiS w terenie.

Trzeba też pamiętać, że ten sondażowy kredyt dla debiutantów jest krótkoterminowy i wysoko oprocentowany. Morawiecki ma akurat z czego finansować wysokie koszty budowy struktur partyjnych, o ile oczywiście zaangażuje do tego osobisty majątek. Ale do stworzenia nowej, tym razem wychylonej w prawo, Trzeciej Drogi, nie wystarczą ani duże pieniądze, ani nawet część pisowskiego aparatu. Potrzebni będą jeszcze sojusznicy, nawet niezbyt silni, ale na tyle rozpoznawalni i skuteczni medialnie, aby przekonać wyborców niezadowolonych z dotychczasowej oferty partyjnej, że Rozwój Plus to coś więcej niż PiS-bis. Morawiecki chyba dostrzega ten problem, dlatego już na swoją pierwszą imprezę, zorganizowaną w ostatnim dniu lipca, zaprosił ludzi niekojarzonych dotąd z PiS. Najpewniej na zapowiedzianej na połowę października konwencji będzie ich jeszcze więcej. I to właśnie oni mogą przesądzić o wyborczym wyniku R+ jesienią 2027 r. Tak właśnie stało się w 2023 r., gdy stary PSL połączył siły z nową Polską 2050, budując ofertę atrakcyjną dla tych Polaków, którzy nie chcieli głosować ani na prawicę, ani na KO.

Jednak ci ostatni wciąż jeszcze mogą dostać ofertę z innej strony. Ofertę pozbawioną pisowskiej genealogii, której Morawiecki nie tylko nie próbuje (na razie) się pozbyć, ale wydaje się z niej wręcz dumny. Pytanie, czy ją dostaną, wciąż pozostaje otwarte.

Cud na eksport



Polska jest krajem pięknym i bezpiecznym, Polacy zaś są gościnni, serdeczni i przedsiębiorczy, trzeba tylko w tej kwestii uświadomić zagranicę. Od teraz będzie się tym zajmować rządowa pełnomocniczka ds. promocji Polski **Barbara Mróz-Gorgoń**. To profesor Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu, szefowa fundacji Marka Polska Think Tank i specjalistka, wedle oficjalnych biogramów, od marketingu, strategii rozwoju oraz komunikacji. Stanowisko pełnomocniczki rządu pani profesor poprzedziła doradzaniem nieoficjalnym. Najwidoczniej sobie poradziła, gdyż premier Tusk uznał, że wysiłki w celu promocji trzeba pod jej okiem skoordynować i ujednolicić.

Na konferencji prasowej, podczas której poinformowano o utworzeniu stanowiska, premier ubolewał, że Szwajcaria kojarzy się z zegarkami, natomiast Polska takiego nośnika pozytywnych wrażeń nie ma. I dodawał, że Polska jest cudem, z czego sobie jednak świat nie zdaje sprawy. Niestety nie powiedział, czym będą mierzone efekty działań nowej pełnomocniczki. Poprzestał na oczekiwaniach zwiększenia zagranicznego ruchu turystycznego i importu inwestycji, do czego obecnie wedle premiera rząd musi firmy zmuszać, a chodzi o to, żeby same chciały. Mróz-Gorgoń ochoczo podchwyciła narrację o cudzie Polska, a swoje zadanie określiła jako „trwałe zarządzanie reputacją naszego wspaniałego kraju".

Można odnieść wrażenie, że odpowiedzialna za koordynację promocji pełnomocniczka rządu będzie zajmowała się mniej więcej tym, czym powołana w czasach PiS Polska Fundacja Narodowa. Przy okazji wątpliwych inicjatyw typu: kupno jachtu (który miał w dalekich portach reklamować Polskę, ale pływał od awarii do awarii), ówczesna PFN zajmowała się obrzydzaniem przeciwników politycznych Zjednoczonej Prawicy – co zresztą niedawno skończyło się zatrzymaniem byłych członków zarządu PFN: Macieja Ś. i Cezarego J. Zarzucono im wyrządzenie fundacji szkody w wysokości 8 mln zł na skutek realizowania kampanii Sprawiedliwe Sądy. Co ciekawe, PFN wciąż prowadzi działalność – promując polskie produkty i ich twórców podczas zagranicznych targów, konferencji i imprez kulturalnych. Zlikwidować jej nie można, gdyż wówczas nie byłoby od kogo domagać się roztrwonionych za czasów PiS milionów. Funkcjonowanie PFN pochłania rocznie 9 mln zł, a z założonego budżetu w wysokości 49 mln zł dysponuje niespełna połową, bo część fundatorów, spółek Skarbu Państwa, odmówiła jej finansowania. (MP)

eprasa.pl 7b9ca5e5e4



Szturm na Ceutę

Jeśli wierzyć hiszpańskiej opozycji i przywódcom państw członkowskich Unii Europejskiej, to winny gwałtownego kryzysu migracyjnego w Ceucie jest premier Hiszpanii Pedro Sánchez. Jak zwykle w takich przypadkach sytuacja wydaje się bardziej złożona. Ceuta to 80-tysięczne portowe miasto na północy Afryki. Jako część Hiszpanii należy do UE. Pozostaje jednak poza strefą Schengen. Graniczy tylko z Marokiem. Ośmiokilometrowy odcinek granicy, wzmocniony m.in. systemem równoległych ogrodzeń, w tym wysokimi na sześć metrów płotami, należy do najpilniej strzeżonych w Unii. Są też zabezpieczenia od strony morza. Mimo tych utrudnień w ostatni czwartek i piątek lipca na terytorium Ceuty lądem i morzem przedostało się ponad 50 tys. osób, w większości młodzi mężczyźni i obywatele marokańscy. Wśród migrantów były również kobiety i nieletni, także z innych stron świata, głównie z Afryki.

Z Ceuty słano raporty o dynamicznym wzroście nieregularnych przekroczeń w drugiej połowie lipca, ale w Madrycie, zajętym gaszeniem płonących lasów, nie czytano ich z uwagą. Również władze Maroka nie podnosiły alarmu. Dostrzegły duże grupy po swojej stronie. Znały plotkę, jakoby Hiszpania tak zmieniła prawo, że kto przypłynie do Ceuty, nie zostanie z niej natychmiast wyrzucony. Chętni podjeżdżali więc do granicy, na kilka minut wchodzili do morza i wychodzili po hiszpańskiej stronie. Utonęły dziesiątki – wskutek fal, silnych prądów i niskiej temperatury wody. Swoje robiły ścisk, wyczerpanie i uderzenia o skały. Do niedzieli 48,3 tys. migrantów opuściło Ceutę. Nie dostali tam wody, jedzenia ani schronienia. Ci, którzy pozostali, koczowali na plażach. Nikt nie wjechał do kontynentalnej Hiszpanii.

Oskarżenia lewicowego premiera Sáncheza o to, że swoją polityką migracyjną, bardziej humanitarną niż europejska średnia, „sprzyja inwazji" (to hiszpańska opozycja) i „podważa bezpieczeństwo granic", podtrzymali przywódcy 22 państw, w tym Polski, którzy – z obawy przed reakcją własnych wyborców lub w zgodzie ze swoimi prawicowymi przekonaniami – podpisali się pod wspólnym listem. Najdalej poszły Włochy, które w kontaktach z Hiszpanią ograniczyły swobody wynikające ze strefy Schengen. Sam Sánchez postawił się w roli podwójnie poszkodowanego. I przez sam kryzys (a w tle są jeszcze marokańskie roszczenia do Ceuty jako terytorium okupowanego przez Hiszpanię), i przez resztę Unii, która z asekuranctwa czy chęci podsycania europejskich lęków nie wykazała się niezbędną w takich przypadkach solidarnością. JW

Pokój zawieszony w Gazie

Po kilkunastu tygodniach relatywnego spokoju przez cały ostatni weekend izraelskie lotnictwo atakowało cele w Strefie Gazy. Wszystkie one miały być związane z Hamasem, choć ucierpiały m.in. medyczne magazyny Szpitala Męczenników Al-Aksa, a także namiotowy obóz uchodźców. Według palestyńskich źródeł od piątku w Strefie Gazy zginęło co najmniej 19 osób.

Izraelskie ataki, to – jak się wydaje – oryginalna reakcja na kolejny sukces odtrąbiony przez Donalda Trumpa. W czwartek 30 lipca prezydent Stanów Zjednoczonych i powołana przez niego Rada Pokoju ogłosili porozumienie w sprawie następnego etapu zawieszenia broni w Strefie Gazy. Po rozmowach w Kairze Hamas miał zaakceptować szczegółowy plan rozbrojenia, który przewiduje m.in. stopniowe oddawanie broni pod kontrolę Rady Pokoju przy jednoczesnym i też stopniowym wycofywaniu izraelskich wojsk ze Strefy Gazy.

Z pierwszych reakcji Izraela wynikało, że nie był uprzedzony o tym nowym etapie. Tym bardziej że zasadniczo zmienia on zasady zawieszenia broni z października 2025 r. Po pierwsze, dotychczas miała obowiązywać zasada: najpierw rozbrojenie Hamasu, potem ewentualna ewakuacja sił izraelskich – teraz Amerykanie mówią o równoczesnym procesie. Po drugie, Biały Dom opowiada się dziś za „oddaniem" hamasowskiej broni, a nie jej zniszczeniem, oraz za kontrolą nad tym procesem ze strony Kataru i Turcji, na co wcześniej Izrael nie wyrażał zgody. I po trzecie, Izrael domaga się permanentnego prawa do interwencji w Gazie, o którym nowe porozumienie Trumpa nie wspomina.

Po zeszłorocznym zawieszeniu broni kryzys w Strefie Gazy wcale nie uległ zawieszeniu. Dostawy żywności i leków wciąż są limitowane przez Izrael, który dodatkowo krok po kroku przesuwa tzw. żółtą linię oddzielającą izraelską strefę okupacyjną (pierwotnie obejmowała 45 proc. Strefy Gazy, dziś dochodzi do 70 proc.) od terenów pod palestyńską kontrolą, a od października zginęły tu już 1222 osoby (dane palestyńskie). Te działania wpisują się w schemat znany z Libanu, gdzie mimo kolejnych zawieszeń broni od 2024 r. Izrael regularnie „strzyże" swoich przeciwników, nie zważając na wcześniejsze porozumienia i presję międzynarodową. Najnowszy pomysł Trumpa spotkał się z ostrą reakcją skrajnie prawicowych koalicjantów premiera Beniamina Netanjahu. Minister bezpieczeństwa narodowego Itamar Ben-Gwir oświadczył: „Zabójstwa w Gazie muszą być kontynuowane. Izrael musi wygrać". ŁW

eprasa.pl 7b9ca5e5e4

Może Grynspan, raczej nie Infantino



Wybór nowego sekretarza generalnego ONZ bierze na siebie Rada Bezpieczeństwa: pięciu stałych członków i dziesięciu rotacyjnych, wyłanianych na dwa lata. Druga kadencja Portugalczyka Antónia Guterresa upływa w styczniu i właśnie rozpoczął się wyścig. Wśród siedmiorga kandydatów (zgłaszają państwa, niekoniecznie ich ojczyste) niespodziewanie na czoło wysunęła się **Rebeca Grynspan**, była wiceprezydentka Kostaryki. We wstępnym głosowaniu, rozeznającym sytuację i ewentualne kłopoty (tajnym, ale wyniki szybko wyciekły), dostała dziesięć głosów za i jeden przeciw. To nadzwyczajna zgodność jak na dzisiejsze światowe podziały. Druga w kolejności Carolyn Rodrigues, była ministra spraw zagranicznych Gujany (dziewięć za i dwa przeciw), też osiągnęła zachęcający wynik. A za nią – faworyzowany szef Międzynarodowej Agencji Atomowej Argentyńczyk Rafael Grossi (siedem do dwóch).

Z niepisanej zasady rotacji wynikałoby, że kolej na kandydata z Ameryki Łacińskiej, są też silne naciski, żeby wreszcie na czele ONZ stanęła kobieta. Schody zaczną się w kolejnych turach głosowania, kiedy stali członkowie (Chiny, Francja, Rosja, USA i Wielka Brytania) będą mieć prawo weta, które obala każdą kandydaturę. Wtedy zaczynają się targi wielkiej piątki, nieskłonnej do zgody w obecnych warunkach. Za kulisami głośno było, że Donald Trump będzie torpedować wybór sekretarza generalnego ONZ, bo pogardza tą instytucją. Za sprawą dziennika „New York Post" pojawiły się spekulacje, że najchętniej widziałby tu Gianniego Infantino. Co mało prawdopodobne – pomijając meritum, byłaby to też dla niego wielka degradacja finansowa (szef FIFA zarabia 4,6 mln dol. rocznie, szef ONZ – 480 tys. dol.).

Niby jeszcze wszystko jest możliwe, nawet nowe, kompromisowe kandydatury, ale znawcy tematu są zdania, że Grynspan ma silną pozycję. Jej rodzicami byli pochodzący z Polski Żydzi (spotkali się na Cyprze, internowani przez Brytyjczyków po nieudanej podróży do Palestyny, ostatecznie osiedli w Kostaryce). Ma 70 lat, jest ekonomistką z wykształcenia, z doświadczeniem w polityce, a ostatnie 20 lat spędziła w instytucjach międzynarodowych, ostatnio na czele oenzetowskiej Agencji ds. Handlu i Rozwoju (to ona w 2022 r. przełamała impas między Rosją a Ukrainą w sprawie zboża i nawozów, była też bardzo zaangażowana w sytuację w Strefie Gazy). Do wyboru potrzeba co najmniej dziewięciu głosów Rady Bezpieczeństwa, takiego kandydata akceptują potem bez szemrania 193 państwa członkowskie; tak przynajmniej było do tej pory. Nominat zastanie istniejącą od 80 lat organizację w stanie krytycznym, z podkopanym autorytetem i ze wszystkimi możliwymi dolegliwościami. Niewątpliwie potrzeba na to stanowisko optymisty. WP

Khan zdymisjonowany



Państwa członkowskie Międzynarodowego Trybunału Karnego dużą większością głosów usunęły **Karima Khana** ze stanowiska głównego prokuratora tego organu. Khan mierzy się z zarzutami nękania seksualnego, a nawet przypadków gwałtu na pracownicy Trybunału. Prokurator zaprzecza zarzutom; twierdzi, że to intryga zmontowana przeciw niemu z zemsty za ściganie, które wdrożył wobec osobistości izraelskich. Decyzja nie przesądza o jego winie. Jest tylko wyrazem przekonania 82 państw, że na tak eksponowanym stanowisku powinien być ktoś poza wszelkim podejrzeniem, gdyż inaczej uwaga opinii publicznej zboczy z merytorycznej pracy Trybunału na sensacje obyczajowe.

Jednak po usunięciu Khana MTK i tak pozostanie w znacznej mierze sparaliżowany. Stany Zjednoczone w ogóle nie przystąpiły do Trybunału z obawy, że amerykańscy obywatele mogliby być sądzeni przez zagraniczne sądy. Ostatnio Waszyngton zapowiedział, że będzie demontować Trybunał „cegła po cegle"; zablokował też wszelkie transakcje finansowe urzędników MTK, odmawiając im także wiz. Była to reakcja na decyzję prokuratora o ściganiu premiera Izraela Beniamina Netanjahu za zbrodnie wojenne. Administracja Donalda Trumpa była oburzona takim oskarżeniem sojusznika i publicznie zdezawuowała Trybunał. Nieliczne tylko głosy odzywają się w jego obronie. Wcześniej, w marcu 2023 r., MTK wydał nakaz aresztowania Władimira Putina, zarzucając mu odpowiedzialność za zbrodnie wojenne w Ukrainie. Wtedy duża część opinii międzynarodowej odnosiła się krytycznie do USA za to, że przyjmowały z honorami tego oskarżonego na swym terytorium.

Powołanie nowego prokuratora zajmie czas, gdyż wymaga decyzji 124 państw, a zresztą obecna sytuacja potwierdza bezsilność Trybunału w wykonywaniu nakazów aresztowania. W przeciwieństwie do systemów na poziomie krajowym MTK – podobnie jak inne międzynarodowe sądy – nie dysponuje własną policją, żeby doprowadzić oskarżonych do Hagi przed oblicze sędziów. W wielu sprawach Trybunał latami czeka na wykonanie nakazów wydanych wobec sprawców rozlicznych rzezi i gwałtów czy zbrodni wojennych, co na pewno obniża jego prestiż. Potwierdza się pogląd, że pod sąd trafiają najwyżej płotki z mniej eksponowanych krajów, nie zaś grube ryby chronione przez możnych protektorów. MO

eprasa.pl 7b9ca5e5e4



Grill Morawieckiego w Małej Warszawie na Pradze Północ

Podchody Morawieckiego

Mateusz Morawiecki wyciągnął z PiS prawie jedną czwartą klubu, ale wciąż nie do końca wiadomo dlaczego, po co i co z tego wyniknie. Czy na te pytania odpowiedziała konwencja Rozwoju Plus w Warszawie, czyli grill Morawieckiego?

WOJCIECH SZACKI

Wciąż nie padła deklaracja o budowie partii, na razie nie widać też specjalnie różnic programowych między starym a nowym PiS; bardzo podobna impreza – pewnie z wyłączeniem panelu z udziałem lewicowców, choć i tam pojawiały się pochwały dla PiS – mogłaby się odbyć pod szyldem partii Jarosława Kaczyńskiego.

W upalny piątek 31 lipca przez Małą Warszawę na Pradze Północ przewinęło się około tysiąca osób zainteresowanych inicjatywą byłego premiera. Organizatorzy dostali od Kościoła dyspensę, dzięki której wierni mogli bezgrzesznie i bezpłatnie raczyć się kiełbasą i karkówką. Dla najmłodszych wystawiono dmuchańca, starsi mogli pograć w badmintona, ping ponga lub porzucać rzutkami. Koszulki z logo Rozwoju Plus kosztowały sto złotych, darmowe były raporty o demografii i migracji.

Wolontariusze Stołecznej Operacji Referendalnej zbierali podpisy pod wnioskiem o referendum w sprawie odwołania prezydenta Warszawy Rafała Trzaskowskiego, jednak bez spektakularnych sukcesów, bo wśród uczestników przeważały osoby

© ADAM BURAKOWSKI/EAST NEWS

eprasa.pl 7b9ca5e5e4

spoza Warszawy. Z Końskich przyjechała np. grupka członków stowarzyszenia Republika Konecka, którzy dotychczas sympatyzowali z PiS, ale w Morawieckim widzą „energię i coś nowego". Student z Gdańska wizytujący akurat stolicę przyszedł z ciekawości, ale nie wykluczał, że może się zaangażować.

Dwóch młodych warszawskich radnych dzielnicowych – z komitetu Projekt Ursynów – mówiło, że widzi w Morawieckim kogoś, kto osłabi duopol PiS i KO.

Notatki z konferencji dla Krzysztofa Bosaka z Konfederacji robił jego współpracownik Tomasz Warowny, swoich agentów wśród uczestników z pewnością miał też PiS. Z ciekawości przyszedł poseł niezrzeszony – wybrany z list KO – Marcin Józefaciuk. Wpadł wiceprezes Forum Obywatelskiego Rozwoju Marek Tatała. Licznie reprezentowana była bańka prawicowych think tanków.

Większość publiczności stanowili jednak zapewne działacze PiS, obecnie na wylocie z partii lub już z niej wyrzuceni. Morawiecki demonstracyjnie przywitał się z Janiną Goss, niegdyś przyjaciółką Kaczyńskiego i szarą eminencją PiS. Imprezę odwiedziła także Sylwia Sobolewska, żona posła PiS Krzysztofa Sobolewskiego, znana z peregrynacji po radach nadzorczych różnych spółek za rządów Zjednoczonej Prawicy.

Było również sporo młodych osób – radnych, działaczy młodzieżówki PiS czy po prostu ludzi, których ruch Morawieckiego zaintrygował na tyle, by w środku wakacji wypełnić zgłoszenie do „laboratorium nowych idei", jak skromnie nazwał tę konferencję ekspremier.

Zabrakło treści

Lider Rozwoju Plus pokazał się w stroju nieformalnym – sportowych butach, dżinsach i koszuli bez krawata. „Jeśli zgromadziła was tutaj wiara w Polskę, to jesteście we właściwym miejscu. Rozwój Plus jest dla was właściwym miejscem. Wkroczyliśmy na nowe tory, na nową drogę i będziemy nią szli odważnie. Polska musi wkraczać na nowe ścieżki, bo świat, który do tej pory znaliśmy, odchodzi w przeszłość. Musimy wytyczyć drogę w przyszłość. Do tego potrzebna jest odwaga. Polska wtedy odnosiła sukces, kiedy była odważna" – przywitał zgromadzonych. Długo wymieniał przykłady odwagi z mniej lub bardziej odległej historii – od Grunwaldu, przez dokonania polskich naukowców, aż po powstanie warszawskie i Solidarność.

Parę godzin później Morawiecki wystąpił ponownie. Opowiedział się za rozmontowaniem dziedzictwa Okrągłego Stołu, krytykował „tuskizm" i zapowiedział duże wydarzenie Rozwoju Plus na 15 października, w trzecią rocznicę ostatnich wyborów do Sejmu.

W żadnym z tych przemówień – poza nielicznymi aluzjami – Morawiecki nie odniósł się w zasadzie do PiS, Kaczyńskiego i rozłamu na prawicy, którego jest uczestnikiem. Nie zdefiniował też własnej roli, nie zapowiedział budowy partii ani wystawienia list wyborczych; okrzyki „zwyciężymy!", skandowane umiarkowanie głośno przez część publiczności, wybrzmiewały więc w znaczeniowej próżni.

Panele dyskusyjne – o sytuacji prawicy, demografii, rozwoju i przyszłości Polski – miały swoje lepsze i gorsze momenty, ale ich wspólnym mankamentem było niedookreślenie: dla publiczności niezbyt czytelne było, czy rzucane ze scen pomysły były indywidualne, czy też miały stanowić zalążek programu Rozwoju Plus. – *Jeśli ja wynudziłem się jako uczestnik, to co mają powiedzieć słuchacze* – kpił jeden z dyskutantów.

Morawiecki ściągnął do Małej Warszawy w roli prelegentów m.in. byłego marszałka Sejmu Marka Jurka (skądinąd też weterana rozłamu w PiS), publicystę Bronisława Wildsteina, byłego posła Konfederacji Roberta Winnickiego, byłego europosła PO Bogusława Sonika, lewicową posłankę niezrzeszoną Paulinę Matysiak, publicystę Rafała Wosia, byłego szefa Sztabu Generalnego WP Rajmunda Andrzejczaka (bardzo nielubianego w PiS) i publicystę Jana Rokitę. Ten ostatni wszedł w ostrą polemikę z dominującym ostatnio na prawicy myśleniem o Ukrainie – dowodził, że Polska musi ją wspierać w imię racji stanu niezależnie od tego, jakich bohaterów Ukraińcy biorą na sztandary i bez względu na to, jak bardzo Ukraina jest skorumpowana.

Gościem zagranicznym był legendarny szachista i przeciwnik Władimira Putina Garri Kasparow, z którym rozmowę poprowadził były minister cyfryzacji Janusz Cieszyński. Zresztą politycy Rozwoju Plus – poza Morawieckim – nie byli na pierwszym planie, raczej moderowali dyskusje, niż przedstawiali własne poglądy.

Niesłychanie aktywnie promowali za to wyroby Fundacji Polskiej Białej Gęsi, która miała swoje komercyjne stoisko w części grillowej. – *Dobrze wysmażony drób to podstawa naszego sukcesu* – żartował nasz rozmówca, co po poście z tym cytatem na platformie X rozzłościło polityków PiS, choć na imprezie Morawieckiego kaczki nie serwowano.

Serię wywiadów z posłami przeprowadził były minister rolnictwa Grzegorz Puda, dopytując o doświadczenia z gęsiną, nietypowe zastosowania gęsiego smalcu czy skład czerniny oraz zachęcając do kupna pierogów i kaszanki. Trwało to dłużej niż blok reklamowy w Polsacie i wyglądało jak spłacanie jakichś zobowiązań – ale źródła finansowania imprezy są na razie niejawne. – *Dobrzy ludzi pomogli* – ucina dyskusję jeden z posłów. Morawiecki powiedział, że grill sfinansowały składki członków stowarzyszenia.

Morawiecki i jego byli

Warszawska impreza odbyła się tuż po sformowaniu klubu parlamentarnego Rozwój Plus. Na liście stronników byłego premiera w ostatnich dniach zaszły kosmetyczne zmiany. PiS odbił Morawieckiemu Grzegorza Lorka (okręg piotrkowski), a Rozwój Plus odbił Kaczyńskiemu Piotra Uścińskiego (tzw. obwarzanek warszawski) i Szymona Giżyńskiego (okręg częstochowski). Klub w momencie pisania tego tekstu liczył 41 posłów i jednego senatora (były wiceminister nauki Włodzimierz Bernacki). Przewodniczącym został sam Morawiecki, jego zastępcą – były minister w kancelarii premiera Łukasz Schreiber.

Co zabawne, PiS do końca lipca nie wydał komunikatu o wykluczeniu secesjonistów z partii; 1 sierpnia na partyjnej stronie internetowej Morawiecki wciąż widniał jako jeden z wiceprezesów ugrupowania.

Trzon klubu Rozwoju Plus tworzą byli ministrowie i wiceministrowie rządu Morawieckiego. Cieszyński (rocznik 1988) to były wiceminister zdrowia, bohater wielu publikacji o tzw. aferze maseczkowej (rok temu sąd prawomocnie umorzył śledztwo w tej sprawie) i jeden z najsprawniejszych medialnie akolitów Morawieckiego. Prywatnie – mąż Wandy Buk, doradczyni Karola Nawrockiego.

Marcin Horała (1981 r.) był wiceministrem funduszy, a rozpoznawalność zdobył jako twarz projektu budowy Centralnego Portu Komunikacyjnego. W trakcie rozłamu był jednym z najostrzej walczących z politykami PiS, ścierał się m.in. z także ▶

eprasa.pl 7b9ca5e5e4

▶ pochodzącym z Pomorza posłem Kacprem Płażyńskim, który w końcu zagroził mu pozwem.

Krzysztof Szczucki (1986 r.) to były szef Rządowego Centrum Legislacji i minister edukacji w epizodycznym rządzie Morawieckiego po wyborach 2023 r. Prokuratura zarzuca mu, że w kampanii zatrudnił w RCL fikcyjnie (choć za prawdziwe pieniądze) sześć osób, których jedynym zadaniem była pomoc w indywidualnej kampanii Szczuckiego w jego toruńskim okręgu. Poseł nie przyznaje się do winy, sam zrzekł się immunitetu. Szczucki podpadł Kaczyńskiemu jeszcze przed rozłamem, bo wbrew linii PiS powiedział, że Nawrocki powinien przyjąć ślubowanie od wszystkich wybranych przez Sejm sędziów Trybunału Konstytucyjnego.

Paweł Jabłoński (1986 r.) i Szymon Szynkowski vel Sęk (1982 r.) to dwaj byli wiceministrowie w MSZ. Olgę Semeniuk-Patkowską (1988 r.) do dużej polityki wciągnął Michał Dworczyk; w rządzie Morawieckiego była wiceministerką rozwoju. Jej mąż – były wiceminister finansów Piotr Patkowski od niedawna zasiada w prezydenckiej radzie gospodarczej.

Ministerką bez teki była Agnieszka Ścigaj (1975 r.), Krzysztof Kubów (1984 r.) to były szef gabinetu premiera, Ireneusz Zyska (1969 r.) – były wiceminister klimatu, a Marzena Machałek (1960 r.) – była wiceministerka edukacji. Dwa lata w rządzie – w roli ministra bez teki – zaliczył wywodzący się z partii Jarosława Gowina Michał Cieślak (1974 r.), który stracił funkcję, gdy po awanturze na poczcie złożył donos na pracowniczkę, a kobiecie groziło zwolnienie.

W klubie Rozwój Plus odnajdujemy także byłego szefa klubu PiS Ryszarda Terleckiego, byłą kandydatkę na prezydentkę Wrocławia Mirosławę Stachowiak-Różecką czy Krzysztofa Lipca. Jest też niedawny kandydat na prezydenta Marek Jakubiak, przedsiębiorca i jeden z najbogatszych posłów.

Teza o tym, że stronnicy Morawieckiego byli marginalizowani w PiS, znajduje potwierdzenie w faktach. Wśród polityków Rozwoju Plus nie ma ani jednego przewodniczącego sejmowych komisji, tylko czworo z nich zasiadało w liczącym ponad 50 osób komitecie politycznym partii, czterej byli też szefami struktur okręgowych (na 41 okręgów).

Obraz najbliższego zaplecza Morawieckiego byłby niepełny bez europosłów. To także weterani jego rządów: Dworczyk (były szef kancelarii premiera, oskarżony w tzw. aferze mailowej), Piotr Müller (były rzecznik rządu) i Waldemar Buda (były minister rozwoju).

Gdy te wszystkie nazwiska nałożymy na mapę, możemy ujrzeć zarówno siłę, jak i słabość. W części okręgów Rozwój Plus ma więcej niż jednego posła (a bywa, że i trzech), w niektórych – żadnego. Interesujący jest przykład okręgu wałbrzyskiego, gdzie Rozwój Plus ma trzech posłów, a przy poparciu poniżej 10 proc. – praktycznie zerowe szanse na choćby jeden mandat.

PiS z Temu

Wciąż nie wiadomo, jak wielka wyrwa powstanie w PiS po rozłamie. Na grillu u Morawieckiego byli pisowscy radni z różnych regionów, ale informacji o transferach nie ma. Na poziomie lokalnym rządzi inna logika niż w Sejmie, odleglejszy jest też horyzont najbliższych wyborów (wiosna 2029 r.). Samorządowcy nie będą się pewnie spieszyli z odejściem z PiS, choć – zwłaszcza w niektórych regionach – zmiany zobaczymy. W powiatach, radach miejskich, części gmin powstaną pewnie kluby radnych Rozwoju Plus, zwłaszcza jeśli Morawiecki pójdzie krok dalej i zacznie budować partię. Potencjalnym zasobem są także radni i burmistrzowie niezrzeszeni, o prawicowych poglądach, którzy na jakimś etapie porzucili szyld PiS, np. w wyniku konfliktu z lokalnymi strukturami.

Nasi rozmówcy z warszawskiej imprezy Rozwoju Plus – w tym radny małego miasta z północy Polski – narzekali, że PiS jest skostniały, a władze na różnych szczeblach dbają głównie o to, by nikt im nie zagroził. – *Moja deklaracja o wstąpieniu do PiS trzy lata czekała na rozpatrzenie. Dla szefa partii w powiecie przyjęcie kilkunastu osób oznacza ryzyko utraty władzy, więc woli nic nie robić* – słyszymy. Narzekają też działacze młodzieżówki – mówią, że od miesięcy nic się w ich organizacji nie dzieje.

To są kadry, z których może czerpać Morawiecki, ale musi się dookreślić, stworzyć jakąś tożsamość. Na razie obraz jest rozmyty – były premier na grillu mówił do wszystkich i do nikogo. Nie powiedział, dlaczego znalazł się poza PiS, co chce z tym fantem począć, jaki ma pomysł i jaką pozycję zajmie na i tak zatłoczonej scenie. Czy jest uzupełnieniem oferty PiS, czy konkurentem? Co z Konfederacją i Koroną? Czy wyobraża sobie sojusz z PSL, czy Polską 2050?

Horała drwił, że PiS stał się podróbką, Konfederacją z Temu, ale Rozwój Plus na razie przypomina PiS z Temu. Jeśli są jakieś ideowe różnice, to toną w morzu wzajemnych złośliwości.

Jak się rozwinie Rozwój Plus

Rozwój Plus zaproponował na razie „pensję rodzicielską” – świadczenie w wysokości płacy minimalnej, przeznaczone dla rodziców dzieci w wieku do trzech lat, które na tym etapie zastępowałoby program 800 plus. Ale od tego pomysłu do stworzenia całościowego programu wyborczego droga bardzo daleka.

A czasu wbrew pozorom nie jest dużo. Rozwój Plus ma na starcie ok. 6 proc. poparcia – to średnia z kilku sondaży z końca lipca.

PiS po początkowym szoku porozłamowym zaczął podchodzić do problemu bardziej systemowo i strategicznie. To już nie jest tylko fala personalnych ataków w mediach społecznościowych; ruchy Nowogrodzkiej stały się przemyślane. PiS uderza w samego Morawieckiego, obarczając go winą za rozłam (zdrajca) i przedstawiając go jako przeciwnika sztandarowych pomysłów Kaczyńskiego (500 plus czy zakup myśliwców F-35). Pokazuje byłego premiera jako człowieka, który w imię własnych ambicji sabotował kampanię Przemysława Czarnka i chciał przejąć władzę nad partią. Jednocześnie Kaczyński łata dziurę po Morawieckim, wysuwając kandydaturę zbliżonego do niego poglądami Marcina Ociepy na wicemarszałka Sejmu.

Do wyborców wysyłany jest też uspokajający komunikat, że w istocie nic wielkiego się nie wydarzyło, bo za Morawieckim poszli głównie nieudacznicy, a kiedyś – gdy już Rozwój Plus odbierze lekcję pokory – jeszcze się będzie można z nim dogadać.

Kaczyński, choć osłabiony i daleki od wielkiej formy – wciąż ma mocniejsze karty niż Morawiecki, w tym przywiązanie wielu wyborców do znanego szyldu i wsparcie kluczowych prawicowych mediów. W zanadrzu trzyma jeszcze wymianę kandydata na premiera, która w obliczu katastrofy projektu Czarnek staje się coraz bardziej oczywista.

Morawiecki ma teraz zaledwie kilka tygodni na to, by nadać jakiś kształt swojej inicjatywie, okopać się na swoich pozycjach. Wrześniowe, najdalej październikowe sondaże zdecydują, czy jest przed Rozwojem Plus szansa na rozwój.

WOJCIECH SZACKI

eprasa.pl 7b9ca5e5e4



BĄDŹCIE Z NAMI!

Miasto Elbląg

TikTok elblagmiasto

Więcej informacji na:
www.jarmarki.elblag.eu

eprasa.pl 7b9ca5e5e4



Między gongami

Przewidywalny w swoim radykalizmie i brutalności po pierwszym roku kadencji Karol Nawrocki wydaje się prezydentem stosunkowo prostym w reakcjach, chociaż nadal groźnym. Czy stać go na coś więcej?

RAFAŁ KALUKIN

Wprowadzając się do pałacu, pozostawał zagadką nawet w oczach własnego obozu politycznego. Najwyższy urząd obejmował człowiek, który wcześniej nie pełnił wybieralnych funkcji, wchodząc do świata polityki od razu od samej góry. Jego politycznych zdolności i cech osobowościowych można się było na samym początku co najwyżej domyślać.

Ale mija właśnie pierwszy rok prezydentury i można odnieść wrażenie, że właściwie wszystko już wiadomo. Nawet jeśli to wciąż dopiero początek kadencji i nie wszystkie karty zostały odsłonięte. Wcześniejsze intuicje przeważnie się jednak potwierdziły. Na czele państwa stanął polityczny radykał, który w swoim radykalizmie okazuje się zaskakująco przewidywalny, wręcz schematyczny. I z tego powodu nietrudno rozszyfrować dalsze kroki Karola Nawrockiego, przynajmniej w obrębie dających się dzisiaj wyobrazić scenariuszy.

Jego ludziom coraz trudniej budować więc suspens wokół kolejnych decyzji prezydenta. Chociaż nieustannie próbują. To w końcu utrwalony od dawna rytuał, że kiedy głowa państwa dostaje do podpisania jakąś sporną ustawę, powinna pogrążyć się w rozmyślaniach, co z tym fantem zrobić, wyważyć wszystkie racje i podjąć na koniec odpowiedzialną decyzję.

Ale teraz stawianie figury zafrasowanego męża stanu już nie ma większego sensu, skoro właściwie z góry można przewidzieć,

© ADAM BURAKOWSKI/EAST NEWS

eprasa.pl 7b9ca5e5e4

co będzie na końcu. Jak tylko Nawrocki zaczyna dawać do zrozumienia, że się waha, czy podpisać rządową ustawę, od razu śmiało można obstawiać, że nie podpisze. Nawet treść uzasadnienia wygląda później tak, jakby je pisała sztuczna inteligencja. Jedyny bodaj wyjątek to podpisana ustawa o Państwowej Inspekcji Pracy. Chociaż nie był to wyraz jakiejś szczególnej łaskawości wobec rządu, lecz konieczność wyboru pomiędzy perspektywą bliższą linii PiS oraz konfederacką.

Zasadniczo jednak ustawieniem domyślnym pozostaje weto każdej ustawy, w której odbija się choćby cień woli politycznej rządzącej większości, jej swoistości ideowej bądź programowej. Licznik „wetomatu" bije przez cały czas, dobijając na razie do 41. I chyba już nie ma sensu porównywać Nawrockiego z poprzednikami, bo tamci startowali w innej konkurencji, w najgorszym razie próbując stwarzać wrażenie, że reprezentują ogół obywateli. Obecny prezydent nie rozróżnia pomiędzy interesem publicznym i politycznym, są to dla niego kategorie zbieżne. I być może nawet nie ma w tym żadnego cynizmu, bo prezydent sprawia wrażenie, jakby naprawdę tak uważał.

Istnieje zatem cały szereg obszarów, które z góry są u niego spalone jako antypolskie, bez względu na konkretne propozycje. To energetyka odnawialna i kwestie środowiskowe, pogłębienie relacji z Unią Europejską, prawa mniejszości i regionalizmy, przywracanie praworządności po rządach PiS, regulacja internetu, konsolidacja podatkowa. W tych sprawach rząd może się trudzić, heblując „lewackie" skojarzenia i oblekając je powłoką „zdrowego rozsądku", jednak nic to nie daje, bo prezydenckie ucho wychwyci każdy fałszywy ton. Ale do tego dochodzi jeszcze cały szereg dziedzin mniej oczywistych, bo o ile sporą część prezydenckich wet bez większego trudu dało się przewidzieć, o tyle nie brakowało też zaskakujących, kasujących ustawy niebudzące wcześniej kontrowersji ani nawet większej uwagi.

Konfrontacyjna postawa głowy państwa nie ogranicza się jednak do zawetowanych ustaw. Manifestuje się w nominacjach ambasadorskich, profesorskich, sędziowskich, przy nadaniach orderów, a nawet przy ich odbieraniu. Istnieje dosyć czytelny polityczny klucz, co się komu należy, a co nie. Nawet jeśli ustrojowo nie jest to ani trochę czytelne, jak przy okazji zaprzysiężeń sędziów Trybunału Konstytucyjnego. Osobny przypadek to nominacja pierwszego prezesa Sądu Najwyższego, ale to przypadek z podobnej półki, co ustawa o PIP. Po prostu trzeba było zaspokoić którąś z prawicowych wrażliwości.

Nadmierna przewidywalność z czasem staje się jednak w polityce źródłem wyjałowienia, chociaż do tej pory dotyczyło to głównie polityków wyważonych, po staroświecku odpowiedzialnych i w rezultacie uważanych za „nudnych".

Prezydentura Nawrockiego to szczególny przypadek stopniowego oswajania politycznej agresji, która powinna mimo wszystko przynosić jakiś efekt. A jeśli nie, to przynajmniej stale eskalować, bo inaczej może się znudzić. Problem w tym, że prezydenckich narzędzi jest tyle, ile zapisano w konstytucji, czyli niewiele i nie zapewniają sprawczości. Model funkcjonowania Nawrockiego w jakimś sensie zmusza go zatem do poszerzania gorsetu i uzurpacji.

I należy się spodziewać kolejnych prób. Ostatnio coraz częściej choćby słychać, że premier Donald Tusk obawia się przeprowadzania zmian w rządzie, nie mając pewności, czy prezydent wręczy powołania nowym ministrom. Teoretycznie to jego obowiązek, ale przecież nikt nie jest w stanie go do niczego zmusić. A jeżeli może rządowi zaszkodzić, to doświadczenie pierwszego roku uczy, że wcześniej czy później na pewno skorzysta z okazji.

Tyle że kij ma dwa końce, bo przy niezbyt wyrafinowanym nastawieniu prezydenta nie jest wielką sztuką obchodzić jego blokady, nauczyć się z nimi żyć, a czasem dodatkowo wpuszczać w maliny. A więc z premedytacją podsyłać mu ustawy głównie po to, żeby je mechanicznie wetował i ponosił tego polityczne koszty. Najdobitniejszy przykład to oczywiście z uporem do niego kierowana przez rządową większość ustawa regulująca rynek kryptoaktywów, którą zawetował już trzykrotnie. Z powodów za każdym razem coraz bardziej wątpliwych, że nawet życzliwi Nawrockiemu byli tym pewnie zaskoczeni, chociaż w sumie nie powinni.

I w roku wyborczym zapewne można się spodziewać dużo więcej podobnych gambitów. Legislacji produkowanej wyłącznie po to, żeby na koniec została zawetowana. Bo cóż innego pozostaje rządowi, który nie jest w stanie realizować swojej agendy, jak zastawiać pułapki na swojego prześladowcę?

Na swój sposób ciekawym kluczem do Nawrockiego jest wydany na rocznicę prezydentury książkowy wywiad z prezydentem pod obiecującym tytułem „Skąd się wziął Karol Nawrocki". Nawet jeśli odpowiedź okazuje się dosyć banalna, bo trochę znikąd. Pomimo upiększających zabiegów prowadzącego rozmowę historyka prof. Andrzeja Nowaka wyłania się z tej publikacji postać jednowymiarowa, mało refleksyjna i w sumie pospolita.

Nawrocki wielokrotnie powtarza, że jest „wojownikiem". I jest to coś w rodzaju powołania, które nie podlega racjonalnej ocenie. Tak został bowiem ukształtowany w dzieciństwie i młodości, w ten sposób widzi świat. Kiedy zostawał dyrektorem Muzeum II Wojny Światowej i później prezesem IPN, było dla niego czymś oczywistym, że staje na froncie „wojny o pamięć". Nawet ikoniczny „Batyr" z literackiego pseudonimu oznacza podobno w starym tureckim narzeczu wojownika.

Zdaje się przy tym nie przyjmować do wiadomości, że mogą istnieć inne strategie polityczne, a nawet życiowe. Prostolinijnie wyznaje, że jak każdy ojciec wychowuje synów na wojowników, ale kiedy przyszła na świat jego córka, poczuł się nieco zmieszany, gdyż jego tradycyjny schemat nie obejmuje figury kobiety wojowniczki. Świat jawi się bowiem areną typowo męskiej rywalizacji, w której chodzi o pokonanie wroga. Ktoś musi na koniec wygrać, żeby ktoś inny przegrał. I nie istnieje pomiędzy rywalami wspólna przestrzeń, którą warto pielęgnować.

Z pytań Nowaka wyziera podziw dla drogi zwykłego chłopaka z gdańskiego blokowiska, który miał w życiu pod górę. Bez zastrzeżeń przyjmuje opowieść o życiu wypełnionym nauką za dnia, pracą w nocy i chwilami wytchnienia na treningi sportowe. Jego bohater jest jak z powieści Żeromskiego, który krok po kroku rozbudza w sobie świadomość polskiego patrioty. Ale jaki to typ patriotyzmu i skąd się wzięły kibicowskie dziary na klacie głowy państwa, tego się już nie dowiemy.

Bo w zamyśle miała to być chyba rozmowa intelektualna. Jak przystało na intelektualistę z Krakowa, profesor pragnie wydusić ze swojego rozmówcy głębsze refleksje. Dopytuje o doświadczenia formacyjne, przeczytane w młodości książki, zachłyśnięcia w sali kinowej. Ale nic z tego, bo w szkole Nawrocki ograniczał się do lektur obowiązkowych (bardziej Mickiewicz niż pozytywiści), ▶

eprasa.pl 7b9ca5e5e4

▶ uzupełniając kanon podsuniętymi przez ojca książkami Waldemara Łysiaka. Teraz łatwiej już zrozumieć, dlaczego akurat tego autora przy pierwszej okazji odznaczył Orderem Orła Białego. A jeśli chodzi o filmy, to najchętniej „Alternatywy 4", bo o komunie i można się przy tym rozerwać.

Ale najczęściej rozmawiają oczywiście o historii, choć i tutaj okazuje się, że historyk historykowi nierówny. Jeden stara się bowiem kierować rozmowę w stronę refleksji na temat logiki dziejów, czego drugi w ogóle nie łapie. Z Nawrockiego wychodzi dosyć typowy historyk z IPN, którego kręcą niemal wyłącznie zbrodnie komunistyczne. Narzeka, że na studiach było za dużo historii powszechnej, a większość epok go właściwie nudziła. Wolałby więcej o Polsce, czego nie trzeba tłumaczyć, bo jest przecież Polakiem. To raczej uniwersalistyczna perspektywa świata akademickiego jawi mu się jako podejrzana.

Z tej ciasnoty wynikają później polityczne konsekwencje. Znamienny jest fragment, w którym Nowak pyta prezydenta o jego stosunek do wydawanych przez środowisko Donalda Tuska w latach 90. serii albumów „Był sobie Gdańsk". Nawrocki jest bardzo krytyczny wobec publikowania zdjęć przedwojennego Wolnego Miasta, tyle że jako nastoletni wówczas Gdańszczanin nic nie zrozumiał. Tamte albumy były jak otwarte skrytki z nieznaną pamięcią, które wywołały zbiorową refleksję nad tożsamością wielokulturową, wspólnotą pogranicza. Ale „wojownik pamięci" najwyraźniej nie zdaje sobie sprawy, że jest ona subiektywna i stale się kształtuje. Autentyczny przed laty fenomen sprowadza do rzekomego zachwytu nad niemieckością oraz wstydu z powodu polskości Gdańska. Broni jej zatem do upadłego, podobnie jak kiedyś komuniści, chociaż zapewne i z tego również nie zdaje sobie sprawy.

Jego polonocentryzm kolejny raz daje znać o sobie we fragmentach rozmowy poświęconych Muzeum II Wojny Światowej. Nawrocki stanął na czele tej placówki z nadania PiS, przejmując wystawę przygotowaną wcześniej przez ekipę prof. Pawła Machcewicza. I chociaż minęła prawie dekada, wciąż zdaje się nie rozumieć, na czym polegał wywołany wówczas konflikt. Bo Machcewicz zbudował muzeum narracyjne, w którym poszczególne elementy pełniły funkcję budulca opowieści o uniwersalnym wymiarze wojny. Jego następca miał prawo ją oczywiście odrzucić, tylko że uczciwość wymagałaby w takim razie zasadniczej zmiany założeń oraz zbudowania ekspozycji od nowa.

Ale do tego potrzebne są odpowiednie horyzonty i determinacja. Tymczasem Nawrocki wybrał linię najmniejszego oporu, psując historiozoficznie spójną wizję przypadkowymi dostawkami zawierającymi polskie akcenty. Poprzednicy oczywiście zakwestionowali te działania, próbując ocalić własną wizję. Dla Nawrockiego ich upór wobec wyeksponowania o. Kolbego, rotmistrza Pileckiego i rodziny Ulmów był jednak niezrozumiały. Chyba naprawdę doszedł do wniosku, że skoro walczą z polskimi bohaterami, to najpewniej są po prostu złymi Polakami. Przed którymi on, „wojownik o pamięć", musi Polskę obronić.

Odbija się w tym jakiś rodzaj powołania o narcystycznym zabarwieniu. Również swoje kandydowanie w wyborach Nawrocki opisuje jako „ratowanie Polski" i zdaje się naprawdę wierzyć, że był „kandydatem obywatelskim", którego wyniosła oddolna fala, a już w mniejszym stopniu kalkulacja polityczna Jarosława Kaczyńskiego. A już najbardziej osobliwie wypada wspomnienie wieczoru wyborczego, kiedy Nawrocki miał się poczuć prezydentem już w chwili ogłoszenia pierwszych wyników badania *exit poll*, które przecież wskazało jako zwycięzcę jego rywala. I nie umie tego nawet wyjaśnić, jakiś wewnętrzny głos mu to podpowiedział. Po takich wyznaniach nie powinna jednak dziwić tak chętnie przyjmowana przez Nawrockiego poza pomazańca całego narodu, a nie tylko popierającej go połówki. Faktycznie, od zaprzysiężenia stale podkreśla majestat urzędu i uwielbia mówić o sobie w trzeciej osobie. Chociaż zarazem nie sprawia wrażenia człowieka, który czuje na sobie ciężar władzy. A może wręcz uważa, że w ogóle nie jest jej częścią? To całkiem możliwe, bo jak dotąd Nawrocki pozostaje kimś w rodzaju prezydenta opozycji. Chociaż to oksymoron, bo nie można być jednocześnie u władzy i występować przeciwko niej, nawet w zagmatwanym polskim ustroju. W demokracji opozycja ma absolutne prawo ograniczać się do krytyki i sprzeciwu, gdyż nie ponosi ustrojowej odpowiedzialności. Ale o głowie państwa nie można przecież tego samego powiedzieć.

Jest to zatem prezydentura zaprogramowana na permanentną wojnę z rządem. Tak po prostu, o wszystko, aktualny obszar starcia nie ma większego znaczenia. Wojownicza natura Nawrockiego spotyka się tutaj z jego plemienną wersją patriotyzmu, która wprowadza moralny komponent, podział na dobrych i złych, bohaterów i zdrajców. Jeżeli nawet na samym początku dopuszczał możliwość negocjacji w wybranych obszarach, wyłączenia ich spod logiki wojny, po zawetowaniu ustawy o SAFE to się już chyba na dobre skończyło.

Nie widać w tym jednak głębszej wizji, śladu strategii. Nie istnieje nawet wyraźny rozdział pomiędzy polityką krajową i zagraniczną, chociaż w tej drugiej prezydent posiada narzędzia do prowadzenia działań bardziej konstruktywnych. Wydaje się jednak, że cała koncepcja sprowadza się do pielęgnowania relacji z Donaldem Trumpem, co akurat dla państwa ogólnie jest w dzisiejszych realiach korzystne, tym niemniej przydałoby się uprzywilejowane stosunki w miarę możliwości zinstytucjonalizować propozycjami własnych inicjatyw. Nic takiego się jednak nie dzieje: sojusz ogranicza się do osobistej zażyłości, o którą to Nawrocki musi zabiegać, podczas gdy Trump wydziela łaski swojemu pupilowi z Warszawy.

I do tego sprowadza się cała polityka zagraniczna wielkiego pałacu. Poza tym Nawrocki odbębnił rutynowy objazd po stolicach, które wypadało odwiedzić, z czego niewiele wynikło. Potem doszło jeszcze parę wypadów w punktowe miejsca, do czego okazją były historyczne rocznice. Ostatnim z nich był jak dotąd Budapeszt tuż przed węgierskimi wyborami, co odbiło się Nawrockiemu czkawką, gdyż – chociaż sam ostrożnie dobierał słowa – stary wyjadacz Viktor Orbán bez skrupułów zrobił z tego część swojej kampanii. Od tej pory prezydentowi wyraźnie zmalała ochota do podróżowania, gdyż pojawił się już tylko na szczycie NATO w Ankarze.

Niestety brak koncepcji polityki zagranicznej nie wyklucza jej mimowolnego prowadzenia. Czego przykładem była oczywiście fatalna decyzja o odebraniu Wołodymyrowi Zełenskiemu Orderu Orła Białego. Był to zresztą Nawrocki w pigułce z jego obsesją „wojny o pamięć", który nie przyswoił sobie elementarnej reguły, że wojna powinna być przedłużeniem polityki.

Nie poprzestał zresztą na symbolicznym geście, tylko docisnął pedał gazu pogróżką zablokowania drogi Ukrainy do Unii Europejskiej, wyzwalając jeszcze bardziej plemienne emocje w PiS

© DAMIAN BURZYKOWSKI/NEWSPIX.PL

eprasa.pl 7b9ca5e5e4



Prezydent Nawrocki podczas wizyty w USA. Dzień zaczął od ćwiczeń na nowojorskiej siłowni.

i sporej części społeczeństwa. Odtąd jego odwołania do „dziedzictwa Lecha Kaczyńskiego" będą już tylko pustosłowiem, chociaż można mieć wątpliwości, czy Nawrocki w ogóle zadał sobie kiedykolwiek trud zrozumienia polityki tamtego prezydenta.

Bo Lech Kaczyński w nieporównanie bezpieczniejszych czasach obchodził się wyjątkowo delikatnie z pamięcią historyczną naszego sąsiada i nawet jeśli swoje wiedział o Wołyniu, starał się unikać słowa „ludobójstwo". Za co bywał krytykowany przez nacjonalistyczną prawicę, niemniej „w ocenie polityki historycznej w relacjach polsko-ukraińskich i polityki wschodniej Lecha Kaczyńskiego należy pamiętać, że o ile środowiska kresowe (...) mają prawo, a wręcz moralny obowiązek do zachowania zasadniczej i jednoznacznej postawy w sprawach dotyczących pamięci o swoich przodkach, o tyle głowa państwa z samej istoty swej funkcji musi ważyć wielowymiarowy interes narodowy Polski – w wymiarze historycznym, ale też geopolitycznym i bieżących spraw politycznych".

To cytat z biografii współautorstwa Sławomira Cenckiewicza, do niedawna szefa BBN w kancelarii obecnego prezydenta. Ale wbrew tamtym sugestiom nie wydaje się, żeby Nawrocki miał potrzebę ważenia czegokolwiek, oczywiście poza sztangą wyciskaną na klatę w prezydenckiej siłowni. Wszystko jest u niego proste, jednowymiarowe. Dokładnie jak w haśle wyborczym sprzed roku „Po pierwsze Polska, po pierwsze Polacy". Czyli bez pociągnięcia dalej tej wyliczanki, co pozwoliłoby zbudować jakiś system, hierarchię.

Ale ma to wszystko przynajmniej jeden istotny walor: podoba się publiczności. Rzecz jasna nie całej, głównie tej z jego połówki. Bo też opowieści o nadzwyczajnej popularności Nawrockiego należy jednak włożyć pomiędzy bajki. Jego oceny po pierwszym roku prezydentury (56 proc. pozytywnych i 37 proc. negatywnych wg CBOS) są zbliżone do ocen Andrzeja Dudy w analogicznym okresie (odpowiednio: 54 proc. i 34 proc.). Ale już pod względem zaufania wyraźnie lepiej wypadał bardziej umiarkowany poprzednik, ciesząc się 64 proc. aprobujących wskazań przy 24 proc. nieufności. Nawrockiemu w lipcu ufało z kolei 55 proc. Polaków, natomiast brak zaufania deklarowało 33 proc.

Do popularności Bronisława Komorowskiego w ogóle nie ma co porównywać (70 proc. zaufania i 11 proc. nieufności w 2011 r.), tyle że realia były wówczas zupełnie inne. Przypadek o tyle jednak interesujący, że być może w ogóle nie warto ekscytować się ulotnymi nastrojami, skoro w godzinie próby rzadko kiedy przekładają się one na twardą polityczną rzeczywistość. A wręcz mogą szkodzić, usypiając wcześniej czujność.

Pod wieloma względami ta prezydentura wyznacza mimo wszystko przełom w polskiej polityce. Nawrocki jest pierwszym prezydentem reprezentującym pokolenie milenialsów, co ma swoje istotne konsekwencje. Jego poprzednicy różnili się pod względem zdolności i ambicji, ale przynajmniej rozumieli znaczenie procesów politycznych, działania długofalowego, orientacji w systemie.

U Nawrockiego już tego nie widać. Sprawia wrażenie, jakby funkcjonował w rytmie gongów wywołujących go na kolejne rundy. I tak dzień po dniu, od starcia do starcia. Ale co jest stawką tej walki: reelekcja? Umocnienie własnej pozycji w obozie? Zmiana ustroju? Umowna „Wielka Polska", cokolwiek miałoby to oznaczać?

Komentatorzy często snują wizję prezydenta, który po wyborach staje ponad rozproszkowaną prawicą, wyznacza premiera i staje na czele nowego układu, nieformalnie wprowadzając ustrój prezydencki. I być może tak się kiedyś stanie, chociaż na razie to chyba bardziej odgadywanie intencji niż realna zakulisowa wiedza. Trudno nawet ustalić, czy to Nawrocki faktycznie jest taki silny, czy też partyjni liderzy słabi. Bo chociaż ich grono się rozrasta, każdemu czegoś istotnego brakuje. Na ich tle Nawrocki może się wydawać mocniejszy, niż jest. Tym bardziej że opromienia go majestat urzędu i nie musi zabiegać o uwagę odróżnianiem się od konkurencji.

Ale to chyba jednak coś więcej niż tylko rozumna taktyka. Nawrocki sprawia wrażenie, jakby w ogóle nie interesował się polityką partyjną. Być może maskuje w ten sposób lęk przed nieznanym mu światem, w którym nietrudno paść ofiarą intrygi. Chociaż więcej wskazuje na miłość własną prezydenta, jego deklarowane już niemal otwarcie poczucie bycia kimś wybranym, powołanym do przewodzenia. Tyle że w polityce cele rzadko osiągają się same. Najczęściej trzeba im pomóc zbudowaniem przemyślanego planu i cierpliwą pracą. Ale od tej strony Karol Nawrocki w pierwszym roku swojej wojowniczej prezydentury nie dał się jeszcze poznać.

RAFAŁ KALUKIN

eprasa.pl 7b9ca5e5e4

Bunt prokuratorów

Czy za brak spektakularnych procesów dotyczących ludzi poprzedniej władzy odpowiadają prokuratorzy? Czy już czekają na polityczną zmianę w 2027 r. i obawiają się odwetu „ziobrystów”? Tak sugerują obecnie rządzący, tłumacząc się z niepowodzeń w rozliczaniu PiS.

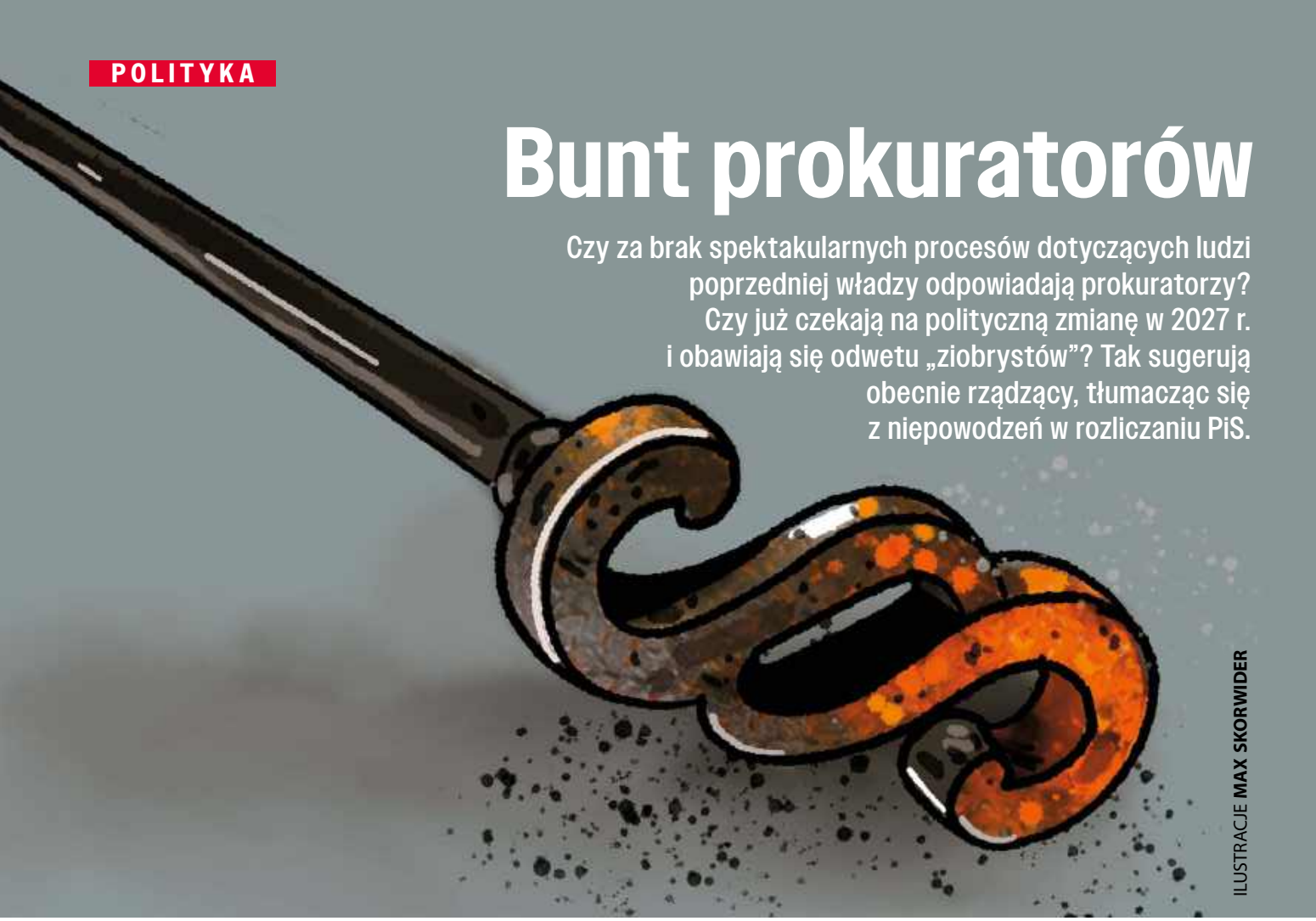

ILUSTRACJE **MAX SKORWIDER**

EWA SIEDLECKA

Czy rząd Tuska spełnił Pana/Pani oczekiwania w zakresie rozliczeń okresu rządów PiS? „Nie” w sondażu SW Research dla portalu rp.pl odpowiedziało 53,3 proc. zapytanych. „Tak” – 14,6 proc. Reszta nie miała zdania lub oczekiwań. Sondaż zamówiono, gdy podniosły się głosy oburzenia po informacji prokuratury, że umorzyła sprawę dwóch wież. „Przepraszam, powinienem może mieć więcej wyobraźni wtedy, kiedy zapowiadałem szybkie rozliczenia” – powiedział po tym Donald Tusk. Ale oczekiwania rozbudzili sami politycy. W aferze chodziło o niezapłacenie austriackiemu deweloperowi Geraldowi Birgfellnerowi przez zależną od PiS spółkę Srebrna wynagrodzenia za wykonane prace planistyczne dotyczące budowy dwóch wieżowców w centrum Warszawy. Z inwestycji zrezygnowano, bo Srebrna nie dostała zgody od miasta. Od ujawnienia tej sprawy w 2019 r. przez Romana Giertycha, adwokata domniemanego pokrzywdzonego, politycy obecnej koalicji rządowej przekonywali opinię publiczną, że Jarosław Kaczyński popełnił przestępstwo oszustwa. Tymczasem z prawnego punktu widzenia przestępstwa nie było. Niewywiązanie się z zawartej umowy nie jest przestępstwem, a strony dochodzą takich roszczeń w sądzie cywilnym, a nie w prokuraturze.

Umorzenie wznowionej w 2023 r. sprawy powinno więc nastąpić już dawno. Kiedy się wreszcie dokonało, komentowano, że to polityczna decyzja ziobrowego prokuratora. Gdyby zamiast umorzenia był akt oskarżenia, mówiono by, że to polityczna decyzja prokuratora tuskowego lub żurkowego.

Śledztwa w sprawie dwóch wież nie umorzył ziobrowy prokurator, tylko Małgorzata Szeroczyńska, prokuratorka należąca do antyziobrowego stowarzyszenia Lex Super Omnia. W sprawie dwóch wież oprócz wątku oszustwa był też wątek łapówki, jakiej w imieniu Rafała Sawicza, członka Rady Fundacji Instytutu im. Lecha Kaczyńskiego, Jarosław Kaczyński miał zażądać od Birgfellnera za zagłosowanie za budową wieżowców. W opublikowanym (miesiąc po umorzeniu) uzasadnieniu umorzenia wyjaśniono, że czyn nie mieścił się w kodeksowej definicji łapownictwa, bo Rafał Sawicz nie pełnił w fundacji „funkcji kierowniczej”, głosując, „nie przekroczył swoich uprawnień”, i nie naraził Instytutu im. Lecha Kaczyńskiego na straty, bo to nie instytut, ale spółka Srebrna byłaby materialnie zaangażowana w budowę.

Mówiono, że po umorzeniu sprawy poleci głowa ministra sprawiedliwości Waldemara Żurka. Tymczasem premier Tusk wszystkich zaskoczył: przeprosił za słabe tempo rozliczeń i dodał: „Nie przewidziałem, że to będzie tak trudne w związku m.in. z sytuacją w prokuraturze”.

Z konia na konia

O co chodzi z „sytuacją w prokuraturze”? Teza, że śledztwa rozliczeniowe idą wolno, bo blokują je ziobrowi prokuratorzy, to tylko część wyjaśnienia, i raczej

eprasa.pl 7b9ca5e5e4

niegłówna. Były minister sprawiedliwości Adam Bodnar starał się przed tym blokowaniem zabezpieczać, powołując w najbardziej newralgicznych politycznie sprawach zespoły śledcze, do których delegowano wybranych prokuratorów. Prokurator generalny Żurek też powołuje zespoły, np. do ścigania przestępstw z nienawiści. A w Prokuraturze Krajowej – zespół „do spraw zapobiegania negatywnym skutkom orzeczeń wydanych przez sędziów nominowanych w procedurze z udziałem Krajowej Rady Sądownictwa ukształtowanej po 2017 r.". Ten zespół nie prowadzi śledztw, ale ma pilnować, by prokuratorzy Prokuratury Krajowej stający przed Sądem Najwyższym domagali się wyłączania ze spraw neosędziów. Część prokuratorów PK mianowanych przez Ziobrę to zalecenie bojkotuje.

Prokuratorka Szeroczyńska była dość odważna, by zakończyć sprawę dwóch wież. Ile jednak z rozliczeniowych śledztw nie jest kończonych (oskarżeniem lub umorzeniem), bo prokuratorzy boją się opinii publicznej lub władzy – obecnej czy tej, która po niej przyjdzie? I zamawiają wciąż nowe ekspertyzy, przesłuchują kolejnych świadków, mnożąc koszty postępowania, chociaż zebrany materiał wystarczy, by orzekać w tę lub inną stronę? Śledztwa trwają latami. Powinny trwać do trzech miesięcy, ale sądy bez problemu je przedłużają: na pół roku, potem na następne pół, i na następne... Taka inercja to chyba główny powód przewlekłości wszystkich śledztw, nie tylko rozliczeniowych, i nie tylko teraz. I jeszcze nie znalazł się mądry, który by tę praktykę ukrócił.

Kolejny powód przewlekania to oportunizm prokuratorów. Jest on od ponad 30 lat wpisany w konstrukcję prokuratury. Prokuratorzy wiedzą, że wraz ze zmianą władzy politycznej następuje wymiana kierownictwa prokuratur wszystkich szczebli, łącznie z najwyższym, bo każdy prokurator generalny chce mieć kontrolę nad prokuraturą i śledztwami. Kariera prokuratora zależy w dużym stopniu od tego, na którego konia postawi i czy potrafi w odpowiednim czasie z niego zeskoczyć, by przesiąść się na następnego. Część prokuratorów się nie przesiada, godząc się z tym, że po kolejnej zmianie władzy trafi na boczny tor. Są oczywiście też tacy, którzy po prostu starają się rzetelnie pracować, co raz bywa doceniane, a innym razem nie.

To opis uproszczony, bo działają jeszcze lokalne koterie, a także organizacje: stowarzyszenie Ad Vocem założone przez prokuratorów odsuniętych od stanowisk po przegranych przez PiS wyborach w 2007 r., stowarzyszenie Lex Super Omnia (LSO) założone przez prokuratorów zdegradowanych przez Ziobrę po wyborach przegranych przez PO w 2015 r., i Związek Zawodowy Prokuratorów i Pracowników Prokuratury RP.

Żurek chce rządzić

O ile Adam Bodnar jako PG zostawił nadzór nad śledztwami prokuratorowi krajowemu Dariuszowi Kornelukowi, o tyle Waldemar Żurek objął urząd z zamiarem sprawowania tego nadzoru osobiście. To nie mogło spodobać się prokuratorom, i to bez względu na ich sympatie polityczne. Także dlatego, że jest sędzią, w dodatku cywilistą, więc jego ambicja, by korzystać z szerokich uprawnień do ręcznego sterowania śledztwami (które zostawił prokurator generalny Zbigniew Ziobro, zmieniając prawo o prokuraturze), wywołuje opór, oburzenie i zarzuty o łamanie zasady prokuratorskiej niezależności.

Niedawno Żurek polecił prokuratorowi krajowemu, żeby prokuraturze w Lublińcu odebrał śledztwo w sprawie „spowodowania niebezpieczeństwa katastrofy w ruchu lądowym" przez pijanego kierowcę, który miał też zakaz prowadzenia pojazdów. Chodziło o to, że prowadząca sprawę prokuratorka nie wnioskowała do sądu o tymczasowe aresztowanie podejrzanego. Odwołano też zastępcę prokuratora rejonowego w Lublińcu za brak nadzoru. Interwencję PG Żurka tak skomentowało Lex Super Omnia na portalu X: „Czym różni się polecenie Ministra Sprawiedliwości - Prokuratora Generalnego »podjęcia natychmiastowych działań w związku z decyzją prokurator z Prokuratury Rejonowej w Lublińcu« od poleceń wydawanych przez Ministra Sprawiedliwości - Prokuratora Generalnego urzędującego kilka lat temu? Niczym". Napisali to prokuratorzy, którzy lepiej niż ktokolwiek inny wiedzą, jak Zbigniew Ziobro traktował prokuratorów i prokuraturę, z której zrobił narzędzie polityczne i gwaranta bezkarności własnej i swoich ludzi.

Żurek ingerował też w sprawę piątki z Hajnówki – aktywistów humanitarnych z granicy polsko-białoruskiej. „Piątka" została w pierwszej instancji uniewinniona od zarzutu ułatwiania nielegalnego pobytu w Polsce „dla korzyści pieniężnej lub osobistej" (prokuratura nie wskazała, co miałoby być tą korzyścią). Prokuratura się odwołała od tego wyroku, ale odwołanie wycofała na polecenie PG Żurka.

Zarzut łamania niezależności prokuratorów spotkał go także, gdy w kwietniu odwołał z delegacji do Wydziałów Zamiejscowych Prokuratury Krajowej ds. Przestępczości Zorganizowanej i Korupcji (tzw. PZ) dziesięciu prokuratorów, na co nie zgodziła się zastępczyni prokuratora generalnego (powołana przez Ziobrę) Beata Marczak, nadzorująca pion Przestępczości Zorganizowanej w Prokuraturze Krajowej. Odwołanie oznaczało odebranie im prowadzonych śledztw, także w sprawach rozliczeniowych. Sześciu z odwołanych ze śląskiego PZ poskarżyło się Krajowej Radzie Prokuratorów na naruszenie prokuratorskiej niezależności. Ta, pod koniec czerwca, po wysłuchaniu zainteresowanych uznała, że do naruszenia nie doszło.

Ludzie Ziobry, ludzie Bodnara

Z delegacji do PZ minister Żurek odwołał w zeszłym roku prokuratora Jana Drelewskiego oskarżającego w sprawie Sławomira Nowaka (byłego polityka PO). Prokuratorka, która przejęła tę sprawę, poparła w sądzie wniosek obrony o umorzenie jej polskiego wątku, co też sąd uczynił, uzasadniając to „oczywistym brakiem faktycznych podstaw oskarżenia". Przełożony prokuratora Drelewskiego domaga się teraz postępowania dyscyplinarnego, uznając wniesienie przez Drelewskiego aktu oskarżenia wobec Nowaka za „oczywistą i rażącą obrazę przepisów prawa oraz uchybienie godności urzędu podczas wykonywania czynności podejmowanych przez niego w prowadzonych postępowaniach". Przewodniczący Związku Zawodowego Prokuratorów Jacek Skała w wypowiedzi dla „Rzeczpospolitej" uznał to za „klasyczny przykład naruszenia niezależności prokuratora prowadzącego postępowanie".

Takie sytuacje pogarszają notowania PG Żurka u prokuratorów. Żurek przyszedł do Prokuratury Generalnej obsadzonej przez nieusuwalnych ludzi Ziobry (sześciu z dziewięciu zastępców PG), a w Prokuraturze Krajowej, obok „ziobrowych", ma ludzi Bodnara, którym nie do końca ufa. Podobnie jak prokuratorowi krajowemu Kornelukowi. To utrudnia Żurkowi kierowanie prokuraturą. ▶

eprasa.pl 7b9ca5e5e4

▶ Zaufanych prokuratorów ma niewielu, w tym delegowaną przez siebie do Ministerstwa Sprawiedliwości na stanowisko radcy prokuratorkę Ewę Wrzosek, która nie cieszy się sympatią prokuratorów; skonfliktowanego z Korneluk Marka Wełnę, na którego wniosek odwołał sześciu prokuratorów ze śląskiego PZ i prokurator Agnieszkę Welenc, którą postawił na czele wspomnianego już zespołu do spraw zapobiegania negatywnym skutkom orzeczeń wydanych przez neosędziów. Prokuratorzy pamiętają jej, że za Ziobry osiem lat spędziła w Biurze Prezydialnym PK, tworząc projekty aktów prawnych, także tych upolitycznijących prokuraturę. Żurek jest świadomy, że te osoby budzą kontrowersje, ale uznaje je za niesłuszne. Słuszne czy nie – nie poprawiają jego notowań.

Chce awansować prokuratorów, którym ufa, ale do tego potrzebuje wniosków ich przełożonych i prokuratora krajowego Korneluka. Ale ich nie dostaje. Za to PK Korneluk przedstawił listę 57 prokuratorów do awansu ustaloną z szefami prokuratur. Tych awansów nie podpisuje z kolei PG Żurek. Panowie najwyraźniej nie są w stanie dojść do kompromisu: trochę z jednej listy, trochę z drugiej.

Prokurator to nie notariusz

Tymczasem prokuratorzy tracą cierpliwość. Po odwołaniu przewidzianej na koniec czerwca uroczystości wręczenia powołań i awansów prokuratorskich stowarzyszenie LSO (którego członkowie są na liście awansowej Korneluka) wydało oświadczenie, w którym stwierdza, że brak uzasadnienia dla niepodpisywania awansów przez ministra sprawiedliwości (znaczące, że nie piszą „prokuratora generalnego", podkreślając polityczne pochodzenie ministra/prokuratora) to działanie nietransparentne. LSO uznaje, że sytuacja jest niepokojąca, wakaty nieobsadzane, a wszystko to negatywnie wpływa na pracę prokuratury. Jednak z danych Prokuratury Generalnej wynika, że przez rok od objęcia urzędu Żurek wręczył 501 powołań: 237 na asesorów, 210 na prokuratorów prokuratur rejonowych, 36 – okręgowych, 18 – regionalnych i 8 – na krajowych. Ale to nie ci z listy Korneluka.

Żurek nie ufa rekomendacjom szefów prokuratur i chce wprowadzenia konkursów na wolne etaty. W liście rozesłanym do prokuratorów 20 lipca (fragmenty opublikował portal prawo.pl) pisze, że kwestia konkursów była przez niego „wielokrotnie poruszana podczas spotkań z kierownictwem prokuratury szczebla centralnego, regionalnego i okręgowego". Jednak, mimo głosów aprobaty, nie została podjęta. W związku z tym na kolejnym spotkaniu miał przedstawić własną propozycję. Bo nie może być tak, że o rozwoju zawodowym prokuratora decyduje wyłącznie wola prokuratora krajowego, który nie jest związany stanowiskiem kolegium danej prokuratury, Krajowej Rady Prokuratorów czy prokuratora generalnego. A „Prokurator Generalny nie może być w tej procedurze jedynie notariuszem dla jednoosobowych i uznaniowych decyzji Prokuratora Krajowego".

Kolejna kość niezgody pomiędzy Żurkiem a prokuratorami to Regulamin urzędowania jednostek prokuratury. Świeżo rozesłany przez Żurka prokuratorom do konsultacji został skrytykowany, że zamiast poszerzać – zmniejsza prokuratorską niezależność. Tymczasem regulamin przygotowywany był przez prokuratorów, w Prokuraturze Krajowej. A Żurek deklaruje uwzględnić wyniki konsultacji.



Premier Tusk posłał Żurka do prokuratury po to, by przyspieszył rozliczenia. A jest to niemożliwe bez ingerowania w śledztwa. Zatem założenie było takie, by w nie ingerował. Tymczasem w państwie przestrzegającym standardów Unii Europejskiej i Rady Europy dotyczących niezależności prokuratorów taka ingerencja to patologia. Podobnie jak prawo, które pozwala politykowi (jakim jest minister/prokurator generalny) na ręczne sterowanie śledztwami. W sprawie napisanego przez Ziobrę prawa o prokuraturze wypowiedziała się zresztą w tym duchu Komisja Wenecka, w 2019 r.: „(...) główny problem dotyczy przypisania przez ustawę z 2016 r. szerokich uprawnień Prokuratorowi Generalnemu – Ministrowi Sprawiedliwości, szczególnie jeśli chodzi o bezpośrednią ingerencję w poszczególne sprawy" – napisała Komisja w punkcie 111. opinii.

Cztery zarzuty

A jeśli chodzi o stan rozliczeń, to nie można go oceniać po sprawie dwóch wież. Zresztą takich spraw nienadających się do rozliczenia karnego jest sporo więcej. Dotarło to chyba do polityków Koalicji, bo zmienili narrację i coraz częściej mówią o tym, że wśród afer PiS są sprawy kryminalne, ale także „tylko" naganne moralnie.

A realnie stan karnego rozliczania wysokich funkcjonariuszy szeroko rozumianego państwa PiS (urzędnicy administracji centralnej, parlamentarzyści, sędziowie, prokuratorzy, szefowie służb specjalnych) wygląda dziś w skrócie tak: 40 osób ma jedną lub kilka spraw na różnych etapach wymiaru sprawiedliwości. Sędziowie i prokuratorzy najczęściej korzystają z ochrony Izby Odpowiedzialności Zawodowej SN, która odmawia uchylania im immunitetów lub nie rozpatruje wniosków prokuratury (taka sytuacja jest w 25 sprawach). Zbigniew Ziobro i Marcin Romanowski zbiegli za granicę i nie są osiągalni dla wymiaru sprawiedliwości.

Do sądów skierowano akty oskarżenia przeciwko 17 osobom, czterem postawiono zarzuty. W pozostałych sprawach śledztwo toczy się „w sprawie", a nie przeciwko osobie, w części dlatego, że postępowanie jest na etapie uchylania immunitetu. Akty oskarżenia mają m.in. Mariusz Błaszczak – szef MON, Michał Dworczyk – szef kancelarii premiera Morawieckiego, Jan Krzysztof Ardanowski – minister rolnictwa, Krzysztof Szczucki – prezes RCL, Daniel Obajtek – szef Orlen, Piotr Wawrzyk – wiceminister w MSZ, Antoni Macierewicz – szef MON. Kiedy ruszą i zakończą się procesy, nie wiadomo.

EWA SIEDLECKA

eprasa.pl 7b9ca5e5e4

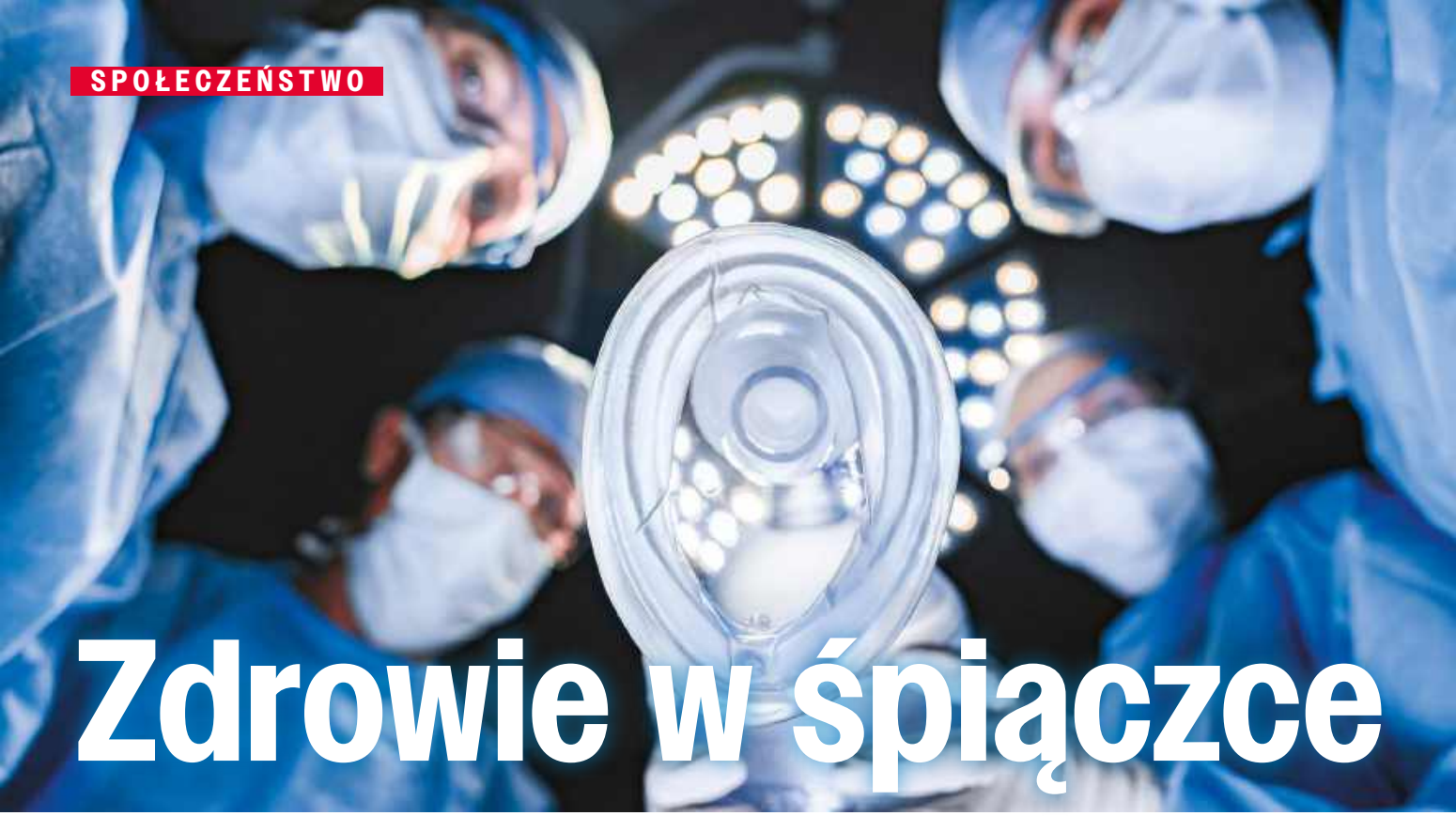

Zdrowie w śpiączce

Milionowe zarobki lekarzy bulwersują, zwłaszcza w zadłużonych szpitalach. Ale najczęściej to nie horrendalne pensje są powodem finansowej zapaści placówek.

AGNIESZKA SOWA

Po skandalu w Szpitalu Południowym i doniesieniach o spółce neurochirurgów pracujących w lecznicach na terenie kilku województw, która wystawiała szpitalom faktury na 26 tys. zł za godzinę, rozpoczęło się polowanie na lekarzy milionerów. W samej Wielkopolsce naliczono ich 31. W tym zarobki pięciu przekroczyły 2 mln zł. Okazało się, że milionerów nie brakuje nawet w zadłużonych szpitalach. Tak było w Szpitalu Powiatowym w Wadowicach. No i rozpętało się medialne piekło.

Łatwo być milionerem

W wadowickim ZOZ pracuje 14 anestezjologów. Do południa potrzeba ich ośmiu, ale jest sześciu–siedmiu. Trzech na bloku operacyjnym, który w niewielkim powiatowym szpitalu ma aż pięć sal. Czwarty przyjmuje ambulatoryjnie: znieczula do kolonoskopii, zakłada centralne dojścia. Piąty musi dyżurować przez całą dobę na oddziale intensywnej terapii, kolejny na położnictwie, też całą dobę. Po południu wystarczy już tylko trzech: na intensywnej terapii, na położnictwie i jeden na dyżurze na bloku operacyjnym. I tak codziennie. – *U nas nie ma anestezjologa, który by pracował mniej niż 300 godzin miesięcznie* – mówi jeden z lekarzy. – *Chętnie przyjęlibyśmy kilku specjalistów i ograniczyli pracę do jednego dyżuru w tygodniu.*

Ale chętnych nie ma. Okoliczne szpitale też szukają anestezjologów i oferują wyższą stawkę za godzinę. W Wadowicach to 260 zł, a konkurencja płaci już 300 zł. Trzech anestezjologów z wadowickiego zespołu to skusiło i w zeszłym roku odeszli. Bo jednak 40 zł więcej za godzinę przy 300 godzinach w miesiącu robi różnicę: 12 tys. zł więcej co miesiąc.

– *My i tak jesteśmy w dobrej sytuacji* – mówi lekarz z Wadowic. – *Wiele szpitali w regionie nie ma anestezjologów w wystarczającej liczbie i tam już jest tragedia, muszą ograniczać zabiegi. Tutaj było tak samo trzy lata temu. To był upadający szpital.* Wtedy na bloku operacyjnym do południa robili dwa, czasem góra trzy zabiegi. Przerwa między operacjami trwała nawet półtorej godziny. Sprzątanie, mycie sali, a tak naprawdę chirurdzy czekali, aż przyjdzie anestezjolog, bo nie miał kto znieczulić. W każdym miesiącu było 15 dni ostrodyżurowych. To oznaczało, że przez 15 dni nie było operacji planowych, tylko dlatego że nie mieli anestezjologa. Więc przez pół miesiąca blok stał. Ale innym pracownikom, instrumentariuszce czy pielęgniarce anestezjologicznej trzeba było płacić, chociaż nie było ani jednej sali operacyjnej w stałej gotowości. Chirurgia robiła 400–500 zabiegów rocznie.

Na akord

Starostwo postanowiło szpital ratować. Wiadomo, to wizytówka powiatu. I być albo nie być dla jego władz. Udało się uzyskać korzystny kontrakt z NFZ na operacje ortopedyczne, a przy okazji ściągnąć anestezjologów i ortopedów poprzez spółkę prowadzoną przez doświadczonego ortopedę, zatrudniającego kilkunastu rezydentów i młodych lekarzy. Dyrekcja podpisała z nimi umowę, oferując procent od zabiegów. Ortopedia generuje 80 proc. przychodów wadowickiego szpitala.

Można się zastanawiać, dlaczego NFZ podpisuje takie kontrakty ze szpitalem, który nie ma warunków ani specjalistów? – *To są decyzje polityczne, jest presja ze strony ministerstwa, żeby na przykład skrócić kolejkę na operację stawu biodrowego, bo na taki* ▶

© SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 7b9ca5e5e4

▶ *zabieg czeka się dwa lata* – mówi prof. dr hab. Wojciech Gaszyński, wybitny anestezjolog i prezes Polskiego Towarzystwa Medycyny Stanów Nagłych i Medycyny Katastrof. – *NFZ zachęca, zróbcie jeszcze 50 tych endoprotez, żeby kolejka z dwóch lat skróciła się do roku. I wtedy ten szpital raptem musi tą grupą lekarzy, którą ma, wykonać w krótkim czasie taki kontrakt. I albo ściąga na szybko lekarzy, albo zawiera umowę na procent ze specjalistami.*

I wtedy wszyscy, anestezjolodzy, chirurdzy, ortopedzi czy okuliści – jeśli kontrakt dotyczy np. operacji zaćmy – pracują na akord. Tak ruszyło z kopyta w Wadowicach. Po roku robiono już 1,5 tys. zabiegów, trzy razy tyle co przedtem. Ortopedzi byli naprawdę dobrzy, pacjenci zaczęli przyjeżdżać z całej Małopolski, bo rozniosło się, że w Wadowicach dobrze i szybko robią. Pacjenci nie czekają dwa, trzy dni w szpitalu po to tylko, żeby się znalazł anestezjolog, który ich znieczuli do zabiegu. Przepukliny załatwiali w sposób ekspresowy: pacjent przychodził rano, a wychodził zoperowany następnego dnia przed upływem 24 godzin. Starostwo zainwestowało w szpital: za 43 mln zł nadbudowano dwa piętra, żeby można było wygospodarować dodatkowe sale operacyjne. Dyrekcja dokupiła trochę sprzętu. – *Dziś warunki w wadowickim szpitalu są perfekcyjne* – mówi starosta wadowicki Mirosław Sordyl.

– *Na modernizację i rozbudowę placówki wzięliśmy kredyt na 23 mln i do tej pory go spłacamy.* Ale dzięki temu operacje szły nieprzerwanie od poniedziałku do niedzieli, czasem do późnego wieczora, 6–7 dziennie na każdej z pięciu sal, bo tylu było chętnych. Wadowicki szpital stał się jednym z najlepszych ośrodków ortopedycznych w Małopolsce. Pacjenci przyjeżdżają też na chirurgię. Ruszyła okulistyka.

– *Wszyscy byli szczęśliwi. Pacjenci, bo nie ma kolejek, dobrze i szybko zostali zoperowani. Lekarze też zadowoleni, zrobili swoje i dostali za to wynagrodzenie* – mówi starosta. – *Tylko powiat został z problemem. Już przeznaczyliśmy 2,5 mln ekstra na szpital, a na wrześniowej albo październikowej sesji pewnie przekażemy kolejne 4,5 mln. Będziemy jakoś ratować placówkę.*

Już się tu papież nie urodzi

Powiatowy Szpital im. Jana Pawła II w Wadowicach jest dziś zadłużony. – *Niezapłaconych faktur jest w tej chwili na ok. 20 mln zł* – wylicza starosta. Kłopoty zaczęły się, gdy NFZ nie zapłacił szpitalowi 14 mln za tzw. nadwykonania. – *Fundusz przysłał do nas pismo z informacją, że nie będą płacić za operacje, które nie były zakontraktowane, więc decyzję, żeby mimo to wykonywać zabiegi, podjęli zarządzający szpitalem* – starosta podkreśla, że odpowiedzialność ponosi dyrekcja placówki.

Zaryzykowali, bo do tej pory, przez kilka ostatnich lat, NFZ straszył, że nie zapłaci, a później jednak płacił. Więc w październiku, kiedy już wyrobili limity zabiegów, zamiast odsyłać planowych pacjentów do domu z terminem na przyszły rok, operowali dalej te biodra, kolana, kręgosłupy. Tym razem NFZ odmówił zapłaty (dziś wiceprezes NFZ Marek Augustyn mówi: „Będziemy mogli zapłacić, jak będziemy mieli te pieniądze w kasie"). I nagle się okazało, że szpital, który przez ostatnie lata mniej więcej był na bilansie zerowym, w ciągu kilku miesięcy stał się placówką, która ma kilkanaście milionów straty. Zaczęło się szukanie pieniędzy, oszczędzanie. Największe straty miesiąc w miesiąc przynoszą położnictwo i ginekologia. – *Położnictwo nigdzie się nie opłaca, bo tak niskie są wyceny NFZ* – tłumaczy lekarz z wadowickiego szpitala. – *Zwłaszcza cesarskie cięcia to strata dla szpitala. Za endoprotezę biodra szpital dostaje 24 tys. zł, a za cięcie cesarskie, gdzie trzeba mieć anestezjologa, pielęgniarkę, dwóch ginekologów, neonatologa, pielęgniarkę neonatologiczną, położną, instrumentariuszki – 4 tys. zł. I cały ten zespół trzeba utrzymać bez względu na to, czy jest pięć porodów, czy 50. Im mniej porodów, tym strata większa.*

W Wadowicach kiedyś było 2 tys. porodów rocznie. Dziś niewiele ponad 500. Za mało, żeby się opłacało. – *Lepiej zoperować jedno bioderko, niż zrobić osiem cięć* – kwituje pan doktor. Starostwo zaproponowało gminom, żeby do każdego urodzonego dziecka gmina matki dopłacała szpitalowi „becikowe" 10 tys. zł. Wtedy by się porodówka utrzymała. Ale wójtowie nie palili się do wydawania pieniędzy, mimo że w niektórych gminach jest tylko kilka porodów rocznie, więc dla nich wydatek niewielki. – *Dziś szpital tylko z położnictwa i ginekologii ma stratę prawie 5 mln zł* – mówi starosta.

Deficytowy jest także SOR, który dostaje finansowanie z NFZ za dobę, za gotowość. Czy przyjmie 10 pacjentów, czy 100, płacą tyle samo. Jednocześnie NFZ mocno ograniczył badania tomografii komputerowej i rezonansu magnetycznego. W efekcie pacjenci, zamiast czekać 8 czy 10 miesięcy na badanie, przychodzą na SOR z bólem brzucha, zeznają, że od trzech dni nie oddali stolca, i na SOR robią im tomografię jamy brzusznej. Szpital płaci za badanie kilkaset złotych. Im więcej pacjentów i kosztownej diagnostyki, tym większy deficyt SOR.

Dopóki NFZ płacił za nadwykonania chirurgii i ortopedii, szpital stać było na pokrycie strat położnictwa, ginekologii, SOR i intensywnej terapii. I placówka rozkwitła. Jednak na początku 2026 r. sytuacja diametralnie się zmieniła. Kiedy było już 14 mln na minusie, dyrekcja szpitala postanowiła zamknąć położnictwo, które przynosiło milion straty co miesiąc. Decyzja wywołała protesty lokalnej społeczności, skutecznie podsycane przez radnych i posła Filipa Kaczyńskiego z PiS. Podniósł się lament, że już się papież w Wadowicach nie urodzi. I porodówka została. Nie na długo: Ministerstwo Zdrowia zaproponowało właśnie granicę 700 porodów rocznie. Oddziały, które mają mniej, będą likwidowane.

Na kontrakcie

Wszyscy wadowiccy anestezjolodzy są na kontraktach B2B. Lekarze na tych kontraktach są traktowani tak, jakby nie obowiązywał ich Kodeks pracy. – *Ustawa i obowiązujące w Europie przepisy mówią o liczbie godzin przepracowanych w ciągu doby* – mówi prof. Gaszyński. – *A u nas jest to interpretowane w ten sposób, że liczą się godziny tylko w jednym miejscu pracy, jak lekarz pójdzie do innego szpitala, to wszystko jest w porządku.*

Kontrakt anestezjologa w Wadowicach to zazwyczaj sześć całodobowych dyżurów w miesiącu i minimum cztery–sześć dni pracy do godz. 15, bo wtedy jest najwięcej planowych zabiegów. To jest absolutne minimum, które wszyscy przekraczają, i to już daje 200 godzin miesięcznie. Ale żeby zapewnić szpitalowi obsadę anestezjologiczną, muszą brać więcej dyżurów. Anestezjolog kierujący blokiem operacyjnym według kontraktu musi dyżurować tylko raz w miesiącu. Mimo to w lipcu, kiedy zaczął się sezon urlopowy, musiał wziąć osiem całodobowych dyżurów, żeby zapełnić grafik.

– *Są anestezjolodzy pracujący wyłącznie na kontraktach, ale większość zatrudniona na etatach zarabia, w zależności od rangi szpitala, dostępności, procedur, dodatkowych zajęć, kwoty społecznie akceptowalne. Takie rzędu kilkunastu tysięcy złotych* – tłumaczy

eprasa.pl 7b9ca5e5e4

prof. Gaszyński. – *Więcej zarabiają ci, którzy pracują na etatach i kontraktach. Wtedy ta kwota znacznie rośnie, podstawowa pensja, te kilkanaście tysięcy, jest powiększona o kwotę, która wynika z przepracowanych dodatkowych godzin. Średnia stawka godzinowa dla anestezjologa ze specjalizacją to ok. 250 zł za godzinę.*

Najwięcej zarabiają, ale też i najdłużej pracują, kontraktowi. Rekordzista z Wadowic musiał pracować 14 godzin na dobę przez wszystkie dni w roku. Jasne, że tego nie robił, jeden dyżur weekendowy daje 48 przepracowanych godzin i każdy lekarz czy pielęgniarka w trakcie takiego dyżuru jest „w gotowości" i gdy nic się nie dzieje, po prostu śpi. Jednak przepracowanie lekarzy mocno niepokoi społeczeństwo: w najnowszym sondażu CBOS przeprowadzonym dla „Dziennika Gazety Prawnej" na pytanie, jakie działania ich zdaniem powinny zostać podjęte w sprawie wynagradzania lekarzy, najwięcej wskazań – 72,6 proc. – otrzymała odpowiedź dotycząca skuteczniejszej kontroli rzeczywistego czasu pracy medyków. Znacznie mniej pytanych – 38,3 proc. – opowiedziało się za wprowadzeniem maksymalnego limitu wynagrodzeń.

– *Znam takich anestezjologów, którzy praktycznie mieszkali przez tydzień w szpitalu* – mówi prof. Gaszyński. – *Nie przepracowali się, bo taki szpital, mimo że ma teoretycznie dyżur 24-godzinny, nie ma tylu porodów, żeby co dobę było cięcie cesarskie, ani tylu zabiegów chirurgicznych, żeby anestezjolog w nocy pracował. Więc efektywne godziny pracy lekarza mieszczą się w granicach prawa i bezpieczeństwa. Ale stawka za gotowość jest taka sama jak za pracę. Anestezjolog jest 24 godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu według stawki takiej, jakby cały czas znieczulał na bloku operacyjnym. Inaczej nikt by się tego nie podjął.*

Na prowincję nikt nie pójdzie

91 proc. powiatowych szpitali na koniec roku odnotowuje straty. Łączny dług placówek według Związku Powiatów Polskich przekroczył już 9 mld zł, z czego prawie 1,5 mld to zobowiązania wymagalne. A pośrednia przyczyna finansowych kłopotów szpitali to ambicje lokalnych włodarzy, którzy stają na rzęsach, by pozyskać lukratywne kontrakty dla „swojego" szpitala. Gdy się uda, trzeba znaleźć lekarzy niezbędnych do ich wykonania. Za każdą cenę, nawet windując godzinowe stawki na niespotykane do tej pory w ochronie zdrowia poziomy.

Ministerstwo Zdrowia chce wprowadzić limity czasu pracy lekarzy, obejmujące również osoby zatrudnione na kontraktach i pracujące w kilku placówkach. Limit ma zostać wypracowany wspólnie z dyrektorami szpitali oraz samorządem lekarskim. Naczelna Rada Lekarska proponuje, by każdy lekarz mógł pracować maksymalnie 312 godzin miesięcznie, 78 godzin tygodniowo. Wszyscy zgadzają się, że wielodniowe dyżurowe maratony lekarzy stanowią realne zagrożenie dla pacjentów, ale jeden sztywny limit może ograniczyć dostępność świadczeń. Największe obawy dotyczą SOR, gdzie już dziś bardzo trudno zapełnić grafiki.

Do tego rząd ustalił limit zarobków lekarza na 250 zł za godzinę na dwóch etatach, co miesięcznie da maksymalne wynagrodzenie 76,8 tys. zł. Premier Tusk podkreślił, że to 16-krotność minimalnej pensji, zatem „biedy nie ma". Tomasz Paczkowski, prezes Szpitala Powiatowego w Rawiczu i wiceprezes Ogólnopolskiego Związku Pracodawców Szpitali Powiatowych, w rozmowie z Business Insider podkreśla, że limit wynagrodzeń dla lekarzy zaproponowany przez Ministerstwo Zdrowia doprowadzi do wzrostu presji płacowej ze strony lekarzy zarabiających obecnie niższe stawki.

Kolejną propozycją Ministerstwa Zdrowia jest zobowiązanie lekarza do pracy na co najmniej pół etatu w jednym szpitalu, z koniecznością uzyskania zgody pracodawcy na pracę w innych placówkach. Zdaniem prezesa Paczkowskiego takie rozwiązanie może prowadzić do likwidacji szpitali powiatowych, które już teraz borykają się z brakiem specjalistów. – *Często mam telefony od dyrektorów szpitali powiatowych, którzy nagle stracili anestezjologa, bo np. zachorował, i błagają, czy nie przysłałbym kogoś z zespołu, żeby zabezpieczał szpital, dobrze zapłacą, bo mają nóż na gardle* – opowiada prof. Gaszyński.

Jak nie będą mogli zaoferować specjaliście wyższej stawki, to nikt na prowincję, ze szpitala wojewódzkiego czy klinicznego, nie pojedzie. Nawet jeżeli dyrektor wyrazi zgodę na dodatkowe zatrudnienie. – *Może nie wszędzie, ale będą takie miejsca, gdzie wprowadzenie sztywnego zakazu może spowodować poważne problemy* – mówi senator Lewicy Wojciech Konieczny, były wiceminister zdrowia, który przez lata kierował Miejskim Szpitalem w Częstochowie. – *Są prowincjonalne szpitale, które dosłownie wiszą na dwóch anestezjologach. Jak jeden wypadnie, będzie katastrofa.*

Na pewno problem będzie dotyczył anestezjologów, których jest za mało. – *Zwłaszcza w stosunku do warunków, jakie stawia NFZ* – mówi prof. Gaszyński. – *Przy niektórych procedurach jest wymóg obecności anestezjologa. Np. przy operacjach zaćmy, które wykonywane są w znieczuleniu miejscowym przez okulistę. Argumentują to tym, że część tych pacjentów to są starsi ludzie o podwyższonym ryzyku.*

Samorządowcy do „reform" ministerstwa odnoszą się krytycznie: punktują ich doraźny charakter, brak instrumentów służących restrukturyzacji zadłużonych szpitali czy rozwiązania problemu zbyt niskich wycen świadczeń. – *Zapraszam wszystkich, którzy wymyślają tego typu limity – np. 250 zł za godzinę pracy lekarza lub maksymalnie 60–70-procentowy udział nakładów na płace w budżecie szpitala – żeby przez jakiś czas pozarządzali sobie taką placówką i próbowali osiągnąć owe wskaźniki* – mówi Marek Wójcik, ekspert Związku Miast Polskich, w rozmowie z Portalem Samorządowym.

Założę czapkę i do widzenia

Co na propozycje rządu mówią lekarze? – *250 zł za godzinę to raptem 10 zł mniej, niż mają „milionerzy z Wadowic", którzy zarobili dziesiątki milionów dla tego szpitala* – mówi anestezjolog pracujący w Wadowicach. A następnie rozjeżdża ministerialny pomysł walcem: – *Można nas zmusić ustawowo do wzięcia etatu. Ale już nie do tego, żebyśmy dyżurowali. Jest klauzula opt-out i nie można zmusić lekarza, żeby ją podpisał i pracował więcej niż 48 godzin tygodniowo. Według propozycji pani minister każdy lekarz w szpitalu będzie musiał być zatrudniony przynajmniej na pół etatu. Bardzo proszę. Przyjdę do pracy w poniedziałek, wtorek, środę i koniec. Nie wezmę żadnej soboty, niedzieli ani żadnego święta. Pół etatu to jest 96 godzin. Czyli cztery dyżury po 24 godziny. Resztę będę miał wolne. Będę żył jak normalny człowiek, a jeśli będę chciał dorobić, pójdę np. znieczulać przy kolonoskopiach – płacą 500 zł za godzinę. Albo na jakąś okulistykę prywatną czy stomatologię.*

Jeszcze lepiej na tym wyjdę, bo będę miał opłacony ZUS, pięć tygodni urlopu, opiekę nad dzieckiem, chorobowe. Tylko bardzo mnie ciekawi, jak my wszyscy będziemy już na pół etatu, to kto będzie znieczulał do operacji w szpitalu. Bo ja po 15.00 założę czapkę i powiem: do widzenia.

AGNIESZKA SOWA

eprasa.pl 7b9ca5e5e4



Rajd Teamu Bride

Są sztuczne penisy, balony, limuzyny, dużo alkoholu, czasem nawet striptiz – wieczory panieńskie bywają wydarzeniami wysokiego ryzyka.

KATARZYNA KACZOROWSKA

Nie zawsze wieczór panieński ma tak spektakularną oprawę jak ten sprzed kilku tygodni, który zakończył się wyprowadzeniem panny młodej i jej druhen z samolotu lecącego do Zadaru. Ale to nie oznacza, że te, które nie stają się publicznym wydarzeniem, przebiegają spokojnie. I to nie zależy od tego, ile polało się na nim alkoholu, a bardziej od tego, kto się bawi. Wieczory panieńskie i ich oprawa to dziś sprawa klasowa.

Rozróba w samolocie

O awanturze na pokładzie samolotu z Wrocławia do Zadaru poinformowały chyba wszystkie media w Polsce. Sama informacja nie oddawała jednak tego, co można było zobaczyć na filmach nagrywanych telefonami przez współpasażerów. Wyzwiska fruwały pod sufitem, podobnie zresztą jak ślina, bo krewkie panny nie tylko kazały sobie wzajemnie wyp... z samolotu, ale też opluwały siebie, nie bacząc, że ofiarą może zostać przypadkowa osoba. Przez media, nie tylko społecznościowe, przetoczyła się fala zdumienia, zniesmaczenia i każdy coś tam dokładał od siebie w zbiorowym oburzeniu na akcję panny młodej i jej towarzyszek, które koniec końców do Zadaru, a więc na zaplanowany tam wieczór panieński, nie poleciały. Jeden z obserwatorów medialnych doniesień zadał sobie trud i zebrał komentarze świadków spod jednego z artykułów – zbudował z tego zgrabną opowieść o zajściu.

No więc wszystko zaczęło się w hali odlotów, gdzie pojawiły się cztery panny w koszulkach z napisem „Team Bride" (zespół panny młodej). Jedna z nich, którą potem mogła zobaczyć cała Polska, miała na głowie welon. Nie wiadomo, czy istotnie o 8 rano całe były w brokacie, czy jadąc na wrocławskie lotnisko z Bolesławca piły prosecco, a w kabinowych walizkach (na city break nikt przecież nie bierze wieloryba z kupą ciuchów) miały mnóstwo erotycznych zabawek w kształcie penisa. Faktem ponoć jest, że w tejże hali spotkały znajome. I wtedy miała paść kwestia jak z westernu: „Marlena? Nie wierzę! S...ko, co tu

©SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 7b9ca5e5e4

robisz, myślałam, że wyemigrowałaś?!" wraz z odpowiedzią: „You wish! To twój były wyemigrował. Do mnie, hehe". Po tym słownym pojedynku nastąpiła wymiana zwyczajowych gestów z podniesionym środkowym palcem, po czym obie grupy zajęły strategicznie miejsca w odległych kątach hali. Tyle tylko, że spotkały się na pokładzie samolotu, siadając zaledwie kilka rzędów od siebie. I wtedy ponoć wywołana już Marlena nie wytrzymała ciśnienia i rzuciła do Bride: „Podobno podnosisz standardy? Ja też. Najpierw odbiłam ci chłopaka, teraz odbiję ci męża". I tak zaczęła się akcja, którą wszyscy później mogli obejrzeć w socialach.

Ta historia wpisuje się w zjawisko hucznie obchodzonych wieczorów kawalerskich, a obecnie i panieńskich, które w masowej i karykaturalnej wersji przywieźli do Polski Anglicy wraz z otwarciem tanich linii lotniczych. Obyczaj przyjął się wśród Polaków i szybko do organizowania ostatniego wieczoru wolności – bywa, że rozumianej dosłownie – dołączyły Polki.

Szalony karzeł, ostra rusałka

Karolina Smolarek, która od 20 lat organizuje wieczory panieńskie w największych miastach Polski, nie kryje, że ten słynny na całą Polskę niedoszły dla kilku kobiet lot do Zadaru to ekstremum, choć z drugiej strony wieczory panieńskie bywają wydarzeniami wysokiego ryzyka, zwłaszcza wtedy, gdy brakuje kontroli nad używkami, głównie alkoholem. Zwykle bowiem impreza, którą organizuje druhna, to rejs stateczkiem po rzece, z zapewnionym cateringiem, a potem zabawa w klubie. Do cateringu można też zamówić tancerza np. ze striptizem. Są eventy lajtowe – z warsztatami ceramicznymi czy malarskimi, choć tu można zamówić warsztaty z malowania nagiego modela. Ale są też pomysły z gatunku niekonwencjonalnych, np. „Szalony karzeł", kiedy niskorosły pracownik firmy panieńskie.pl przypina się do panny młodej kajdankami i cały czas z nią chodzi.

– *Organizujemy także aresztowanie lub porwanie panny młodej. Podczas tego pierwszego nasi aktorzy zakuwają ją w kajdanki, podczas tego drugiego jest ostrzej, bo ma nakładany worek na głowę. W obu wariantach jest wożona samochodem po mieście i na końcu trafia do klubu, gdzie czekają na nią koleżanki* – opowiada Smolarek. I przyznaje, że akurat ta atrakcja wymaga dobrej znajomości osoby, której się ją funduje, bo raz aresztowana została dziewczyna, która na swój wieczór panieński przyjechała z zagranicy. – *Była autentycznie przerażona, cały czas płakała, więc do klubu została zawieziona szybciej, niż planowano. A tam pokłóciła się z koleżankami i obraziła się na nie za ten pomysł* – wspomina organizatorka eventów, dodając, że jest na każdym wieczorze, który organizuje jej firma, więc zdarza się jej też wysłuchiwać awantur i wyzwisk. Bo np. druhny wymyślą sobie, że limuzyna wjedzie po nie na rynek we Wrocławiu czy Krakowie, gdzie wjechać nie może. Może za to przyjść po nie przewodniczka i przejść z nimi te 100 czy 200 m do auta.

– *I awantura gotowa, bo one mają szpilki i po kostce nie da się w nich iść...* – Karolina Smolarek do dzisiaj pamięta też kłótnię, jaką dziewczyny na wieczorze panieńskim urządziły pod jednym z klubów, do którego nie chcieli ich wpuścić ochroniarze. A nie chcieli, bo jedna z nich nie była w stanie w ogóle iść – tyle wypiła. Na szybko więc Smolarek organizowała nowy klub. Spacer się sprawdził, dziewczyny, a szczególnie ta jedna, przetrzeźwiały. I tym razem już zostały wpuszczone do środka.

– *Ale fakt, że te wieczory, tak panieńskie, jak i kawalerskie, organizuję od tylu lat, pokazuje, że ekstrema to naprawdę margines. Dobra zabawa nie oznacza od razu awantury. Druhny starają się, by ten wieczór zapadł w pamięć panny młodej jak najlepiej, stąd też starannie przemyślane atrakcje. Wieczór panieński jest zawsze wyjątkowym przeżyciem, w dobrym tych słów znaczeniu. I naszym zadaniem jest zrobić wszystko, by taki właśnie był* – uśmiecha się Karolina Smolarek.

Jak nie rura, to striptiz

Anka na wieczorze panieńskim była raz w życiu – za mąż wybierała się kuzynka młodsza od niej o 15 lat. – *Te wieczory dopiero raczkowały, więc wszystko było organizowane chałupniczo, czyli na własną rękę. Przyjaciółki Baśki wyznaczyły miejsce zbiórki – szkoła jogi. Na miejscu okazało się, że mamy godzinną lekcję tańca na rurze do piosenki Joe Cockera „Baby, take off your coat". A ja nałożyłam ołówkową spódnicę i musiałabym ją chyba podciągnąć do pępka albo zdjąć i świecić majtkami* – Anka ze śmiechem przyznaje, że erotyczny taniec, w którym na użytek domowy rurę zastąpiło krzesło, wychodził im kiepsko. Koniec końców kilkuosobowa grupka po lekcji poszła do hiszpańskiej knajpki na wrocławskim rynku, zjadła ziemniaczaną tortillę, wypiła dwie butelki wina i grzecznie się rozeszła, szykując się na przyjęcie weselne następnego dnia.

W 2025 r. w Polsce zawarto 133 tys. małżeństw. Sporą część z nich poprzedzają wieczory panieńskie, organizowane na wzór od lat obecnych na rynku wieczorów kawalerskich. Jedne i drugie zresztą obrosły legendami i opowieściami o bezeceństwach i breweriach. Na tych panieńskich pojawiają się sztuczne penisy, a najlepiej, jeśli druhny zamówią tancerza, który rozbierze się do rosołu. Jeden z nich, zastrzegając anonimowość, mówi wprost: – *Ja i moi koledzy z zespołu nie rozbieramy się. Precyzyjniej, rozbieramy się do stringów. Reszta stroju zależy od zamówienia. Podobnie jak muzyka, która będzie pasować do strażaka, lekarza czy policjanta.*

Tancerz do wynajęcia uważa, że wieczory mniejszego ryzyka organizowane są w... domach. W klubach bowiem zdarza się, że pojawi się znienacka obca i niekoniecznie trzeźwa osoba, a wtedy temperatura rośnie. – *Największym wyzwalaczem niekontrolowanych zachowań jest alkohol. I mówiąc wprost, facet, jak pije, to wie, że kiedy przegnie, może dostać w mordę. Pijana kobieta myśli, że wolno jej wszystko, bo przecież jest kobietą* – mówi tancerz. A pytany, co jest istotne dla uczestniczek wieczorów panieńskich: muskulatura czy umiejętności taneczne, odpowiada, że idealnie, kiedy uda się je połączyć, ale jeśli już, to raczej muskulatura, czyli dobrze zbudowany facet. – *Najwyraźniej w domu mają chłopaka z brzuszkiem, takiego leniwca z kanapy. To przynajmniej sobie popatrzą* – uśmiecha się, upewniając, że rozmowa na pewno nie jest nagrywana.

Slow Evening i Solo Moon

Kilka lat temu Slowhop, platforma internetowa zrzeszająca właścicieli agroturystyk i domków do wynajęcia, opublikowała ranking nieoczywistych miejsc na wieczory panieńskie. Można go znaleźć w sieci do dzisiaj – są domy nad jeziorami, z sauną czy balią na łące. Są przepiękne krajobrazy, przyroda i... cisza. Aleksandra Klonowska-Szałek ze Slowhop przyznaje, że ten ranking powstał dlatego, że właścicielom tych miejscówek nie jest wszystko jedno, kto do nich przyjeżdża.

– *Powiedziałabym, że to takie otoczenie o wyglądzie jak z Pinteresta, czyli z jakiegoś katalogu. I nikt w takim otoczeniu nie zorganizuje* ▶

eprasa.pl 7b9ca5e5e4



▶ *imprezy do odcięcia z nadmiaru alkoholu* – mówi Klonowska-Szałek. I dodaje, że co do spożycia, to wynajmujący domki czy przyjmujący do agroturystyk spod szyldu Slowhop mają wspólną obserwację: spada. Więc tak jak jeszcze do niedawna zostawiali gościom nalewkę na stole na dobry początek wieczoru, tak teraz nie zostawiają nic, bo jakoś tak głupio.

– *U nas wieczory organizują dziewczyny świadome, szukające raczej spokoju przed ślubem, który wiąże się zawsze z jakimś stresem. Na Zachodzie coraz modniejszy jest tzw. Solo Moon, kiedy druhny organizują taki wyjazd tylko dla panny młodej, dając jej czas na wyciszenie. Jestem pewna, że ten trend też do nas niedługo przyjdzie, ale to nie będzie pomysł dla każdego, bo nie będzie limuzyn, balonów, gumowych penisów, tylko cisza, spokój i zanurzenie w samej sobie.* Klonowska-Szałek, mówiąc o świadomym wyborze, przywołuje przykłady z pandemii, kiedy po lockdownie turyści zaczęli przyjeżdżać w miejsca spoza listy resortów w kurortach. Ci przyzwyczajeni do tłoku, dyskotek, gofrów, lodów i grilla przy piwie narzekali, że owszem, siedzą w przyrodzie, ale w tej przyrodzie nie ma co robić...

A Karolina Smolarek, organizująca eventy w dużych miastach, dodaje: – *Zawsze, kiedy spotykam się z grupą, której organizujemy wieczór panieński, pytam, skąd te dziewczyny są. I jest regułą, że te z mniejszych miejscowości szaleją, chcą limuzynę, balony, konfetti i piją więcej. A te z dużych miast jakby były z tą wielkomiejskością oswojone i nie zwracają na siebie takiej uwagi.*

Odwieczne rytuały przejścia

Dr Agata Rejowska z Instytutu Filozofii i Socjologii Polskiej Akademii Nauk, pytana o wieczory panieńskie, przekonuje, że ten zwyczaj i silny rynkowy trend nie pojawiły się *ex nihilo*, czyli z niczego. Ludzie od wieków praktykowali różne rytuały przejścia, a więc te, które wprowadzały pannę w życie, jakie miało ją czekać po ślubie. Tyle tylko, że rytuały miały inny charakter niż to, co widzimy dzisiaj.

– *Przede wszystkim wieczory panieńskie, nazywane też wieczorami dziewiczymi, miały na celu rytualne pożegnanie stanu panieństwa. Kluczowym elementem spotkania było plecenie wianka, ważnego rekwizytu obrzędu weselnego, symbolizującego dziewictwo. Wieczory te przygotowywały też do nowej roli społecznej, stąd na spotkanie przynoszone były różne dary, czyli przedmioty, które pannie młodej miały się przydać do życia małżeńskiego i pielęgnowania ogniska domowego. Te garnki, pierzyna, poszwy, obrusy od razu umiejscawiały pannę w sferze domowej* – mówi dr Rejowska. I dopowiada, że dzisiaj, jeśli para decyduje się na ślub po kilku latach mieszkania razem, to garnki i pościel już ma, więc ten kontekst rytuału stracił znaczenie, ale nie oznacza to, że zwyczaj obdarowywania panny młodej zniknął. Bo teraz zamiast garnków i obrusów na wieczory panieńskie przynosi się różne erotyczne gadżety.

– *I to jest kompletne przełamanie tabu. Bo pokazuje, że kobiety, wchodząc w małżeństwo, nie akcentują sfery domowej, ale manifestują publicznie swoją seksualność jako ważną część ich tożsamości. I to, że z tej seksualności czerpią przyjemność* – dla socjolożki z PAN to jest też dowód na to, że kobieca seksualność przestała być przypisana wyłącznie małżeństwu. Co nie oznacza, że wciąż nie mamy do czynienia z podwójną moralnością. – *Stąd to zniesmaczenie i oburzenie, jakie często wywołują dziewczyny, które idą na wieczór panieński grupką i mają na głowach rogi à la diabeł lub uszy króliczka jak z Playboya.* Bo te rogi, króliczе uszy, dmuchane penisy niesione przez miasto to znak, że kobiety seks uprawiają i przed ślubem, i bez ślubu. Ale ta jedna, w tym konkretnym momencie swojego życia, podobnie jak mężczyzna na wieczorze kawalerskim żegna się ze swobodą i wybiera związek monogamiczny. A nadmiernie zgorszonych dr Rejowska uspokaja, że alkohol w rytuałach przejścia, bo tak socjolożka patrzy na wieczór panieński, nie jest niczym dziwnym – środki psychoaktywne (i seks) od wieków były istotne w transgresji.

– *A jak patrzymy na te wieczory stricte badawczo, to warto też sięgnąć po koncepcję karnawału, czyli świata odwróconego, w którym król staje się żebrakiem, a żebrak królem. Stąd te czasami szokujące obserwatorów zachowania. W rytuale przejścia człowiek zostaje też oderwany od swojej dotychczasowej roli społecznej czy stanu. Tu więc można powiedzieć, że kobieta na wieczorze panieńskim przestaje być panną, ale nie jest też mężatką, a więc jest odseparowana od swojego dotychczasowego życia, i jeszcze nie weszła w to nowe, które nadejdzie.* Dr Agata Rejowska jednocześnie dodaje, że z badań wiadomo, że klasa średnia i wyższa generalnie są bardziej powściągliwe. Klasy ludowe są zaś w ekspresji radości bardziej bezpośrednie. Widać to na weselach, domykających wieczory panieńskie (i kawalerskie), np. podczas zabaw takich jak przetaczanie jajka przez nogawki spodni pana młodego czy taniec panny młodej z wałkiem między nogami. – *Okazuje się wtedy, że wielu gości weselnych, często rozluźnionych alkoholem, obejmuje ten nasz polski habitus ludowy, którego się tak wypieramy...* – uśmiecha się socjolożka. I dodaje, że podczas wieczoru panieńskiego i wesela tym, co jest najważniejsze, jest wspólnota, bo wieczór przecież zwykle organizuje druhna, czyli świadkowa, która przeprowadza pannę młodą przez największą zmianę w jej życiu. I jakby coś w tej zmianie zaczęło trzeszczeć, to zgodnie z tradycją powinna być wsparciem dla małżeństwa.

A może w saloniku VIP?

Po głośnym i niedoszłym wieczorze panieńskim w Zadarze marketingowcy z Portu Lotniczego Wrocław postanowili wykorzystać katastrofę. I na swoich mediach społecznościowych opublikowali zaproszenie do skorzystania z saloniku VIP i zorganizowania tam wieczoru panieńskiego. „Zawitajcie do naszego saloniku i rozpocznijcie podróż z klasą. Komfortowa przestrzeń, indywidualna obsługa i kameralna atmosfera sprawią, że świętowanie zacznie się jeszcze przed wylotem" – dwugodzinny pobyt z jedzeniem i piciem to 149 zł (przy rezerwacji online 139 zł). Za 199 zł można dokupić usługę przejazdu limuzyną prosto do samolotu. Może tym razem już bez plucia na pokładzie i interwencji Straży Granicznej...

KATARZYNA KACZOROWSKA

© PIOTR BŁAWICKI/EAST NEWS

eprasa.pl 7b9ca5e5e4

Szczęściarz Luke

W 2026 r. na pierwsze miejsce listy najbogatszych Polaków znienacka wskoczył emigrant z Tarnowa Luke Nosek. Choć Luke to już nie Łukasz, to o ojczyźnie nie zapomina.



© MICHAEL NAGLE/BLOOMBERG/GETTY IMAGES

MARTYNA BUNDA

Luke Nosek wyprzedził wszystkie budowane przez dekady polskie fortuny. Z majątkiem oszacowanym na 24 mld zł stanął przed Michałem Sołowowem, Jerzym Starakiem, Tomaszem Biernackim czy Zygmuntem Solorzem. Przegonił rodzinne imperia Kulczyków, Karkosików, Gołębiewskich czy Stokłosów. Wskoczył wyżej niż dobrze znane wszystkim nazwiska Rafała Brzoski czy Zbigniewa Jakubasa. Ograł nawet ikony nowoczesnych technologii; Michał Kiciński, współtwórca jednej z najsłynniejszych gier komputerowych na świecie – „Wiedźmina" – jest dopiero na 50. miejscu listy. Wszyscy oni musieli ustąpić miejsca 51-latkowi urodzonemu w Tarnowie, posiadaczowi 0,22 proc. akcji firmy SpaceX Elona Muska.

Kiedy Luke Nosek, w polskiej rodzinie wciąż znany jako Łukasz, przylatuje do Tarnowa, nie rzuca się w oczy. Szczupły, uprzejmy człowiek w średnim wieku, choć wyglądający raczej młodo niż staro, w podkoszulku i sportowych butach. Z żoną i trójką dzieci, w tym z niemowlęciem w nosidełku, nie robi wokół siebie zamieszania. A przylatuje nawet dwa razy do roku. I to rejsowym lotem, choć właściwie stać go na własny samolot.

W Tarnowie nie spotyka się z włodarzami miasta, którzy zwykle nic o jego odwiedzinach nie wiedzą, a jeśli wiedzą, to się nie chwalą. W mieście uważa się to za sprawę wewnątrzrodzinną. Nie wizytuje również uczelni ani nie udziela wywiadów. Po prostu z lotniska jedzie do ciotki i wuja do Zagłobic. Spotyka wujostwo, kuzynów, chwali sukcesy najmłodszego pokolenia (syn ciotki Lidii, 19-letni Maciej, w 2024 r. zaczął wygrywać w wyścigach Formuły 3 na międzynarodowych torach i o nim też już pisze prasa). Dyskutuje z wujem o winylach – Janusz Gładysz słucha muzyki i kolekcjonuje płyty, a już najchętniej z autografami gwiazd, jak TSA. Inna rzecz, że niektóre z gwiazd trzeba dopiero Łukaszowi przybliżyć, bo lata za oceanem odcięły go trochę od rodzimej kultury. Miliarder zostaje na dzień albo kilka, nim ruszy dalej, w interesach. W 2025 r. był w Tarnowie dwa razy. Łatwo mu się wtopić w tłum, bo ciągle mówi po polsku, ▶

eprasa.pl 7b9ca5e5e4

▶ choć z silnym akcentem. W Stanach, zwłaszcza w Kalifornii, był znacznie bardziej rozpoznawalny niż w Polsce. Trochę się to zmieniło, gdy w 2019 r. Michał Karbowiak napisał w „Newsweeku", że Polak Luke Nosek będzie wraz z Elonem Muskiem wysyłał ludzi na Marsa. Ale Nosek ciągle mógł przejść ulicami Tarnowa, nie będąc przez nikogo zaczepionym.

Za to rodzina, którą odwiedza, jest w mieście dobrze znana. Wuj Janusz od lat 90. sprzedawał w regionie Volkswageny, potem Audi, i zbudował coś na kształt małego imperium. W 2015 r. był nawet kandydatem na prezydenta Tarnowa z ramienia Zjednoczonej Prawicy. Miasto zalały wówczas fotografie Gładysza z Beatą Szydło i Andrzejem Dudą, co samo w sobie nie okazało się złotym środkiem na wygraną. A że Gładysz potrafił liczyć, to wycofał się z walki o stołek tuż przed wyborami.

O bratanku z POLITYKĄ rozmawiać nie chce. Również dlatego, że nie ta opcja polityczna. Ale poglądy nie przeszkadzają mu dyskutować o słynnym krewnym z prezydentem miasta Jakubem Kwaśnym z Koalicji Obywatelskiej. Prezydent stawia na delikatność i nieinwazyjność. Nie wtrąca się w życie rodzinne, uznając wizyty światowej sławy Tarnowianina za taką właśnie sprawę, rodzinną. Chętnie wsparłby markę Tarnów na nazwisku formatu Noska, gdyby była taka wola i zgoda. Na razie wciąż nie było wystarczająco poważnego pretekstu, żeby zawracać głowę miliarderowi – ale za cztery lata wypada 700-lecie Tarnowa. Może wtedy pretekst będzie odpowiedni. Tylko jak opowiedzieć tę historię, w której proza życia tak zgrabnie połączyła się z elementem bajkowym, i nie chodzi tylko o bajeczną fortunę?

Łukasz, jeszcze nie Luke, miał trzy lata, gdy wylądował w Ameryce. Była to bardziej ucieczka niż wyjazd. Oficjalnie na narty z rodziną do Austrii. A później to już klasyka emigracji lat 80. Obóz dla uchodźców i kombinowanie, jak się z niego wyrwać do Chicago, gdzie czekała już na nich babcia Łukasza ze strony matki.

Potem było kilka lat w ciasnocie, w mieszkanku babci, z ojcem biorącym źle płatne prace na nocne zmiany, z młodszą siostrą w jednym pokoju. Też typowa historia, w której emigranci brali najgorsze roboty, ale jak przeliczali, to wychodziło im, że w godzinę zarabiali więcej niż w Polsce w miesiąc. Roman, głowa rodziny, miał w głowie inny licznik. I inne ambicje, które ostatecznie zaprowadziły go do biura projektowego firmy stawiającej elektrownie atomowe. Ameryka wierzyła jeszcze wtedy w atom. No i szanowała klasę średnią. Noskom żyło się coraz lepiej. Potrafili też temu sukcesowi pomóc. Z czasem ojciec założył własną firmę transportową. Mama, Danuta, znalazła zatrudnienie jako chemiczka w firmie Castrol. Z perspektywy Stanów byli średniakami. Z perspektywy Tarnowa bogaczami pełną gębą. To pewnie również miało przełożenie na żywe relacje z ojczyzną.

Sam Łukasz, który szybko stał się Lukiem, żeby nowi sąsiedzi nie musieli kaleczyć języka, budował już zgoła inne relacje. Głównie z komputerami, które od małego obsługiwał, rozbierał na części, budował, a z czasem również programował. Uniwersytet Illinois Urbana-Champaign miał tę zaletę, że był stosunkowo niedrogi; płaciło się tylko nieco więcej niż za najtańszy, stanowy czteroletni college, i nikłą część sumy, jaką w tamtym czasie pobierały renomowane uczelnie. Z czasem okazało się, że rodzina wybrała późniejszą kolebkę światowego internetu. Dziś Łukasz Nosek jest wymieniany wśród najważniejszych adeptów swojego uniwersytetu, a sama uczelnia uchodzi za wylęgarnię internetowych tuzów.

Najbogatszy Polak na świecie kojarzony jest z firmą PayPal i historią tworzenia się internetu w ogóle. Tyle że na Zachodzie mało kto kojarzy, że ma polskie korzenie, nie mówiąc już o tym, żeby uważać go za Polaka. Za kogo on sam się uważa, trudno powiedzieć, bo niechętnie mówi o sobie i swoich emocjach. Jeśli już, to o PayPalu.

A przecież kulisy powstania najsłynniejszego systemu płatniczego świata to w stu procentach imigrancka historia. Zaczęło się na Uniwersytecie Illinois Urbana-Champaign, gdzie student informatyki Luke Nosek poznał dwóch innych programistów imigrantów: Maxa Levchina z Ukrainy i Petera Thiela z Niemiec. Uniwersytet był duży, stanowy. Bez prestiżu Yale czy Harvardu, ale za to z dobrymi wynikami w nauczaniu przedmiotów technicznych. Komputery dopiero się pojawiały na świecie, a programiści to była dość szczególna kasta studentów. Rozmawiali wciąż o szalonym pomyśle, wynalazku przyszłości – internetowej sieci oplatającej glob. A ta konkretna trójka przyjaciół z imigranckich rodzin miała



Gdy Elonowi Muskowi (na fot. na gali w Berlinie) **kończyły**

też podobnie twórczy stosunek do eksperymentu, np. podpięcie do raczkującego internetu maszyny do sprzedaży napojów, tak żeby można było je zamawiać z innego krańca budynku.

Z czasem kumple zaczęli się zastanawiać, jak dzięki sieci internetowej można by skuteczniej i taniej przesyłać pieniądze ze Stanów do rodzin za granicą. Dla ich bliskich było to nie lada wyzwanie. Jeszcze w latach 90., żeby wysłać dolary do Polski czy Ukrainy, należało wypisać papierowy czek i wsadzić go do koperty. Jeśli dotarł do celu, można go było zrealizować w banku, płacąc słoną prowizję. O ile w ogóle znalazło się bank, który wiedział, co to czek i jak go zrealizować.

PayPal, projekt studentów imigrantów, a potem międzynarodowe komputerowe systemy bankowe wywróciły stolik opłat, przelewów i mikropłatności. PayPal nie był czymś oryginalnym, bo podobnych start-upów było więcej. Ale to Nosek z kolegami na tyle dobrze zaprojektowali swój pomysł, że udało się go sfinansować i dokończyć – i z czasem sprzedać eBayowi. Tak w skrócie zaczęła się historia, która

eprasa.pl 7b9ca5e5e4

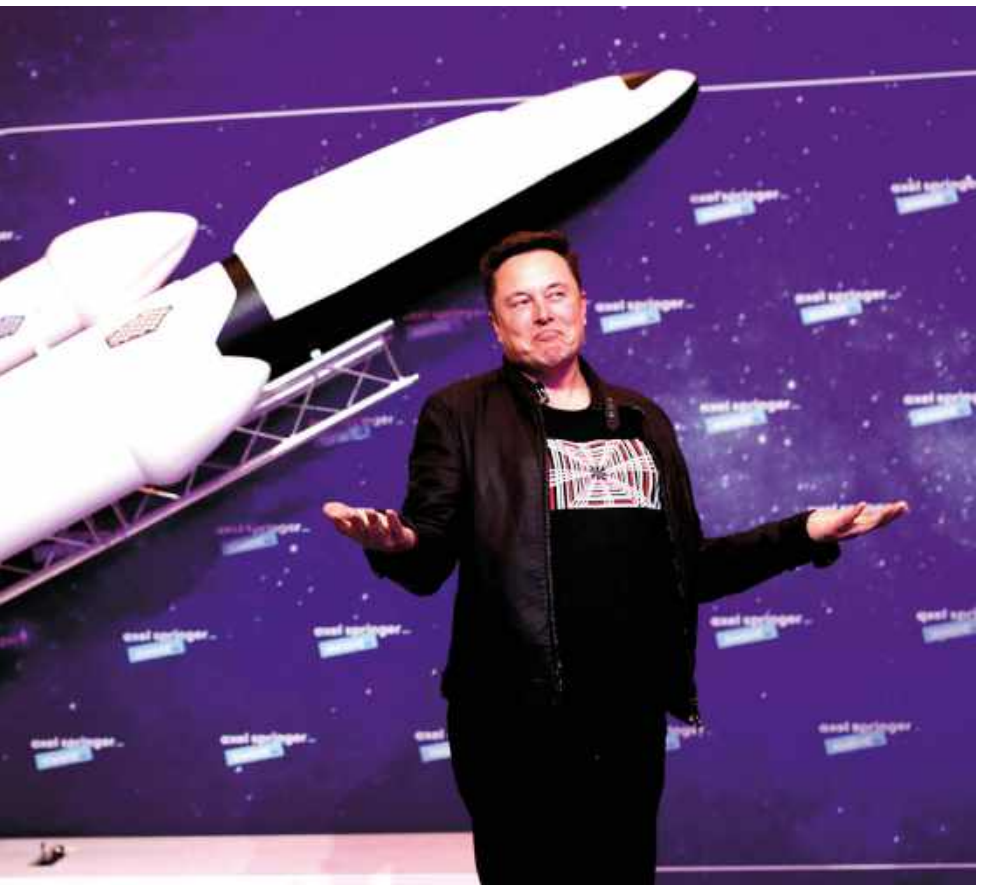

© HANNIBAL HANSCHKE-POOL/GETTY IMAGES

się środki na rozwój SpaceX, fundusz związany z Lukiem Noskiem zainwestował w spółkę 20 mln dol.

zawiodła Luke'a Noska na pierwsze miejsce listy najbogatszych Polaków.

Ale nim to się stało, PayPal sprawił, że Luke Nosek poznał Elona Muska, który też pracował nad systemem płatności online. Firma trzech studentów imigrantów z Illinois Urbana-Champaign i X.com, firma Muska, początkowo walczyły ze sobą o tych samych klientów. Muskowi spodobał się pomysł konkurencji – a konkretnie Noska – żeby płacić własnym klientom premię za każdego znajomego, który też zacznie korzystać z ich produktu. Panowie usiedli przy stole i ustalili, że zamiast wykrwawiać się w walce, połączą siły.

Ale to, co na papierze wyglądało świetnie, w praktyce wychodziło gorzej. Dwóch firm, dwóch osobnych struktur, nie udało się w sobie rozpuścić. Ludziom od PayPala nie podobało się wiele posunięć Muska – na czele z pomysłem likwidacji marki PayPal i zastąpienia jej wymyślonym przez Muska X.com. Z badań wynikało, że ta druga marka klientom kojarzy się raczej z pornografią.

Gdy Elon Musk wyjechał w podróż poślubną, ludzie z PayPala pozbyli się go z zarządu firmy. Dyrektorzy wywodzący się ze struktury PayPala jednocześnie złożyli na ręce rady nadzorczej rezygnacje i ultimatum – zostaną, jeśli rada odwoła Muska. W czasie podróży poślubnej Musk dowiedział się więc, że już nie prezesuje swojej firmie. Przyjaźni z Noskiem to jednak nie zaszkodziło. Gdy Elonowi Muskowi kończyły się fundusze na rozwój SpaceX, to właśnie fundusz powiązany z Noskiem zainwestował w spółkę 20 mln dol. Nosek stał się pierwszym instytucjonalnym inwestorem firmy kosmicznej, a obecnie zasiada w jej radzie nadzorczej. 20 mln dol., które fundusz Noska wyłożył na ten cel, to chyba najlepiej zainwestowane pieniądze w historii biznesu. Dzięki nim w czerwcu 2026 r. po debiucie giełdowym i wycenie akcji SpaceX Łukasz Nosek obudził się na serio bardzo bogaty. Niewielki pakiet posiadanych przez niego akcji okazał się wart ponad 7 mld dol.

Na tle europejskich fortun to i tak co najwyżej pokaźny majątek. Najbogatszy Francuz posiada fortunę wartą ponad 580 mld zł, najbogatszy Włoch – ponad 480 mld zł, a Niemcy i Szwajcarzy lokują się blisko 200 mld zł. I nawet najbogatszy Ukrainiec jest nieco bogatszy niż najbogatszy Polak. W Teksasie, gdzie teraz mieszka Luke Nosek wraz z 90 innymi miliarderami, Polak mieści się w pierwszej setce. Ale jest jednym z najbogatszych w Austin – za Elonem Muskiem i Michaelem Dellem.

Był czas, kiedy Nosek chciał zainwestować pieniądze w Polsce. W 2022 r. przyjechał w tym celu do Rzeszowa na kongres gospodarczy, organizowany przez środowisko polityczne PiS, do którego od zawsze jest blisko jego wujowi. Stanął na scenie, udzielił krótkiego wywiadu po polsku dla telewizji, spotkał się z prezydentem Andrzejem Dudą. Chciał budować w Polsce mikroreaktory atomowe. Jedna z jego spółek Last Energy podpisała nawet z państwową Eneą listy intencyjne na budowę reaktorów o mocy 20 MW dla dwóch polskich stref ekonomicznych. Projekt nie wyszedł poza fazę listów. Enea uznała technologię Noska za niedostatecznie przyszłościową. Gwoździem do trumny okazała się negatywna opinia ABW (jej treść jest niejawna). W dodatku samorząd Jaworza, gdzie miały powstać pierwsze reaktory, o planach rządu dowiedział się z mediów – i natychmiast wyraził oburzenie, że o tak wrażliwej inwestycji rozstrzyga się bez konsultacji społecznych. Last Energy sama wycofała wniosek o współpracę, a Janusz Gładysz poinformował na łamach tygodnika „Do Rzeczy", że Łukasz stracił cierpliwość do unijnej biurokracji.

Wygląda na to, że miliardera ograł nieco biedniejszy od Noska Michał Sołowow. Bo wiadomo już, że najprawdopodobniej to jego spółka OSGE postawi pierwszy minireaktor w Polsce. W spółkę zaangażowany jest Orlen. Ustalono, że pierwsza elektrownia powstanie we Włocławku. Premier Donald Tusk ogłosił, że mikroreaktory zostają wpisane w strategię energetyczną państwa.

Po spektakularnym wzroście wartości akcji SpaceX na giełdzie zaczęła się korekta kursu i wedle danych na połowę lipca Luke Nosek stał się o połowę biedniejszy. Z ponad 7 mld dol. zostało ponad 3 mld. Co oznaczałoby, że najbogatszym Polakiem był przez trzy tygodnie – albo do kolejnej zmiany kursu.

MARTYNA BUNDA

eprasa.pl 7b9ca5e5e4

Recepta na chaos

PAWEŁ WALEWSKI



Uprawa w kanadyjskich zakładach Canopy Growth – największego producenta marihuany medycznej na świecie

Z jednej strony polska policja łapie za posiadanie marihuany, z drugiej medyczną marihuanę można kupić legalnie w aptece. W tej mrożkowskiej rzeczywistości coraz więcej osób zasłania się receptą i pali swój towar, bo tak wygląda legalizacja marihuany po polsku.

W Polsce tzw. marihuana do celów leczniczych jest dostępna od 2018 r., ale wciąż za samo jej posiadanie grozi kara do trzech lat więzienia. W efekcie diler pod apteką łamie prawo, a aptekarz za ścianą działa w pełni legalnie. Trudno się dziwić, że w tej rzeczywistości nawet stróże prawa nie potrafią się dogadać. Policja dalej sumiennie ściga za choćby jednego skręta. A prokuratorzy umarzają często takie sprawy, bo złapani na paleniu zasłaniają się marihuaną medyczną. – *Palę zazwyczaj w domu, ale gdybym został wylegitymowany z marihuaną na ulicy, wybroniłbym się, okazując kod recepty. Właśnie po to ona jest* – nie ukrywa Michał, 50-letni użytkownik marihuany.

Takie podejście irytuje policję. Wedle Dariusza Polaka z Wydziału do Walki z Przestępczością Narkotykową Biura Kryminalnego Komendy Głównej Policji recepta nie jest magicznym talizmanem, który automatycznie legitymizuje posiadanie. – *To jest dokument, który uprawnia do nabycia produktu w aptece. Aby udowodnić, że ma się do tego prawo, powinno się mieć przy sobie jeszcze imienną fakturę zakupu plus dokument, który poświadczy, że faktycznie są wskazania medyczne.*

Świat pozorów

Problem w tym, że ustawa daje pacjentowi prawo do legalnego nabycia marihuany, ale nie nakłada obowiązku posiadania przy sobie czegokolwiek, co pozwalałoby policjantowi szybko zweryfikować legalność produktu. I właśnie ta luka jest źródłem największych konfliktów. Kontrolowany pokazuje receptę wystawioną dwa miesiące, pół roku, a czasem nawet rok wcześniej i twierdzi, że właśnie ona legalizuje susz znaleziony w kieszeni. Wojciech Nagórniewicz, naczelnik antynarkotykowego wydziału, maluje obraz chaosu: patrole są zagubione wśród meandrów prawa, a interwencje kończą się podważaniem podstaw zatrzymania. Ale jeśli z kolei policjant od tego odstąpi, może zostać oskarżony o zaniechanie ścigania

© PAP

eprasa.pl 7b9ca5e5e4

przestępstwa, bo ustawa o przeciwdziałaniu narkomanii mówi jasno: posiadanie konopi jest zabronione. Dochodzi do sytuacji, w których prokuratorzy lub sądy umarzają postępowania, uznając zatrzymanie za niezasadne. Sądy – w opinii policjantów zupełnie niewłaściwie – traktują nawet roczną receptę jako dowód niewinności, a następnie wyciągają konsekwencje wobec funkcjonariuszy za rzekome przekroczenie uprawnień. Nic dziwnego, że policja marzy o precyzyjnym prawie, które zlikwiduje ten męczący świat pozorów.

– *Ustawodawca dał uprawnienia, ale nie doprecyzował obowiązku posiadania przy sobie dokumentu potwierdzającego, że rzeczywiście ktoś korzysta z produktu leczniczego* – podsumowuje Nagórniewicz. Apteki dopiero niedawno zaczęły poważniej traktować zalecenia Głównego Inspektora Farmaceutycznego o przesypywaniu produktu do opakowań aptecznych zamiast wydawania fabrycznych. Dla policji to drobna ulga, bo fabryczne opakowania części osób służyły jako wielorazowe pojemniki, do którego przesypywano nielegalny susz z czarnego rynku (te apteczne mają dokładnie określoną datę wydania i nazwisko pacjenta tożsame z tym, które jest na recepcie). Mimo to, gdy na horyzoncie pojawia się widmo medycznej alternatywy, policjanci toną w wątpliwościach, czy mają przed sobą cierpiącego pacjenta czy cynicznego gracza.

Zioło w kukurydzy

Wbrew częstej opinii pojawienie się marihuany w aptekach nie oznaczało końca nielegalnego rynku. Według danych Komendy Głównej Policji w 2025 r. funkcjonariusze zabezpieczyli prawie osiem ton nielegalnej marihuany, a tylko w pierwszych czterech miesiącach 2026 r. – kolejne 2,5 tony. Równolegle utrzymuje się wysoka liczba likwidowanych plantacji. W 2025 r. policja skonfiskowała 470 i zabezpieczyła ponad 25 tys. krzewów konopi. Nawet w pierwszym kwartale 2026 r. było to już 73 plantacje i niemal 5 tys. roślin. Zmienił się natomiast charakter tego rynku. – *W latach 2009–14 likwidowaliśmy plantacje liczące po 10 tys. roślin, ukrywanych m.in. pod przykrywką ferm strusi. To były ogromne przedsięwzięcia prowadzone przez zorganizowane grupy przestępcze* – wspomina Michał Kowalski, naczelnik wydziału narkotykowego Komendy Wojewódzkiej Policji w Poznaniu.

Dziś takich spektakularnych „odkryć" jest mniej. Nie oznacza to jednak, że czarny rynek osłabł. Wielkie uprawy – choć nadal sprytnie maskowane w wiejskich łanach kukurydzy – powoli ustępują miejsca nowym trendom, bo przestępczość zorganizowana zmieniła logistykę. – *Prowadzimy obecnie głównie sprawy dotyczące przemytu marihuany z Półwyspu Iberyjskiego. Do Polski trafia ona w transportach liczących po 250–300 kg, ukrytych choćby w kartonach z winem.*

Równocześnie policjanci nie obserwują spadku liczby spraw dotyczących samego posiadania narkotyków. Wręcz przeciwnie: w 2025 r. wszczęto ponad 21 tys. postępowań związanych z posiadaniem środków odurzających – najwięcej od kilku lat. Znaczna część dotyczy młodych ludzi zatrzymywanych z niewielkimi ilościami marihuany. – *Mam pełną świadomość, że istnieją schorzenia, w których wyciągi z konopi mają właściwości pomagające pacjentom. Nie będę dyskutował z medycyną* – mówi naczelnik Nagórniewicz. Zaraz jednak dodaje, że obecny system daje pole do popisu wszelkiej maści naciągaczom, a część środowiska medycznego wystawia recepty w sposób budzący poważne wątpliwości.

Podobnie ocenia to Michał Kowalski: – *Marihuana z aptek jest na pewno czysta i legalna. Korzystają z niej bardziej świadomi pacjenci. Natomiast na ulicy jakość produktu spada, bo przechodzi przez ręce kolejnych dilerów.*

Legalna sprzedaż nie odebrała klientów przestępcom. Raczej podzieliła klientów na tych premium, których stać na przejście procedury medycznej (wizyta ok. 300 zł, zrealizowana recepta na marihuanę ok. 700 zł). I całą resztę, która kupuje taniej. Ale z niepewnych źródeł i niepewny towar. – *Jeden z zatrzymanych przez nas dilerów marihuany miał też receptę na medyczną marihuanę. Okazało się, że choć handlował tym narkotykiem, to – jak się wyraził – tego swojego gówna nie tykał* – opowiada jeden z warszawskich prokuratorów.

Po niemal ośmiu latach funkcjonowania z medyczną marihuaną już widać, że nie rozbiła czarnego rynku. A pewnie nawet go napędza, skoro roczna sprzedaż liczona jest już w tonach. Z pewnością wywróciła do góry nogami działania policji i namieszała ludziom w głowach, bo część nabrała przekonania, że jest to środek legalny. Frustrują się obie strony: użytkownicy czują się nękani za coś, co w wielu krajach jest coraz bardziej normalne i stwarza dużo mniejsze zagrożenie niż alkohol, a policjanci wystawiani są na frustrację, czasem pośmiewisko oraz ryzyko służbowych konsekwencji.

Medyczny bypass

Jeśli ktoś chciałby wiedzieć, jak wygląda skrzyżowanie holenderskiego coffee shopu z peerelowską kolejką po cytrusy, warszawska Praga Północ ma gotową odpowiedź. Działa tam całodobowa apteka z neonem przyciągającym wzrok, tylko zamiast typowej kolejki po Paracetamol i syrop ustawia się tłum młodych ludzi, którzy przyszli po zioło.

Lilac Diesel, Aurora, różne procenty THC, hybrydy sativa-indica. W internecie opisy nie pozostawiają za dużo miejsca na interpretację: jedni chwalą dostępność różnych odmian suszu, inni utyskują na totalny paraliż placówki i postulują ekstraokienko dla tych, którzy przyszli po antybiotyk, a nie zioło.

Zwłaszcza w sobotnie wieczory, kiedy masowa obsługa recept na tzw. legalne używki sprawia, że osoby z gorączką muszą odstać nawet godzinę. Internauta Eliwis z rozbrajającą szczerością zaapelował o reorganizację, narzekając, że matki z dziećmi muszą dzielić ogonki z lokalnymi amatorami mocnych wrażeń. Z kolei pani Paulina, skuszona okazyjnymi cenami, gorzko pożałowała rozpoczęcia w tym miejscu rocznej recepty, bo teraz już zawsze przychodzi jej odstać swoje w atmosferze „przypominającej melinę".

Kierowniczka apteki nie chciała rozmawiać z POLITYKĄ, podobnie jak jej właściciel, ale w internecie odpierają zarzuty anonimowo: nie sprzedają żadnych legalnych używek, lecz „wyłącznie produkty lecznicze dopuszczone do obrotu w Polsce", a farmaceuci nie są od oceniania motywacji pacjentów, lecz od realizowania legalnie wystawionych recept. W gruncie rzeczy właśnie tutaj zaczyna się najciekawszy spór – nie o samą marihuanę, lecz o to, kim są ludzie zajmujący miejsce w kolejce: czy na pewno pacjentami?

Michał broni placówki z entuzjazmem: – *Kiedyś kupowałem ją na czarnym rynku. Teraz wolę aptekę, bo wiem, co dostaję.* Nie twierdzi przy tym, że korzysta wyłącznie z powodów medycznych. Przyznaje, że zioło pomaga mu się odprężyć, lepiej spać i radzić sobie ze stresem. Gdy po raz pierwszy poszedł do swojej lekarki ▶

eprasa.pl 7b9ca5e5e4

▶ rodzinnej po kontynuację recepty, którą wcześniej wystawiono mu internetowo z tzw. receptomatu, nie usłyszał moralizowania. Lista powodów, dla których sięga po marihuanę, najwyraźniej nie zrobiła na niej większego wrażenia – jeśli już wybierać używkę, to lekarkę znacznie bardziej niepokoiłaby perspektywa codziennej butelki kupowanej bez żadnej recepty niż legalnie przepisanej marihuany. „Jak ktoś będzie chciał się zniszczyć, zrobi to alkoholem albo lekami" – podsumowała.

Inni aptekarze również się frustrują. Zwłaszcza gdy widzą, co dzieje się we wspomnianej aptece na warszawskiej Pradze. Podchodzą do tego fenomenu z mieszaniną biznesowego podziwu, etycznego niesmaku i czystego pragmatyzmu (dla apteki opierającej swój codzienny utarg na sprzedaży konopi to świetny interes – marża wynosi 20 proc., co przy hurtowym obrocie generuje gigantyczne zyski).



Jak rosła sprzedaż

Recepty na marihuanę medyczną realizować można od 2018 r., ale sprzedaż rozkręcała się bardzo powoli. W drugim roku obowiązywania przepisów pacjenci zrealizowali 3 tys. recept i kupili łącznie 33 kg suszu. Sprzedaż wzrosła po wejściu teleporad. W środku pandemii zrealizowano już 277 tys. recept na 4,5 tony, by w 2024 r. osiągnąć rekordowy wynik 651 tys. recept na 5,6 tony. W międzyczasie rząd zaostrzył przepisy. Ale zdaje się mało skutecznie. W 2025 r. liczba wystawionych recept na marihuanę jeszcze bardziej wzrosła – do 705 tys. W tym samym roku nieznacznie spadła suma sprzedanego surowca do 4,9 ton.

Patomorfolog na haju

Farmaceuci są zgodni w jednym: apteka jest tylko ostatnim ogniwem łańcucha. Prawdziwe eldorado i nadużycia mają miejsce na etapie wystawiania recept, gdzie tzw. kliniki konopne i wirtualne receptomaty zatrudniające nierzadko lekarzy z zagranicy nadal masowo handlują dostępem do suszu.

Choć miało się to zmienić. W listopadzie 2024 r. Ministerstwo Zdrowia, zatrwożone lawinowym wzrostem wystawianych recept na tzw. leki kontrolowane (marihuanę, fentanyl, morfinę, oksykodon) wprowadziło zasadę, że można je otrzymać wyłącznie po osobistej wizycie lekarskiej (z drobnymi wyjątkami dotyczącymi poradni rodzinnych). Przez osiem lat legalnej sprzedaży konopi w aptekach olbrzymią podaż wygenerowały właśnie receptomaty, a nie rzeczywiste potrzeby zdrowotne, gdyż te nie mogły przyrosnąć w aż takiej skali. Otóż zaczynaliśmy od 3 tys. recept, a tylko w I kwartale 2026 r. wystawiono ich 299 tys. Przy czym dwie apteki w kraju ścigają się o rekord, przyjmując rocznie do zrealizowania na konopie ponad 42 tys. recept każda. Dziennie wychodzi po 115.

Główny inspektor farmaceutyczny Łukasz Pietrzak przekonuje jednak, że z tych danych nie wynika porażka wprowadzonych regulacji. Pierwsze miesiące po zmianie przepisów przyniosły nawet 40-procentowy spadek liczby wystawianych recept, który utrzymywał się do marca 2025 r. Dopiero później rynek znów zaczął się rozpędzać. – *To pokazuje, że problemem nie było samo rozporządzenie, lecz brak skutecznych sankcji wobec tych, którzy je obchodzą* – argumentuje. Prawdziwym problemem bywa elastyczność moralna lekarzy. Jeszcze w 2024 r. w czołówce osób ordynujących medyczną marihuanę znajdował się patomorfolog – specjalista, którego trudno podejrzewać o codzienną opiekę nad chorymi wymagającymi terapii kannabinoidami. W polskim prawodawstwie każdy lekarz może wprawdzie przepisać lek poza wskazaniami rejestracyjnymi (tzw. off label), ale – jak zauważa szef GIF – nie oznacza to jeszcze, że każda taka decyzja ma uzasadnienie medyczne.

Legalnie nielegalni

Ta taśmowa produkcja „pacjentów" z tradycyjnych klientów czarnego rynku nie uchodzi uwadze regulatorów. Ostatnie głośne działania, jak choćby sprawa z UOKiK, gdzie wszczęto postępowanie przeciwko operatorowi serwisu Receptomat, badając proceder tzw. fikcyjnej telemedycyny, rymują się z ofensywą Rzecznika Praw Pacjenta, który przeprowadził już 50 postępowań przeciwko automatom z receptami za rażące braki i niespójności w dokumentacji medycznej. Kary, sięgające 500 tys. zł, na początku 2026 r. uszczupliły konta czterech rzutkich podmiotów. – *Mamy dwie rzeczywistości* – zauważa minister Pietrzak. – *Z jednej strony za kilka gramów „ulicznej" marihuany grożą konsekwencje karne, z drugiej – wystarczy dopłacić za konsultację online, by stać się pacjentem z legalnym lekiem w kieszeni.*

Dla szefa GIF konopie medyczne to zarejestrowany lek, mający dawkę toksyczną i działania niepożądane, a nie niewinne relaksacyjne zioło. Jednak to nie zielone liście spędzają mu sen z powiek. Prawdziwym potworem w szafie polskiej telemedycyny są opioidy. Te same receptomaty, te same mechanizmy dystrybucji i nierzadko ci sami lekarze, którzy dywersyfikując swój biznes, handlują substancjami o nieporównywalnie większym zagrożeniu dla zdrowia. Problem nie leży w samej substancji, tylko w tym, kto i jak ją ordynuje. Wytycznych nie ma, bo nie wiadomo, kto by je miał ustanowić – nie mówimy o leku w tradycyjnym tego słowa znaczeniu, lecz o roślinnym surowcu farmaceutycznym, co utrudnia przeprowadzenie obiektywnych badań, na podstawie których można by ustalić konkretne wskazania i wyselekcjonować grupę chorych, którzy będą odnosić korzyści.

Czy ten osobliwy kompromis między prohibicją a pełną legalizacją ma szansę przetrwać? Czy też nadszedł czas, by wzorem innych krajów uregulować rynek marihuany, tak jak to zrobili Czesi lub Niemcy, w zasadzie ją legalizując, a przy okazji odcinając zyski zarówno mafii, jak i sprytnym przedsiębiorcom w białych fartuchach. To pytanie pozostaje otwarte, a kolejka na warszawskiej Pradze stale rośnie.

PAWEŁ WALEWSKI

© KAZYAKA KONRAD/SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 7b9ca5e5e4

Gromda, Cycu, dziary i chochoły

Biją się na gołe pięści. Podobno tak wracają do szlachetnych tradycji Rzymian. Ale Gromda – federacja walk założona przez człowieka z kryminalną przeszłością – ze szlachetnością ma niewiele wspólnego. Za to z mordobiciem ubranym w patriotyczne szaty – bardzo dużo.

KATARZYNA KACZOROWSKA



Wrocław, kadr z filmu rejestrującego atak na Ukraińców

Gromda pewnie nadal byłaby znana tylko w kręgach byłych przestępców, fanów walk w klatkach, MMA, bokserskich i co tam jeszcze można wrzucić pod szyld zarabiania na okładaniu się pięściami, gdyby nie człowiek o pseudonimie Cycu. Od tygodnia siedzi w areszcie za pobicie we Wrocławiu pary młodych Ukraińców (w sądzie przepraszał, ale nie wiedział kogo, twierdził, że nie bił, a poza tym został zaatakowany, choć nagrane telefonami filmy z tego brutalnego zajścia pokazują inny przebieg zdarzenia). Tym razem policja zareagowała błyskawicznie i kilka dni po pobiciu zatrzymano Adama C. ps. Cycu, gangstera z więzienną przeszłością, związanego z Gromdą. Drugi z zatrzymanych, Tomasz M., też lubi się bić, tyle że w MMA.

Dzień po zatrzymaniu Cyca oświadczenie wydał prezes Gromdy Mariusz Grabowski – zapewnił, że potępia takie zachowania: „Jeśli kiedykolwiek ten zawodnik walczył na GROMDZIE, to już nigdy więcej nie zawalczy po takich brutalnych incydentach. My dajemy zawodnikom szansę, żeby wyszli na prostą i żeby im pomóc, dać drugą szansę w życiu, a nie po to, żeby na ulicach się bić".

Napaść na parę Ukraińców potępił też Mateusz „Don Diego" Kubiszyn, największa gwiazda tej federacji, jeden z najlepszych polskich kick-bokserów formuły full-contact i K-1, trzykrotny mistrz świata. W filmiku, który można obejrzeć na jego koncie na Facebooku, Kubiszyn zwraca się bezpośrednio do Cyca: „Jeśli kiedykolwiek przyjdzie ci do głowy przyjechać na Gromdę, to dla swojego dobra tego nie rób. Przeproś wszystkich, powiedz, że nie jesteś gromdziarzem. Usuń ze swoich profili Gromdę". I zaapelował, by nie utożsamiać napaści na ksenofobicznym tle, bo tak to wygląda w materiałach, jakie można zobaczyć w sieci, ani z nim, czyli Kubiszynem, ani z innymi zawodnikami Gromdy.

Tyle tylko, że Cycu to – jak się okazuje – pikuś w porównaniu z samą federacją – Prokuratura Okręgowa w Warszawie po publikacjach prasowych i wysłanych do niej zawiadomieniach przyjrzała się kontom społecznościowym Gromdy i z urzędu wszczęła postępowanie dotyczące publicznego nawoływania do nienawiści, propagowania ideologii ekstremistycznych oraz pochwalania przemocy na tle rasowym i narodowościowym.

I jakby było mało, „Rzeczpospolita" ujawniła, że według nieoficjalnych informacji na najbliższej gali Gromdy we wrześniu gościem ma być Janusz Waluś, zabójca Chrisa Haniego, jednego z liderów Afrykańskiego Kongresu Narodowego. Waluś skazany na dożywocie, wyszedł z południowoafrykańskiego więzienia warunkowo i w 2024 r. został deportowany do Polski. W locie do Warszawy towarzyszył mu m.in. Grzegorz Braun.

Odcinamy, nie promujemy

Burmistrz podradomskich Pionek, gdzie Gromda wynajmuje salę dla ćwiczących, ma klub i organizuje gale walk, zajęcia dla dorosłych i dla dzieci, pytany o federację, wzdycha. To nie pierwszy telefon z pytaniem, co wie o walczących na gołe pięści i czy to nie jest problem dla Pionek.

– *Nie mamy żadnych związków z Gromdą jako miasto. Imprezy mają charakter zamknięty, lokal wynajmują na zasadach* ▶

© PLATFORMA X

eprasa.pl 7b9ca5e5e4

▶ *rynkowych. A od ksenofobicznych wypowiedzi i napaści się odcinamy* – zapewnia burmistrz Łukasz Miśkiewicz, a sekretarz gminy Ewa Kalinkowska kilka godzin później wysyła oświadczenie, z którego można się dowiedzieć, że gmina nie ma z federacją umowy promocyjnej, a organizowane przez Gromdę wydarzenia od początku obecnej kadencji nie były obejmowane honorowym patronatem burmistrza. A to oznacza, że miasto ich nie promuje.

Z oświadczenia można się też dowiedzieć, że „pionkowski Ośrodek Sportu i Rekreacji, jako jednostka organizacyjna Gminy Miasta Pionki, odpłatnie udostępnia Miejską Halę Sportową podmiotowi prywatnemu na podstawie obowiązujących przepisów, cennika, regulaminu obiektu oraz zawieranych umów. Odpłatne udostępnienie obiektu jest czynnością związaną z gospodarowaniem mieniem komunalnym. Nie oznacza ono utożsamiania się miasta z działalnością, przekazem promocyjnym ani wizerunkiem podmiotu korzystającego z hali".

Grabek z Pionek

Gromda to pomysł na biznes wspomnianego już Mariusza Grabowskiego. W 2022 r. opisał go Szymon Jadczak z wp.pl, ujawniając, że twórca bokserskiej grupy Tymex Boxing Promotion był skazany m.in. za pomoc przy porwaniu biznesmena. Jadczak oparł się na aktach sprawy, w której zeznania przeciwko Grabowskiemu składał mały świadek koronny Artur W. Podobnie jak on pochodzący z Pionek.

Na podstawie tych zeznań „Grabek" został zatrzymany przez policjantów z Centralnego Biura Śledczego Policji 18 marca 2010 r., w jego domu w Pionkach. Zabezpieczono wtedy trzy auta, quada, złoto i ponad 60 tys. zł gotówki. Późniejszy twórca Gromdy usłyszał 11 zarzutów. Na tej liście znalazły się kradzieże z włamaniem, handel narkotykami, oszustwa, handel bronią, pomoc przy kradzieży, paserstwo i pomoc przy porwaniu człowieka. W areszcie tymczasowym Grabowski siedział ponad rok. W śledztwie odmawiał składania wyjaśnień i do niczego się nie przyznawał. W czasie konfrontacji ze świadkiem koronnym zaprzeczył wszystkiemu, co ten zeznał. Akt oskarżenia trafił do sądu w Radomiu w 2010 r.

Proces trwał pięć lat, ale w jego trakcie Grabowski, który odpowiadał przed sądem już z wolnej stopy, założył w 2013 r. Tymex Boxing Promotion. Firma współpracowała m.in. z TVP i ze znanym komentatorem sportowym Mateuszem Borkiem. W sądzie „Grabek" twierdził, że tę firmę założył już w 1998 r. I jest to jak najbardziej legalny interes, bo zajmuje się stolarką okienną. Do sądu zaś obrońcy Grabowskiego przekazali pisma mające potwierdzać jego obywatelską postawę – od ówczesnych władz Pionek podziękowanie za ufundowanie sztandaru dla miasta, od Radomskiego Okręgowego Związku Piłki Nożnej, od klubu Korona Kielce za wspieranie sportu młodzieżowego, a niepełnosprawni dziękowali za zorganizowanie regat kajakowych. I tylko kurator sądowy napisał, że mieszkańcy Pionek i miejscowi policjanci o „Grabku" rozmawiać w ogóle nie chcą.

Światowy top

W jednym z wywiadów Mariusz Grabowski tłumaczył, że Gromda założona w 2020 r., a więc w pandemii, to dzisiaj światowy top, a każda gala to prestiżowe wydarzenie, gwarancja świetnych walk i fantastycznych emocji.

Ale to nie tylko walki. Gromda to także sklep internetowy oferujący odzież męską, damską i dziecięcą, sportową i codzienną. Są też akcesoria. I lista kolekcji, wśród których wyróżniają się Husarz – „patriotyczny wzór przedstawia mrocznego, śmiertelnie niebezpiecznego żołnierza polskiej formacji kawaleryjskiej obecnej na polach bitew od początku XVI wieku aż do połowy XVIII wieku", oraz Polish Eagle dla dzieci – „Każdy wysiłek, każda kropla krwi i potu ma inny, lepszy smak, gdy trenujesz z godłem na koszulce lub spodenkach".

Prokurator z 40-letnim doświadczeniem zawodowym: – *W interesie państwa jest kontrola operacyjna takich środowisk. My wchodzimy na temat wtedy, kiedy jest czyn przestępczy. Działania operacyjne zostawiamy odpowiednim służbom, ale to jest oczywiste, że środowiska tzw. sportów walki, które przyciągają nie tylko sportowców, ale też ludzi ze świata przestępczego, muszą być infiltrowane.*

Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego pytana o rozpoznanie tych środowisk uprzejmie i lakonicznie odpowiada w mejlu, że „zaistniały we Wrocławiu incydent leży we właściwości rzeczowej policji". A policja swoje zrobiła, bo zatrzymała Cyca i doprowadziła na posiedzenie aresztowe do sądu.

Trzeba zebrać chłopaków

Dr Przemysław Witkowski, politolog, badacz politycznych ekstremizmów i wicedyrektor Instytutu im. Narutowicza: – *Środowiska chuliganów sportowych tworzą ramy, w których zachowania przemocowe są doceniane, bo dzięki nim można być kimś, zbudować swoją pozycję. To przecież chuligani piłkarscy różnych klubów biją się w ustawkach na gołe pięści, a tutaj zyskują legitymizację, że to, co robią, jest akceptowane i jeszcze można na tym zarobić.*

Witkowski od razu dopowiada, że klipy reklamowe tych federacji mają jasny przekaz – napakowani faceci w kominiarkach przyjdą i zrobią porządek. I dodaje, że Gromda w ostatnich miesiącach weszła w przekaz ksenofobiczny – 2 lipca w mediach społecznościowych federacji ukazał się wywiad z Grabowskim, który krótko po zajściu we Wrocławiu został zdjęty. Mówi on do swojego towarzysza, z którym siedzi przy wódce, że „dużo tych lamusów i nierobów naleciało do Polski". „Trzeba będzie zebrać chłopaków, to się wyprostuje chochołów, bo im się coś najwidoczniej po...ło w głowie" – rzuca rozmówca Grabowskiego. Przywołane „chochoły" to tak naprawdę chachły, pogardliwe określenie Ukraińców, używane przez Rosjan.

Dr Witkowski: – *W wielu miejscach, np. w Białymstoku czy Gdańsku, mieliśmy do czynienia z przejęciem lokalnej organizacji kryminalnej przez ludzi z grup neonazistowskich. I tu warto dodać, że skrajne środowiska są atrakcyjne dla Rosji, która szukała i szuka sojuszników wśród takich ekstremizmów.*

Szpiedzy i sabotażyści

Jarosław Jakimczyk, dziennikarz śledczy i twórca strony kompromatRP.pl, pytany o środowiska sportów walki, odpowiada: – *Stworzyłem bazę danych spraw karnych, które były prowadzone w związku z działalnością obcego wywiadu przeciwko Polsce i szpiegostwem. Jest w niej kilka przypadków, w których występują ludzie w różny sposób związani właśnie z tymi środowiskami.*

I wylicza. Pod koniec 2017 r. aresztowano żołnierza zawodowego, który był wartownikiem w 1 pułku ochrony w Warszawie i strzegł jednostek centralnych Ministerstwa Obrony Narodowej. Okazało się, że jednego dnia zadzwonił z propozycją dostarczenia informacji – najpierw do ambasady Rosji, a następnie

eprasa.pl 7b9ca5e5e4



Ze strony federacji Gromda

Gromdziarz: charakterny, honorowy i odważny wojownik gotowy na walkę na gołe pięści. Mówi się, że niektórzy pragną sławy i chwały lub pieniędzy i pięknych kobiet. Gromdziarz walczy o to wszystko.
Gromdziara: pikantna, niebezpieczna i seksowna kobieta. Podejmująca ryzyko, szukająca nowych wrażeń i ciekawych doświadczeń. Kochająca walki oraz wojowników walk na gołe pięści.
Nasi gromdziarze to wojownicy kierujący się kilkoma zasadami: honor, odwaga, siła charakteru. Żaden z nich nie pęka i jest gotowy do prawdziwej rywalizacji w brutalnych walkach na gołe pięści. Nagrodą dla prawdziwego wojownika może być chwała, pieniądze lub kobiety.
Gromdziara żyleta: twarda dupa o gorącym sercu. Znana na mieście i szanowana. To ona rozdaje karty i wybiera dla siebie króla. Ostra torpeda, która cię zniszczy, jeśli ją obrazisz lub zachowasz się w stosunku do niej wulgarnie. Rachunek zerojedynkowy. Drugiej szansy nie będzie. Dziewczyna, która nie musi mieć faceta, żeby zdobyć coś w życiu. Niezależna i samodzielna. Wyznacza cel i go osiąga. Prawdziwa żyleta. Zimna dla obcych, ale za to bardzo kochana dla swoich.

do ambasady Izraela. Skazany na półtora roku więzienia. Zajmował się m.in. walkami MMA.

Kolejny przypadek to człowiek, który przyjechał do Polski z Białorusi, studiował w Białymstoku. Zarabiał, prowadząc kursy spadochronowe, a jednocześnie występował w zawodach MMA. Po rosyjskiej inwazji na Ukrainę został aresztowany pod zarzutem szpiegostwa i sądzony razem z obywatelem Rosji, który prowadził firmę w Białymstoku. Skazano ich za pracę dla GRU, rozpoznawali potencjał jednostek wojskowych i gromadzili informacje także na temat kadry tych jednostek, morale i nastrojów. Kolejny Białorusin, też zawodnik MMA, został zatrzymany w Warszawie w związku z podpaleniami na zlecenie rosyjskiego wywiadu.

– *Dwaj kibole Legii Warszawa, Polacy – jeden z nich po godzinach zajmował się ochroną dyskotek, ale też występował w zawodach MMA – zostali wynajęci przez wywiad rosyjski do ataku na zastępcę Nawalnego. Wołkowa zaatakowali w Wilnie, podbiegli do jego auta i przez rozbite okno próbowali zatłuc go młotkiem* – mówi Jakimczyk i przypomina, że już po ich aresztowaniu na tzw. żylecie w czasie meczu koledzy jednego z nich rozwinęli transparent z wyrazami poparcia.


Gromda to pomysł na biznes Mariusza Grabowskiego

Kolejny na liście Jakimczyka jest obywatel Ukrainy poszukiwany listem gończym za udział w grupie przestępczej zajmującej się handlem narkotykami, fałszerstwem pieniędzy, przestępstwami przeciwko zdrowiu i życiu, a także współpracą z rosyjskim wywiadem. Ten człowiek na zlecenie wywiadu rosyjskiego ciężko pobił dyplomatę – służby do dzisiaj nie ujawniły, o kogo chodzi.

– *On też walczył w MMA. Jak widać, środowiska sportów walki to zaplecze zorganizowanych grup przestępczych i ludzie do wykorzystania do działań dywersyjnych. Można powiedzieć, że mają odpowiednie parametry do bicia innych ludzi. Ale też często mają w swojej historii konflikty z prawem, a służby specjalne poszukują osób, które mogą być podatne na nacisk, szantaż, mają coś do stracenia i coś do zyskania* – tłumaczy Jakimczyk.

Dodaje, że służby owszem, monitorują te środowiska, ale siły i środki, które mają do dyspozycji, są nieadekwatne zwłaszcza w sytuacji zagrożeń związanych z rozwojem przestępczości o podłożu politycznym, a więc o charakterze dywersyjno-sabotażowym na zlecenie rosyjskiego czy białoruskiego wywiadu.

My nie polityczni

Adam C. ps. Cycu został zatrzymany podczas próby wyjazdu z Wrocławia. W akcji brali udział kontrterroryści. Prokuratura zarzuca jemu i Tomaszowi M. m.in. pobicie i stosowanie przemocy z powodu przynależności narodowej. Napastnicy 20-letnią Anastazję wyzywali od ukraińskich szmat i dziwek.

Mariusz Grabowski po zatrzymaniu Cyca tłumaczył: „Materiał promocyjny, który umieszczamy na swoich socialach, jest to materiał dotyczący wydarzeń GROMDA i samej federacji. Nie jest to materiał propagandowy czy polityczny. Chce się nas łączyć z polityką, różnymi organizacjami i ruchami narodowościowymi. My się od tego odcinamy".

Tymczasem 21 lipca na profilu federacji zamieszczono wpis: „Jak wpuszcza się tłum ludzi bez żadnej weryfikacji i kontroli, to zawsze trafią się jednostki, które robią bardachę. Do własnego domu nie wpuszczasz przypadkowych ludzi z ulicy, więc dokładnie tak samo powinno to działać na poziomie całego kraju".

Anastazja i jej chłopak Maksym zostali pobici pięć dni później.

KATARZYNA KACZOROWSKA

© FACEBOOK GROMDA

eprasa.pl 7b9ca5e5e4



Kamil Szymańczak, sołtys Skrzelewa. Podkreśla, że proponowane grunty zamienne nie mogły zastąpić ziemi, którą jego rodzina uprawiała od lat.


Pani Ania z mężem nie zamierzają się z rodzinnego domu wynosić. Zostaną tu aż do przymusowej wyprowadzki.

Port Polska czeka na wbicie pierwszej łopaty, a ludzie, którzy nie zgodzili się na wykup ziemi, czekają, aż wywiezie ich stąd policja.

Nie rzucą ziemi

NATALIA SAWKA, FOTOGRAFIE LESZEK ZYCH

Plany robią wrażenie. Dużo szkła, dużo przestrzeni, dużo nowoczesności. Tyle że wcześniej trzeba się pozbyć teraźniejszości. Zgodnie z zapowiedziami Port Polska – nowoczesne megalotnisko między Warszawą a Łodzią – powstanie na rozległym obszarze trzech gmin: Baranów, Teresin i Wiskitki, i obejmie 21 wiosek w całości lub częściowo. Razem ponad 3 tys. działek i ponad 500 domostw. Budowa ma się zacząć już za kilka miesięcy. Dziś w okolicy łatwiej spotkać koparki burzące gospodarstwa niż miejscowych. Zanim przyjadą spychacze, trzeba będzie wysłać policję, bo część mieszkańców mówi, że po dobroci ziemi nie odda.

Koniec świata

Na terenach, gdzie planowana jest budowa megalotniska, prawie wszystkie gospodarstwa już opustoszały. Tu i ówdzie widać linie energetyczne i betonowe wiatraki. Domy do wyburzenia łatwo poznać po oknach zabitych dechami. Od drogi odgradza je metalowy płot z informacją, że wstęp na posesję jest wzbroniony, a wtargnięcie będzie skutkować interwencją policji.

Pani Ania i jej mąż dech w oknach nie mają. Nie zamierzają się również wynosić. Deklarują, że zostaną w swoim domu do momentu ewentualnej egzekucji. – *Najwyżej przyjdzie policja i mnie zgarnie* – opowiada mieszkanka Skrzelewa w gminie Teresin. Siedzimy w jej gospodarstwie w miejscu, gdzie za kilka lat będzie się ciągnął ogromny pas startowy i droga kołowania największego portu w Polsce. Ojciec pani Ani gospodarzył tu 80 lat. Urodził się jeszcze przed drugą wojną światową. Wszystko, co powstało wokół, to dzięki pracy jego rąk. A konkretnie jednej ręki, i to lewej, bo prawą stracił w młodości w maszynie rolniczej. Młodemu chłopakowi pewnie musiało się wydawać, że to koniec świata. Ale prawdziwy koniec jego świata następuje dopiero dziś. – *Mój tata, gdyby zobaczył, co tu się wyprawia, umarłby drugi raz* – mówi cicho pani Ania.

Po podwórku chodzą kury, a naszą rozmowę co chwila przerywa pianie koguta. – *Jeszcze pięć lat temu w gospodarstwie można było usłyszeć krowy. Już ich nie ma, wszyscy rolnicy pozbyli się zwierząt, bo wiedzieli, co ich czeka.* Ze zwierząt jest jeszcze powysiedleńcza kotka Łatka. Kiedy sąsiedzi wyprowadzili się z domu, kotka została sama i od tamtej pory trzyma się gospodarstwa

eprasa.pl 7b9ca5e5e4



pani Ani. Jeszcze niedawno nie dawała się nikomu dotknąć. Teraz zaczepia ludzi i domaga się uwagi. Mieszkańcy opowiadają, że po wyprowadzkach część psów i kotów wracała pod stare adresy. Nie rozumiały, dlaczego nagle zniknęli stąd ludzie.

Pani Ania mówi, że wieś umierała na raty. Ludzie żyli w cieniu inwestycji, która wisiała nad nimi jak ciemna chmura. Taka, co to się jej nie da odpędzić. Włączali telewizor, a tam o CPK. Wychodzili z domu, a po okolicy kręcili się obcy i coś mierzyli. Jakby im za życia trumnę obstalowywali. U nich gospodarstwo miał przejąć syn. – *Taki był plan. W sierpniu rodzi się mu dziecko i teraz szuka pracy. Jest mechanikiem, myślał, że tu sobie otworzy warsztat* – opowiada kobieta.

Do tych, którzy ziemię oddali i się wyprowadzili, właściwie nie ma żalu. – *Ludzie zdecydowali się na wyprowadzkę, bo byli zmęczeni. Chcieli mieć święty spokój.* Pani Ania wspomina, jak kilka lat temu latał tu policyjny czarny śmigłowiec. Były to ćwiczenia służb. Krążył nad polami przez kilka dni. Było słychać jego groźny warkot. Funkcjonariusze trenowali szturm na budynki i zatrzymywanie zabarykadowanej osoby. Dla mieszkańców był to niepokojący widok. I jasny sygnał. – *Urządzali sobie tu poligon. Pokazywali, że wchodzą do kolejnych mieszkań, wywalają drzwi, wyciągają faceta. Z psem, owczarkiem niemieckim* – wspomina kobieta, która już wtedy zastanawiała się z sąsiadami, czy nie jest to zapowiedź tego, jak kiedyś mogą wyglądać przymusowe eksmisje.

Ziemię łatwiej było oddać tym, którzy już z niej nie żyli. Rolnicy, którzy dbali o nią przez całe pokolenia, mieli do stracenia znacznie więcej i trudniej im było taką decyzję podjąć. Ale większość skapitulowała. Pani Ania przyznaje, że sama ma dość nerwów, bezsennych nocy i ciągłego napięcia. – *Męczy nas to już osiem lat, bo w 2017 r. zapadła decyzja.* A jednak trwa w domu, który jej ojciec postawił jedną ręką.

Dorobek trzech pokoleń

Kamil Szymańczak, sołtys Skrzelewa, z tą miejscowością jest związany od urodzenia, czyli od zawsze. Przeżył tu prawie pół wieku. Mijamy działkę z polem kukurydzy, stoją tu jeszcze wysokie jak bloki cylindryczne zbiorniki. Szymańczak oprowadza jak po zamkniętym muzeum. – *Tutaj stał mój dom. Miał 260 m kw. Dziś to ruina. Widać tylko kawałek dachu, który przylegał do budynku* – mówi.

To był dorobek trzech pokoleń. Ojciec Kamila urodził się w Skrzelewie ponad 70 lat temu. – *Teraz każe się nam w ciągu 120 dni opuścić gospodarstwo i zbudować w nowym miejscu. A przecież potrzebne są zgody środowiskowe, żeby cokolwiek zbudować dla zwierząt. To też trwa, nie da się wszystkiego zrobić tak hop, siup* – opowiada.

W grudniu 2025 r. wojewoda mazowiecki nadał rygor natychmiastowej wykonalności dla decyzji lokalizacyjnej Centralnego Portu Komunikacyjnego. Po wydaniu przez wojewodę decyzji do mieszkańców, którzy jeszcze się nie wyprowadzili, zaczęli przyjeżdżać rzeczoznawcy, wyceniali domy, gospodarstwa i działki przeznaczone pod budowę Portu Polska, jak teraz nazwano dawne CPK. W pierwszej kolejności szacowano nieruchomości zabudowane. Do 31 marca 2026 r. właściciele mieli poznać wartość swoich nieruchomości oraz wysokość odszkodowań, jakie zaoferowało im państwo. Ludzi kuszono na różne sposoby. Kto nie robił trudności, mógł otrzymać nawet 85 proc. odszkodowania jeszcze przed zakończeniem wszystkich formalności. Dla tych, którzy zgodzili się z wyceną i zadeklarowali opuszczenie nieruchomości, przewidziano dodatkową premię w wysokości 5 proc. wartości odszkodowania.

Miejscowi w kwestii odszkodowań byli podzieleni. Jedni chcieli uniknąć szarpaniny z urzędnikami i szybko zacząć budować życie od nowa. Z państwem przecież nie wygrasz. Reszta poszła po pomoc do prawników. Sprawę wzięła kancelaria Inlegis. Prawnicy poradzili, by ludzie założyli fundację, że tak łatwiej będzie walczyć o swoje. No to założyli i nazwali Inlegis. I teraz fundacja walczy o swoje.

Jak informuje spółka CPK, na przystąpienie do Programu Dobrowolnych Nabyć zdecydowali się właściciele 76 proc. budynków objętych decyzją lokalizacyjną dla lotniska. Ta „dobrowolność" rolników irytuje. – *To nie ma nic wspólnego z dobrowolnością. To nie ja wybieram, co komu sprzedaję, kiedy i za ile* – denerwuje się Szymańczak.

Skala rozbieżności

Niektóre rodziny wyprowadzały się w środku zimy, bo goniły je terminy. – *W grudniu straciłem prawo własności do moich nieruchomości. Teraz zarządza nimi spółka CPK* – mówi sołtys. Rygor natychmiastowej wykonalności w praktyce oznaczał wyścig z czasem. – *Decyzję odebrałem 5 stycznia, więc do 4 lutego musiałem opuścić nieruchomość, jeśli nie chciałem stracić dodatkowych 5 proc. odszkodowania.*

Dodaje z żalem, że przecież wyprowadzka z gospodarstwa to nie jest spakowanie kilku walizek. Trzeba gdzieś przewieźć cały dobytek, maszyny, sprzęt, wszystko zabezpieczyć i magazynować. – *Samo się nie zrobi. A przepisy nie przewidują zwrotu kosztów związanych z przeprowadzką. Nikt nie pokrywa wydatków na transport, wynajem magazynów czy nowego mieszkania* – opowiada sołtys Skrzelewa. Co do wycen też ma wątpliwości. Podkreśla, że należne mu odszkodowanie oznacza zapłatę za grunty ▶

eprasa.pl 7b9ca5e5e4



Kontrargumenty państwa też są mocne. Ziemia położona jest centralnie, a zaludniona była incydentalnie.

▶ pod inwestycję infrastrukturalną, a nie pod produkcję rolną. – *Nie oddaję tej ziemi pod uprawy. To nie jest zamiana jednej ziemi rolnej na drugą. Moje grunty mają ustąpić miejsca lotnisku, pasom startowym, drogom i całej związanej z nimi infrastrukturze* – mówi sołtys.

Opowiada, że sąsiad, który ma wiatraki, musi je rozebrać za własne pieniądze: – *Oni mówią, że nie są związane z gruntem. Nawet nie ma rozmowy o odszkodowaniu za te wiatraki. Absurd.*

Jako kolejny przykład sołtys podaje suszarnię do zboża, czyli instalację służącą do osuszania świeżo zebranych plonów przed ich magazynowaniem. Jak mówi, rzeczywisty koszt budowy takiego obiektu to około pół miliona złotych. Sama suszarnia, bez montażu i przygotowania terenu, kosztuje dziś kilkaset tysięcy złotych. Trzeba jeszcze doprowadzić prąd, gaz i przygotować całą infrastrukturę. Tymczasem w dokumentach sporządzonych na potrzeby wyceny wartość odtworzeniową suszarni oszacowano na 260 tys. zł. Pokazuje to skalę rozbieżności między kosztami, które rolnik musiałby ponieść, aby odtworzyć gospodarstwo w nowym miejscu, a kwotami uwzględnianymi w wycenach. – *Za takie pieniądze nie da się tego odbudować* – przekonuje.

W pułapce

W czerwcu rzecznik praw obywatelskich ujął się za mieszkańcami wysiedlanymi pod Port Polska. Wskazywał na pułapkę prawną, w którą wpadli. Argumentował, że system powoduje, że mieszkańcy tracą swoje nieruchomości i możliwość korzystania z nich, zanim otrzymają pełną rekompensatę, pozwalającą odbudować dotychczasowe życie. W efekcie to oni ponoszą konsekwencje opóźnień po stronie państwa.

Sołtys Skrzelewa wskazuje, że proponowane grunty zamienne nie mogły zastąpić ziemi, którą jego rodzina uprawiała od lat. – *Tu mamy trzecią klasę ziemi, do tego dobrze nawodnioną. To są bardzo dobre grunty. W zamian proponowano nam ziemię w innych częściach Mazowsza czy w okolicach Łodzi, ale często były to gleby piątej albo szóstej klasy* – mówi.

I opowiada, że jeszcze w XVII w. rozciągały się tu rozległe bagna. Mają to potwierdzać historyczne zapisy z początku i połowy stulecia. Według niego dlatego sprowadzono tu holenderskich osadników, słynących z umiejętności osuszania podmokłych terenów i przekształcania ich w grunty rolne. Ślady tej historii przetrwały do dziś. Niedaleko znajduje się miejscowość Holendry Baranowskie, której nazwa przypomina o dawnych osadnikach.

Dla mieszkańców to nie tylko ciekawostka z podręcznika historii, ale część opowieści o ziemi, którą przez pokolenia zamieniano w pola uprawne. – *Na najlepszych glebach stawiamy lotnisko* – kwituje załamany Szymańczak. I dodaje, że pierwotnie kolej docierająca do lotniska była planowana na drugim poziomie podziemnym. – *Przecież to byłby basen dla nurków*. Plany się zmieniły, obecnie budowa nie jest planowana tak głęboko. Sołtys jednak twierdzi, że przy rozbudowie lotniska w Modlinie nie byłoby takich problemów: – *Teren jest wysoki. Tam jest szósta i siódma klasa gleb, na której nawet drzewa nie chcą rosnąć. Poza tym tam nie trzeba by było nikogo wysiedlać.*

Ale kontrargumenty też są mocne. Ziemia położona jest centralnie, a zaludniona była incydentalnie. Nie było ważnych zabytków, nie odbyła się tu żadna ważna bitwa, która byłaby symboliczną przeszkodą dla planów mocarstwowych. Ot, zwykli ludzie na zwykłej prowincji.

NATALIA SAWKA

eprasa.pl 7b9ca5e5e4

NOWE WYDANIE JUŻ W SPRZEDAŻY







WRZEŚNIOWE WYDANIE
DOSTĘPNE TAKŻE

Z KULTOWYM KREMEM
DO TWARZY, PRZEKAZYWANYM
Z POKOLENIA NA POKOLENIE

DIVINE CREAM 15 ml

Krem nawilżająco-odmładzający
do twarzy i pod oczy na dzień i na noc

RÓŻNE RODZAJE DODATKÓW ORAZ OKŁADEK DOSTĘPNE W WYBRANYCH PUNKTACH SPRZEDAŻY

Prenumeratę wydania bez dodatku możesz zamówić także na: **prenumerata24.pl** lub za pośrednictwem Poczty Polskiej na **sklep.poczta-polska.pl**

MagazynZwierciadlo zwierciadlo_miesiecznik sklep.zwierciadlo.pl

eprasa.pl 7b9ca5e5e4



Portfel Pandory

Unijna dyrektywa o jawności wynagrodzeń już miesza na polskim rynku pracy. Ale prawdziwa jazda się zacznie, gdy dyskryminowani płacowo ustawią się w kolejce po milionowe odszkodowania.

ILUSTRACJE **PATRYK SROCZYŃSKI**

ZBIGNIEW BOREK

Pieniądz lubi ciszę – mawiali starsi, pracodawcy zaś chętnie dokładali do tego aneks w postaci klauzul poufności wynagrodzeń. Podobne klauzule stają się teraz nieważne z mocy prawa. Co więcej, każdy pracownik może zażądać informacji o średnich zarobkach osób wykonujących taką samą pracę, a kandydat do pracy ma prawo poznać z góry widełki płacowe, a nawet dokładną stawkę. Unia Europejska otwiera płacową puszkę Pandory.

Widły Neptuna

Pogromcą zarobkowych tajemnic jest Bruksela, a konkretnie unijna dyrektywa o jawności wynagrodzeń. 7 czerwca 2026 r. minął termin jej wdrożenia. Polska go nie dotrzymała (wdrożyła tylko niektóre przepisy), ale pracownicy już mogą powoływać się na unijne reguły przed sądami. Widmo procesowej przegranej straszy pracodawców, dostosowują się więc do nowego prawa. A czasem tylko udają – trochę jak rząd, który zapewnia, że wszystko będzie gotowe na początku przyszłego roku.

Dyrektywa budzi ogromne emocje. Tak jest choćby z przepisem, który już obowiązuje: pracodawca musi przekazać kandydatowi do pracy informację o początkowej wysokości wynagrodzenia lub jego przedziale, tzw. widełkach.

27-letni Jakub ze Szczecina szukał pracy w kilku firmach i instytucjach publicznych. Za każdym razem przeszedł trudny, kilkustopniowy nabór, po czym się dowiadywał, że proponowane zarobki są poniżej jego oczekiwań. – *Gdy więc weszły w życie widełki, ucieszyłem się. Niestety, bywają kolosalnie szerokie, np. od niewiele ponad 5 tys. zł do prawie 9 tys. zł* – mówi. Jak zauważa, tak duża rozpiętość służy ominięciu przepisu, a użyteczność informacji jest żadna.

Na platformach internetowych podobnych ogłoszeń jest mnóstwo: spedytor może zarobić 5–9,5 tys. zł, specjalista ds. e-commerce 6–12 tys. zł, kierowca 9,8–19,6 tys. zł, kierownik

eprasa.pl 7b9ca5e5e4

działu handlowego 5–28 tys. zł, agent nieruchomości 5–50 tys. zł (1000 proc. różnicy). Tak pracodawcy wykorzystują furtkę, która pozwala im ujawnić dokładną stawkę na późniejszym etapie rekrutacji. Absurdalnie szerokie widełki internauci nazywają widłami Neptuna. I naigrawają się, że ogłoszenia o pracy mają być neutralne płciowo: specjalista/specjalistka ds. sprzedaży, osoba na stanowisku kierowcy (kobiety mniej chętnie aplikują na stanowiska przedstawione w formie męskiej).

Kolejny punkt zapalny to jawność płac wewnątrz firm. „Masz dwóch gości na tym samym stanowisku: jeden mierny, przygłupi, a drugi – prawdziwa torpeda. Pierwszemu płacisz na rękę 4000, drugiemu 7000. Przychodzi UE i musisz każdemu zapłacić 7000. Jak myślisz, co się stanie?" – pyta jeden z dyskutantów. Inny: „Kierownik zawnioskował o pensję dla pani A (rok doświadczenia), taką jak pan Z miał po 20 latach. Serio tak ma to wyglądać?". „Porządne ustawy to są dla zarządu. Dla pana, panie Areczku, pozostają pisane na kolanie szmatławce" – podsumowuje kolejny internauta, bo mało kto wie, na czym dokładnie mają polegać zmiany.

Luka płacowa

Zacznijmy od dyrektywy. To najdalej idący akt prawny w zakresie równości płac w historii Unii Europejskiej. Kluczowe nie są w niej ani feminatywy, ani widełki, lecz instrumenty do walki z dyskryminacją płacową.

To w Polsce chleb powszedni – kolega lub koleżanka z biurka lub stanowiska obok zarabiają więcej, choć pracę mają identyczną, a wydajność często mniejszą. Przy czym wiedza ta opiera się najczęściej na domysłach albo pokątnie zdobytych informacjach, więc trudno ją wykorzystać w walce o podwyżkę.

Najbardziej widocznym przejawem grupowej dyskryminacji jest luka płacowa między kobietami a mężczyznami. Według Eurostatu luka nieskorygowana (porównanie średnich zarobków wszystkich kobiet i wszystkich mężczyzn) to w Polsce 7,8 proc. Wskaźnik ten bywa złudny – zaburzają go szklany sufit (awans ograniczony od góry), lepka podłoga (awans ograniczony od dołu), a także fakt, że kobiety dominują w gorzej płatnych sektorach, jak edukacja i opieka społeczna. Istotniejsza jest luka skorygowana (kobiety i mężczyźni na tych samych stanowiskach, z podobnym wykształceniem i stażem). I tu czar pryska, bo ta sięga u nas już 10,4 proc., a w sektorze prywatnym od 13,9 do 16 proc. – przy średniej unijnej 11 proc.

Główny Urząd Statystyczny wskazuje, że różnica między średnim wynagrodzeniem kobiet i mężczyzn przekracza 900 zł miesięcznie. Według Europejskiej Konfederacji Związków Zawodowych (ETUC) przejrzystość może przynieść każdej kobiecie w UE wzrost wynagrodzenia od 465 do 700 euro rocznie – i to po uwzględnieniu, że luka płacowa spadnie tylko o 10 albo o 15 proc.

Jest to więc walka o zastrzyk gotówki, a także o sprawiedliwe traktowanie kobiet, które z kolei wpływa na parytety ważne dla konkurencyjności Unii i poszczególnych państw. Łatwiej było jednak przyjąć dyrektywę, niż ją wdrożyć. Przez trzy lata udało się to tylko w Słowacji, na Malcie, Litwie i we Włoszech. W terminie nie uporali się z tym nawet Skandynawowie, znani z poukładanych relacji pracowniczych. Polska rozbiła ten proces na dwa odrębne etapy legislacyjne. Częściowe wdrożenie nastąpiło poprzez nowelizację Kodeksu pracy z 24 grudnia 2025 r., która wymusza m.in. określenie wspomnianych widełek (zakazuje też rekruterom pytać kandydatów o poprzednie zarobki). Przed tą zmianą byliśmy daleko za europejską czołówką. Według Indeed, największej na świecie platformy ogłoszeń o pracę, przejrzystość wynagrodzeń w takich anonsach w 2025 r. w Wielkiej Brytanii sięgała 65 proc., we Francji i w Holandii prawie 50 proc. A u nas zaledwie 20 proc.

W Polsce temat wynagrodzeń to pole minowe, jak w przypadku rozmów o polityce i religii; jednocześnie cierpimy na chroniczną ciekawość cudzych dochodów. Z badania Polskiego Instytutu Ekonomicznego wynika, że 33 proc. Polek i Polaków chciałoby wiedzieć, ile zarabiają ich współpracownicy, ale tylko 17 proc. podałoby taką informację o sobie. Co drugi pracownik chciałby znać pensje wszystkich zatrudnionych w swojej firmie, a 70 proc. osób domaga się jawności na stanowiskach analogicznych do tych, które same zajmują – wynika z sondażu pracuj.pl (objął 1470 osób w wieku 18–65 lat). Bezinteresownie ciekawskich czeka jednak rozczarowanie: dzięki dyrektywie nie dowiemy się, ile zarabia sąsiadka zza płotu, lista płac nie zawiśnie też na firmowej tablicy ogłoszeń, bo jawność oznacza dostęp do skonsolidowanych danych. To ma być podstawa drugiego (albo właściwego) etapu wdrażania unijnych zasad.

Dlaczego nie wyrobiliśmy się z tym do 7 czerwca? Zbyt długo trwało wyłonienie organu równościowego, który zajmie się nadzorem (powstał przy Państwowej Inspekcji Pracy), utknęliśmy też w legislacyjnym korku na skutek zmian w projekcie ustawy wdrażającej „o wzmocnieniu stosowania prawa do jednakowego wynagrodzenia mężczyzn i kobiet za jednakową pracę lub za pracę o jednakowej wartości". – *To piekielnie skomplikowany akt prawny nie tylko dla rządu i parlamentu, ale też dla pracodawców* – mówi Marcin Stanecki, do niedawna główny inspektor pracy. I podkreśla: – *Dyrektywa ucywilizuje warunki zatrudnienia. Nie będzie już arbitralnych pensji, podwyżek i premii. Będą wymagały uzasadnienia, a pracodawca będzie musiał brać pod uwagę wysiłek, odpowiedzialność i umiejętności.*

Co się konkretnie zmieni?

W ramach wartościowania stanowisk powstaną obiektywne kryteria, o których mówi Stanecki. Pracodawcy będą musieli raportować lukę płacową (jeśli przekroczy 5 proc., czeka ich przymusowa „wspólna ocena wynagrodzeń" ze związkami zawodowymi). Pracownicy zyskają prawo do informacji o wynagrodzeniu w swojej kategorii. Klauzule poufności muszą zniknąć (inaczej grozi kara do 60 tys. zł), a nieuzasadnione nierówności płacowe mogą wywołać lawinę odszkodowań bez górnego limitu kwotowego. I najważniejsze: choć obowiązki różnicują się ze względu na liczbę zatrudnionych, to jednak dyrektywa dotyczy wszystkich pracodawców. – *Nie chodzi o sztukę dla sztuki, o gromadzenie setek stron dokumentacji, której nikt nie przeczyta, albo o kopiowanie wzorców z internetu, żeby okazać na odczepne inspektorowi pracy. Wszystko będzie musiało mieć ręce i nogi, bo inaczej pracodawcę może to słono kosztować* – podkreśla Stanecki.

– *Z samym celem dyrektywy nikt nie polemizuje. Problemem są jej szczegółowe rozwiązania* – mówi Robert Lisicki, dyrektor departamentu pracy Konfederacji Lewiatan, skupiającej ponad 4 tys. firm, zatrudniających w sumie ponad milion pracowników. Jak zauważa, przepisy są skomplikowane, napisane trudnym językiem i wprowadzają pojęcia, które nie funkcjonują w polskim systemie wynagradzania. ▶

eprasa.pl 7b9ca5e5e4





33 proc. Polek i Polaków chciałoby wiedzieć, ile zarabiają ich współpracownicy, ale tylko 17 proc. podałoby taką informację o sobie – wynika z badania Polskiego Instytutu Ekonomicznego.

▶„Dominującym zjawiskiem jest postrzeganie dyrektywy jako zadania dokumentacyjnego i wymogu raportowania, nie jako reformy systemu zarządzania kapitałem ludzkim" – piszą prof. Tomasz Rostkowski i dr Dariusz Danilewicz z Instytutu Wynagradzania i ze Szkoły Głównej Handlowej.

W specjalnym raporcie wyliczyli, że wdrożenie dyrektywy w polskim sektorze przedsiębiorstw prywatnych zatrudniających co najmniej 100 pracowników będzie kosztowało 5,35 mld zł. To jednak dolna granica, głównie honoraria konsultantów i opłaty prawne. Dwa, a nawet trzy razy więcej pochłoną roboczogodziny własnych menedżerów, specjalistów HR i szeregowych pracowników poświęcone na wartościowanie stanowisk, opisy ról, przeglądy struktury wynagrodzeń i wdrożenie systemu raportowania. Chcąc nie chcąc, załoga będzie pracować nad wdrożeniem dyrektywy (nie wykonując w tym czasie rutynowych obowiązków). Firma zatrudniająca 100–249 osób potrzebuje na to 223 dni pracy własnych ludzi, firma 250–999-osobowa – 703 dni, a taka, która zatrudnia powyżej 1 tys. osób – 1768 dni (siedem lat pracy jednej osoby). Obciążenie w całym sektorze prywatnym autorzy szacują na ponad 6 mln dni pracy, czyli ekwiwalent 24 tys. rocznych etatów. – *Są to koszty ukryte, które nie pojawią się na żadnej fakturze* – podkreślają.

Ciężar dowodu

Oni również przestrzegają przed drogą na skróty: dokumentacja powstaje, wymogi formalne są odhaczone, ale struktura wynagrodzeń pozostaje nienaruszona, nierówności jak były, tak są. Tanie wdrożenie dokumentacyjne – jak to nazywają – tworzy tylko iluzję ochrony, bo dyrektywa różni się od wcześniejszych regulacji antydyskryminacyjnych tym, że odwraca jeden z fundamentów prawa pracy, czyli ciężar dowodu. Do tej pory jako pracownik musiałeś udowodnić, że jesteś dyskryminowany, a teraz to pracodawca musi udowodnić, że cię nie dyskryminuje. Powtórzmy: dzięki dyrektywie zyskujesz prawo do informacji o własnym wynagrodzeniu i o średnich wynagrodzeniach w porównywalnych kategoriach stanowisk. To narzędzie wybitnie łatwe w użyciu – wystarczy, że o takie dane poprosisz. Pracodawca musi ci odpowiedzieć (w przeciwnym razie popełnia wykroczenie). Jeśli odpowiedź ujawni nierówność, masz gotowy materiał na pozew.

– *Co zrobi pracownik, który dowiaduje się, że w stosunku do kolegów czy koleżanek z pracy był do tyłu o 2 tys. zł miesięcznie? Pewne jak w banku, że złoży pozew o wyrównanie zaległości do trzech lat wstecz, a to już ponad 100 tys. zł, do tego ok. 10 proc. ustawowych odsetek* – mówi prawnik zajmujący się tym na co dzień. Przewiduje, że wszelkie konflikty z pracownikiem albo próba jego zwolnienia zwiększą prawdopodobieństwo złożenia pozwu: – *W sądzie pracy nic to nie kosztuje, ryzyko dla pracownika jest więc żadne, a dla pracodawców i rynku pracy to bomba atomowa. Wystarczy sobie wyobrazić, że firma przegrywa tylko dziesięć takich spraw. Wpłynie to na jej wynik finansowy, w skrajnych przypadkach może doprowadzić do bankructwa.*

Podkreślmy raz jeszcze: pracodawca stoi na gorszej pozycji, bo to on musi wybronić się przed sądem, że stwierdzona różnica w płacy jest uzasadniona obiektywnymi kryteriami. „Im gorzej dopracowana dokumentacja, tym trudniej tę obronę zbudować. Pozorne wdrożenie nie jest zatem strategią oszczędzającą środki finansowe – jest pułapką. To strategia przesunięcia kosztu w czasie – z kosztu wdrożeniowego na procesowy, odszkodowawczy i wizerunkowy. Ten ostatni jest nieporównywalnie wyższy, więc jest to działanie na szkodę firmy" – ostrzegają Rostkowski i Danilewicz.

Game changer

Eksperci Instytutu Wynagradzania i SGH przygotowali również raport z wdrażania dyrektywy w administracji publicznej. Konkluzje: koszt będzie wyższy niż w sektorze przedsiębiorstw, a problemy jeszcze większe. Dlaczego? Przepisy w instytucjach publicznych może i obowiązują, ale często tylko na papierze. Wartościowanie wprowadzone w służbie cywilnej w 2007 r. nie zrównuje poziomu płac między kobietami i mężczyznami wykonującymi tę samą pracę lub pracę o tej samej wartości. A cały sektor to konglomerat rządowych i samorządowych urzędów rozmaitych szczebli oraz szpitali, instytucji opieki, oświaty, kultury czy służb mundurowych. Nie rządzi w nich jednolity Kodeks pracy, lecz prawo branżowe (jak Karta nauczyciela czy ustawa o policji), odrębne są systemy stopni zawodowych i tabele zaszeregowania, zasady awansu czy przydzielania dodatków i nagród. Samo wyrównanie różnicy płac na stanowiskach może pochłonąć kilka miliardów złotych, jeszcze więcej – praca nad wdrożeniem dyrektywy, nie mówiąc o kosztach przegranych procesów.

– *Instytucje publiczne ponosiły największe konsekwencje finansowe zaniedbań w krajach, które jako pierwsze wprowadziły podobne przepisy. Kary za błędy, które w polskiej administracji publicznej są typowe, np. pominięcie szczegółu w opisie stanowiska, sięgały kilkuset milionów euro* – mówi prof. Rostkowski. Fakt, że dyrektywa nie została całkowicie wdrożona, nikogo nie zwalnia z jej stosowania. Pracownicy instytucji publicznych i firm mogą ustalać wysokość wynagrodzenia i skarżyć różnice, a z braku polskich przepisów sprawy docelowo mogą trafiać do sądów europejskich.

– *Większa otwartość oznacza także większą świadomość* – komentuje socjolożka Olga Czeranowska, zajmująca się rynkiem pracy i nierównościami płci. Jak zauważa, dzięki dyrektywie pracownicy będą lepiej rozumieć, skąd biorą się różnice w wynagrodzeniach, łatwiej będzie identyfikować przypadki nierównego traktowania, a to buduje poczucie własnej wartości i społecznej sprawiedliwości. – *W dalszej perspektywie dyrektywa może prowadzić do bardziej partnerskich relacji w miejscu pracy i stopniowej zmiany kultury organizacyjnej, ale też do osłabienia normy, w której rozmowy o wynagrodzeniach są tematem tabu* – mówi dr Czeranowska. Innymi słowy, łatwiej nam będzie rozmawiać o pieniądzach i równości także w życiu prywatnym czy społecznym. A to już kolejny powód, żeby uznać unijną dyrektywę za game changera.

ZBIGNIEW BOREK

eprasa.pl 7b9ca5e5e4

Kto kręci lody

Lody podrożały. Aby osłodzić podwyżki, lodziarnie wymyślają nowe smaki i zaskakujące kombinacje. W tym sezonie to np. matcha, sakura, ube czy mochi. Ale branża wciąż nie potrafi przekonać Polaków, że lody można jeść nie tylko w upały.

CEZARY KOWANDA



© SHUTTERSTOCK

Nawet lody zostały ostatnio zamieszane w politykę. Lodziarnia Pod Dębem w Pszczynie ogłosiła w czerwcu, że tym razem zrywa ze swoją wieloletnią tradycją: nie będzie darmowych lodów dla uczniów z najlepszymi świadectwami z okazji zakończenia roku szkolnego. Do lodziarni pismo z interwencją napisała sama rzeczniczka praw dziecka Monika Horna-Cieślak, która uznała nagradzanie tych z biało-czerwonym paskiem za niesprawiedliwe wobec reszty dzieci. Przez Polskę przetoczyła się ożywiona dyskusja, a niektóre lodziarnie postanowiły ją wykorzystać do własnej promocji. Ogłosiły, że one żadnych urzędów się nie boją i u nich najlepsi uczniowie dostaną lody za darmo.

Z takiej oferty żal nie skorzystać, skoro porcja lodów to dziś wydatek średnio 8–10 zł. Ceny rosną, bo coraz więcej kosztują składniki do produkcji, energia, a przede wszystkim wynagrodzenia pracowników. Dodatkowo mocno podrożały urządzenia potrzebne do wytwarzania i przechowywania lodów.

Eksperci szacują, że w całej Polsce działa ok. 3–4 tys. zakładów produkujących lody, chociaż ich liczba powoli maleje. Szczególnie od pandemii, gdy ceny zaczęły tak szybko rosnąć. – *Lodziarze* ▶

eprasa.pl 7b9ca5e5e4



▶ *z dużym doświadczeniem mówią, że stracili zwłaszcza rynek dzieci, które kiedyś na przerwie czy po szkole szły na lody. Dzisiaj dla nich to za duży wydatek i jeśli chcą loda, kupią go w pobliskim sklepie za 1–2 zł. Takie ceny mają przyciągać do sieci handlowych, ale z punktu widzenia małych rzemieślniczych lodziarni są nieuczciwą konkurencją* – mówi Sławomir Szewczyk, prezes Sempre Group, firmy specjalizującej się w zaopatrzeniu cukierni, lodziarni i gastronomii.

Dużo więcej lodów niż w lodziarniach kupujemy w sklepach. Na ten zimny deser wydaliśmy w ubiegłym roku według firmy Euromonitor International ok. 5 mld zł. W tym roku ma to być o pół miliarda więcej. Konsumpcja lodów na osobę wynosi u nas obecnie ok. 6 litrów w ciągu roku. Wzrasta, ale w powolnym tempie. Do światowych liderów jak Nowozelandczycy (ok. 28 litrów) czy Amerykanie (ponad 20 litrów) nam daleko. Ustępujemy też wyraźnie Skandynawom (kilkanaście litrów rocznie), a ze swoim wynikiem plasujemy się w okolicach średniej unijnej.

W sklepach konkurują ze sobą przede wszystkim lody impulsowe (wydajemy na nie prawie 3 mld zł rocznie) i familijne (niecałe 2 mld zł rocznie). Te pierwsze, jak sama nazwa wskazuje, kupujemy spontanicznie, przede wszystkim w ciepłe i gorące dni. Sieci handlowe wiedzą, że tanie lody są świetnym wabikiem na klienta, więc nie oszczędzają na promocjach, oferując niektóre warianty nawet poniżej złotówki za sztukę. Liczą, że przy okazji konsumenci kupią coś jeszcze, np. napój czy przekąski. Trochę jak z tanim masłem, na którym dyskonty może i tracą, ale zarabiają na innych zakupach klienta skuszonego promocją. Lody impulsowe są bardzo wrażliwe na pogodę – pokazał to ubiegłoroczny zimny maj, gdy ich sprzedaż w małych sklepach gwałtownie spadła.

Lody familijne, oferowane w większych opakowaniach, zjadamy głównie w domu. Obrót nimi jest nieco mniej uzależniony od pogody, chociaż też zdecydowanie więcej sprzedaje się ich latem niż zimą.

Na naszym lodowym rynku dominuje kilku potężnych graczy. Liderem są dwie polskie firmy: Grycan i Koral, a także wydzielona niedawno z koncernu Unilever spółka The Magnum Ice Company oraz Nordis, kontrolowany przez ukraińskie przedsiębiorstwo Trzy Niedźwiedzie. Po przejęciu przez nie Nordisu w 2023 r. doszło do zamknięcia należącego do tej firmy zakładu Calfrost w Kaliszu. Zdaniem ukraińskiego właściciela był nierentowny, ale ta informacja wzbudziła spore kontrowersje. Tak samo jak nagłośnienie faktu, że wśród lodów Marletto, marki własnej Biedronki, są te wytwarzane w Ukrainie. Sama sieć zapewnia, że produkcję większości swoich lodów zleca w Polsce, a w Ukrainie powstaje ich mniej niż 1 proc. Jednak w internecie nie brakuje przekonanych, że trzeba sprawdzać, czy przypadkiem nie trafimy na loda z Ukrainy. Trudno wyobrazić sobie większy dramat narodowca podatnego na rosyjską propagandę.

Tymczasem powinniśmy martwić się tym, co tak naprawdę kupujemy. Niedawno Inspekcja Jakości Handlowej Artykułów Rolno-Spożywczych (IJHARS) skontrolowała lody oferowane w punktach gastronomicznych. Sprawdzono 20 partii i w aż 12 przypadkach

Dokąd na lody

Gdzie najczęściej kupujemy/zamawiamy lody? (w proc.)



ŹRÓDŁO: PBS, 2025 r.

eprasa.pl 7b9ca5e5e4

stwierdzono problemy z oznakowaniem. Czasem brakowało wykazu składników czy nazwy producenta. Nie zawsze nawet prawidłowe było określenie smaku – lody śmietankowe muszą być ze śmietanki, a nie z mleka w proszku czy masy o smaku waniliowo-śmietankowym. Lody truskawkowe muszą zawierać w składzie truskawki, a nie sam aromat (to lody zaledwie o smaku truskawkowym). Inspektorzy zwrócili też uwagę na nadużywanie określenia „lody rzemieślnicze". Bywa, że jest stosowane w odniesieniu do lodów pochodzących z hurtowni czy firm produkujących na masową skalę. A przecież właśnie to hasło ma uzasadnić ich wysoką cenę. Lody rzemieślnicze nie mogą mieć w składzie żadnych konserwantów czy ulepszaczy. IJHARS na szczęście nie miała zastrzeżeń do przechowywania lodów ani do ich parametrów.

Dużo gorzej pod tym względem wypadła kontrola zachodniopomorskiego sanepidu, przeprowadzona na przełomie czerwca i lipca. Sprawdził sprzedających popularne zwłaszcza latem lody z automatów, zwane u nas włoskimi. Na 50 przebadanych próbek aż w dziesięciu stwierdzono podwyższony poziom bakterii *Enterobacteriaceae*. Jak podkreśla sanepid, ich obecność wskazuje na niewłaściwą higienę procesu produkcji. Mogą być też skutkiem niewystarczającej czystości urządzeń.

Producenci – i duzi, i mali – starają się dziś przekonać nas, że lody to przyjemność bezpieczna, higieniczna i dietetyczna. Branża mówi o trendzie tzw. premiumizacji. W tłumaczeniu na język polski chodzi po prostu o zachęcanie do zakupu droższych produktów, które mają zapewniać coś szczególnego. W tym celu można wykorzystać np. modę na białko (zgodnie z przekonaniem niektórych, że im go więcej w diecie, tym lepiej) i zaoferować lody wysokoproteinowe. Albo skusić tych, którzy nie piją mleka, na lody wegańskie, czyli oparte tylko na składnikach roślinnych. W przypadku takich produktów marża wytwórcy jest oczywiście znacznie wyższa, bo i klienci są skłonni zapłacić więcej.

A jak wyglądają trendy smakowe w tym sezonie? – *Tak modna od kilku lat pistacja wchodzi już do kanonu i staje się jednym z podstawowych smaków, jak wanilia czy czekolada. Obserwuję duże zainteresowanie smakami azjatyckimi. Do popularnej matchy dołącza wiśnia sakura czy ube – fioletowy pochrzyn. Z drugiej strony mamy rosnącą popularność smaków, które można określić jako nostalgiczne, np. szarlotka czy jagodzianka. Są one oferowane zwłaszcza w tradycyjnych lodziarniach, często w ramach połączenia lodów i innych deserów* – mówi Małgorzata Krześniak, właścicielka Cool Hunters, agencji doradzającej firmom z branży spożywczej szukającym innowacji produktowych.

Ciekawy trend to tekstury. – *Żyjemy w świecie coraz bardziej cyfrowym, niejako płaskim, więc chcemy odczuwać jedzenie wielozmysłowo. W lodach szukamy coraz częściej elementów chrupkości, różnych warstw, które nas zaskoczą. Stąd popularność łączenia smaku słodkiego ze słonym czy kwaśnym. Stąd także popularność japońskiego mochi, które Amerykanie wykorzystali do stworzenia deseru – gałka lodów w środku, otoczona ciastem ryżowym, w poręcznym formacie. Sprzedaż takiego produktu także u nas szybko rośnie* – wyjaśnia Małgorzata Krześniak. Zwraca uwagę, że producenci starają się wprowadzać na rynek coraz więcej mrożonych przekąsek, jak owoce w czekoladzie. Takie nowości mają konkurować z tradycyjnymi ciastkami czy batonikami. A przy okazji można na nich zarobić więcej, bo nie ma lepszego argumentu, by zażądać wyższej ceny, niż innowacja.

Te wszystkie pomysły nie zmieniają faktu, że wśród lodów wciąż królują przede wszystkim smaki tradycyjne. – *Widzimy, że klienci chętnie próbują nowych propozycji, jednak najważniejsze pozostają klasyki, jak śmietana, wanilia, truskawka czy czekolada, odpowiadające za 60–70 proc. sprzedaży w tradycyjnych lodziarniach. Do tego grona rzeczywiście udało się wedrzeć pistacji. Także dzięki temu, że pasta z pistacji była kiedyś surowcem rzadkim i drogim, a dzisiaj jest w Polsce używana na dużą skalę* – mówi Sławomir Szewczyk z polskiej Sempre Group.

Największym wyzwaniem dla naszej branży lodowej są nawet nie tyle rosnące koszty, ile sezonowość. Co prawda okres wysokiej sprzedaży lodów się wydłuża, jednak wciąż zdecydowana większość tradycyjnych lodziarni musi się zamykać na kilka chłodnych miesięcy. Lody w Polsce historycznie traktuje się jako metodę na ochłodzenie, stąd ich wielka popularność w upały i drastyczny spadek sprzedaży, gdy robi się chłodniej albo pada deszcz. Tymczasem np. w krajach skandynawskich czy Stanach Zjednoczonych lody je się przede wszystkim dla ich smaku, nie uzależniając konsumpcji tak mocno od temperatury na zewnątrz. Polska sezonowość to dodatkowa przyczyna wzrostu cen, bo przecież lodziarnia musi w gorący dzień zarobić z nawiązką, by powetować sobie straty, gdy nadejdzie ochłodzenie. A tegoroczne lato, podczas którego przeplatają się fale ogromnych upałów i chłodnych, deszczowych dni, to dla każdego sprzedawcy lodów biznesowa huśtawka. Efekt? Za rok będzie znowu drożej.

CEZARY KOWANDA

Ulubione smaki Polaków
(w proc.)
ŹRÓDŁO: PBS, 2025 r.



© SHUTTERSTOCK, INFOGRAFIKI LECH MAZURCZYK

eprasa.pl 7b9ca5e5e4



Siemion Skriepiecki przed ambasadą Rosji w Berlinie, 12 czerwca (trzy dni przed śmiercią). Poniżej: zatrzymanie Elnura A., podejrzanego o zabójstwo.

Strzały ze Wschodu

Ustaliliśmy, kim jest podejrzany o zabicie w Polsce rosyjskiego opozycyjnego artysty Siemiona Skriepieckiego. To człowiek z kryminalną przeszłością, mieszkaniec Moskwy, pracownik czeczeńskiej firmy.

TIMUR OLEVSKY, PAWEŁ RESZKA

Do zamachu na życie uchodźcy politycznego Siemiona Skriepieckiego, który mieszkał w Białej Podlaskiej, doszło 15 czerwca. To była egzekucja. – *Jak z filmu sensacyjnego. Najpierw strzały w plecy, a potem kontrolne wystrzały w głowę* – opowiada oficer służb znający sprawę. Morderstwo wywołało mnóstwo pytań. Czy zabójca mógł działać na zlecenie służb ze Wschodu? Czy chodziło o zemstę, manifestację możliwości? „Istnieje podejrzenie, że za potencjalnym zabójcą stoją zleceniodawcy – mówił premier Donald Tusk. – Nie muszę nikogo przekonywać, że ta obawa dotyczy ewentualności państwowego terroryzmu”.



© VASILY KRESTYANINOV/SOPA IMAGES/LIGHTROCKET/GETTY IMAGES, POLICJA LUBELSKA

eprasa.pl 7b9ca5e5e4

Ze źródeł związanych ze śledztwem znamy nazwisko, datę i miejsce urodzenia, imiona rodziców podejrzanego. Dzięki temu mogliśmy zacząć poszukiwania w otwartych i zamkniętych bazach danych Rosji i innych krajów postsowieckich. Oto co ustaliliśmy.

Elnur A. jest obywatelem Gruzji, etnicznym Azerem. Pochodzi z Gardabani, 15-tysięcznego miasta na granicy z Azerbejdżanem. Spędził tam dzieciństwo, potem przeniósł się do Tbilisi, a następnie – już jako nastolatek – do Togliatti w Rosji. To przemysłowe miasto nad Wołgą, słynne z wielkiej fabryki samochodów Łada. W latach 90. miało opinię jednego z najbardziej gangsterskich miast Rosji.

Elnur szybko popada w konflikt z prawem. 27 kwietnia 2006 r. zostaje aresztowany, i to nie w Rosji, ale na północy Kazachstanu. Oskarżenie: rabunek z użyciem przemocy lub groźbą jej użycia. Ma wówczas 16 lat i kilka miesięcy, ale zgodnie z kazachskim kodeksem karnym odpowiada już jako dorosły. Kara: trzy i pół roku więzienia. Po wyjściu na wolność wraca do Rosji, ostatecznie ląduje w Moskwie. Niewiele o nim wiemy aż do 2013 r., kiedy znów pojawia się w policyjnych rejestrach. Pewna mieszkanka Moskwy zostaje okradziona. Ktoś wyjmuje jej z torebki kartę kredytową. Elnur A. wypłaca z niej blisko 8 tys. euro. Sporo – to nie wygląda na zwykłą kradzież, a raczej wymuszenie. Jednak nie ma na to dowodów, Elnur dostaje jedynie zarzut oszustwa.

Kilku Gruzinów w jednym

Zbierając informacje o tej sprawie, trafiliśmy na ciekawy szczegół. Po zatrzymaniu Elnur musiał podać telefon kontaktowy do kogoś na wolności. Był to numer Asłambeka Abujewicza M. To zamieszkały w Moskwie czeczeński przedsiębiorca. Miał firmę, która zajmowała się m.in. zakładami bukmacherskimi. Kilka razy był zatrzymywany. Zadzwoniliśmy pod wskazany przed laty przez Elnura numer. Okazało się, że korzysta z niego pracownica Asłambeka Abujewicza: – *Elnur to krewny pana Asłambeka i nasz pracownik. Dobry chłopak, ale straciliśmy z nim kontakt. Od pół roku nie przychodzi do pracy. Nie wiem, co się z nim dzieje.*

Elnur A. jeszcze raz pojawia się w rosyjskich bazach danych. W 2018 r. został zatrzymany za nielegalne przekroczenie granicy. Według dokumentów szedł polami Ukrainy z obwodu ługańskiego do biełgorodskiego w Rosji. Zatrzymano go w miejscowości Konotopowka. Nie wiemy, co robił w Ukrainie ani dlaczego nie chciał wracać do Rosji przez normalne przejście graniczne.

Nasze źródła po stronie ukraińskiej twierdzą, że oficjalnie Elnur A. nigdy tam nie wjeżdżał. Takiej osoby nie ma w rejestrach służb granicznych. – *Może to oznaczać, że wjechał na lewych papierach. Mógł też przejść przez zieloną granicę. W 2018 r. przedostanie się do Ukrainy z okupowanych przez Rosję terytoriów nie stanowiło większego problemu* – mówi nasze źródło związane ze Służbą Bezpieczeństwa Ukrainy. Elnur A. posługiwał się różnymi dokumentami, miał np. kilka gruzińskich dowodów tożsamości.

O podejrzanym rozmawialiśmy także ze źródłami zbliżonymi do polskich służb i policji. Okazało się, że bywał w Polsce i w Unii Europejskiej już wcześniej. Niewykluczone, że przyjeżdżał wykonać kryminalne zlecenia. – *Jakby był cynglem do wynajęcia* – mówi nasze źródło. – *Policja podejrzewa, że mord na Skriepieckim nie był pierwszym zabójstwem, którego dokonał na terenie naszego kraju.* Ostatni raz przyjechał do Polski niedługo przed zamachem na życie rosyjskiego opozycyjnego artysty.

Do zabójstwa doszło przed 10 rano na Osiedlu Jagiellońskim w Białej Podlaskiej. 44-letni Robert Kuzowkow (pseudonim artystyczny: Siemion Skriepiecki) spacerował z psem po uliczkach między blokami. Mieszkał tu z rodziną od kilku lat – uciekł z Rosji przed prześladowaniami politycznymi. Od dawna dostawał groźby. Niewykluczone, że wcześniej był obserwowany przez przyszłego zabójcę.

Trzy strzały w plecy, dwa w głowę

Anastazja, starsza córka zabitego artysty: – *Niedługo przed tragedią mama dostała dziwnego esemesa z nieznanego numeru. Coś w stylu: „Jak się macie?". Jakby ktoś chciał potwierdzić, że tego dnia rodzice są na miejscu. Potem wiadomość zniknęła.*

Ksenia, młodsza córka: – *Tata umiał się bronić, ale tutaj został zaskoczony. Morderca zaszedł go z tyłu.*

To były trzy strzały w plecy z pistoletu kaliber 9 mm. Skriepiecki upada, zamachowiec oddaje jeszcze dwa strzały w głowę. Wszystko dzieje się w biały dzień na oczach sąsiadów, nieopodal osiedlowej piekarni. Sprawca oddala się, ale zostają łuski i nabój.

Ksenia: – *Przyszła do mnie policja (od jakiegoś czasu nie mieszkam już z rodzicami). Zapytali o tatę, czy jestem jego córką. Potem mówią, żebym usiadła. „Pani tata został postrzelony". Zaczęłam krzyczeć. „Co to znaczy, że postrzelili? Żyje?". Policjant mówi, że szanse są niewielkie. Jakieś 80 proc., że umrze. Zabrali mnie na komisariat. Wchodzi jakiś wyższy rangą funkcjonariusz: „My pani o nic nie podejrzewamy, ale chcę się dowiedzieć jak najwięcej, bo na razie mamy tylko trupa". Zrozumiałam, że chodzi o tatę, że nie żyje.*

Policja obejmuje rodzinę ofiary ochroną, wywozi z miejsca zamieszkania. W policyjnej obławie wpada dwóch Białorusinów, ale – jak się szybko okaże – to fałszywy trop. Motyw politycznej zemsty nasuwa się sam. Skriepiecki – o czym jeszcze napiszemy – bezlitośnie wyśmiewał Władimira Putina i przywódcę rosyjskiej Czeczenii, watażkę Ramzana Kadyrowa.

– *Mieliśmy informacje, że może grozić mu niebezpieczeństwo. Dlatego kilka razy proponowano mu ochronę. Za każdym razem zdecydowanie odmawiał* – twierdzi źródło związane ze służbami. Zresztą to żadna tajemnica. O tym, że satyrykowi proponowano ochronę, informowała posłów Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego (ABW). Potwierdza to Ksenia.

Komenda Wojewódzka Policji w Lublinie powołała specjalną grupę śledczą. Do śledztwa włączyła się ABW. Służby nie chcą o tym informować. Jacek Dobrzyński, rzecznik ministra koordynatora Tomasza Siemoniaka, odsyła do prokuratury, która też milczy.

Sprawcę namierzono dzięki działaniom operacyjnym i analizie monitoringu. – *To jest standard, że sprawdza się wszystkie kamery: miejskie, przemysłowe, prywatne w okolicy. Najpierw w najbliższym sąsiedztwie miejsca przestępstwa, potem coraz dalej. Sprawdza się też logowania telefonów* – mówi doświadczony policjant. Dzień po morderstwie policja zaapelowała do kierowców przejeżdżających w pobliżu miejsca zdarzenia o przekazywanie nagrań z samochodowych wideorejestratorów. Wytypowano auto, którym poruszał się podejrzany. Zaczęto odtwarzać drogę pojazdu i kierowcy. Kierowali się na zachód, w kierunku Warszawy. Kierowcą okazał się Elnur A. W czasie ucieczki zaczął mylić ślady. Ostrzygł się, zgolił brodę, zmienił styl ubierania się. Zatrzymał się w hotelu w Piastowie. Stamtąd rankiem 18 czerwca zgarnęli go antyterroryści. ▶

eprasa.pl 7b9ca5e5e4

▶ Kuzowkow vel Skriepiecki urodził się w 1981 r. w rosyjskiej Baszkirii. Z wykształcenia był rzeźbiarzem, jednak uznanie zdobył jako malarz, karykaturzysta, performer, satyryk i zaangażowany politycznie bloger. Do 2021 r. mieszkał w Rosji, w kraju ałtajskim. Wyemigrował do Polski w obawie przed represjami politycznymi. Wraz z rodziną (żona i pięcioro dzieci) osiadł w Białej Podlaskiej.

Konflikt z Ukraińcami

W śledztwie sprawdzano różne wątki. – *Na przykład: z czego się utrzymywał? Miał przecież pieniądze na podróże po Europie, podczas których zajmował się performansami* – mówi nasze źródło związane ze służbami. To wyjaśnia się szybko. Ksenia: – *Tata sprzedawał obrazy, miał też kanały w mediach społecznościowych – z tego utrzymywała się rodzina. Niedawno jedna z jego prac osiągnęła 20 tys. euro.*

Uładzisłau Bochan, mieszkający w Polsce białoruski artysta, performer, kolega Skriepieckiego: – *Dla mnie był przede wszystkim portrecistą rosyjskiej prowincji. Prymitywizm w jego sztuce dobrze oddaje atmosferę Rosji dalekiej od dużych miast. Malował Rosję idącą na wojnę, bo przecież na Ukrainę z bronią w ręku ruszyła nie Moskwa czy Petersburg, ale właśnie prowincja. Rozumiał ją dobrze, bo przez większość życia mieszkał na wsi, na Ałtaju. Karykatury polityczne, performanse to raczej owoc ostatnich lat.*

To właśnie one i polityczne zaangażowanie sprawiły, że stał się znany. W 2022 r., po inwazji na Ukrainę, spalił swój rosyjski paszport i pokazał to w internecie. – *Jako artysta był bezkompromisowy. Często balansował na granicy moralności* – mówi Bochan. Przedstawiał Putina, który uprawia seks z Kadyrowem, co miało być odpowiedzią na dyskryminację środowisk LGBT w Rosji i Czeczenii. Lub Putina w objęciach ze Stalinem. Nie odpuszczał Aleksandrowi Łukaszence, Wołodymyrowi Zełenskiemu, cerkiewnym hierarchom.

Dużo uwagi poświęcał Kadyrowowi i jego ulubionemu, szykowanemu na następcę synowi Adamowi. Portretował ich np. ze świńskimi ryjami. Ostatni raz publicznie zakpił z putinowskiej Rosji trzy dni przed śmiercią – samotnie demonstrował w Berlinie z rosyjską flagą wystającą z tylnej części ciała. – *Nigdy się nie powstrzymywał. Zawsze mówił prawdę. Niezależnie od tego, komu mogłoby się to nie spodobać* – wspomina Ksenia.

W listopadzie 2024 r. wziął udział w kilkutysięcznym marszu antywojennym w Berlinie, gdzie zebrali się czołowi działacze antyputinowscy. Paradował z karykaturą Aleksieja Nawalnego trzymającego kanapkę z kiełbasą w ręku. To nawiązanie do słów lidera rosyjskiej opozycji, że „Krym nie jest kanapką z kiełbasą, by go komukolwiek oddawać" (w 2014 r. Nawalny poparł aneksję półwyspu). W wywiadach Skriepiecki mówił, że większość opozycji to imperialiści. A od Putina różnią się tylko tym, że nie mają władzy.

W końcu popadł w konflikt także ze środowiskami ukraińskimi. Krytykował władze, ale i zwykłych Ukraińców. Mówił: „Zrozumiałem, że Ukraińcy i Rosjanie to jeden naród. Jestem głupcem, że wymyśliłem jakichś nieistniejących Ukraińców. W realu rosyjski Wańka i ukraiński Mykoła to ta sama świnia". – *O ile wiem, jego prace plastyczne sprzedawały się bardzo dobrze, z tego żył. Część zarobku przekazywał na wsparcie Ukrainy* – mówi jednak Bochan. – *Był zdecydowanym przeciwnikiem rosyjskiej agresji na ten kraj. W maju tego roku na biennale w Wenecji nosił w ręku ukraińską flagę.*

Skąd więc ten konflikt z Ukraińcami? – *Był przez nich krytykowany na zasadzie „Ruski zawsze jest winny". A Robert nie był nawet etnicznym Rosjaninem, tylko Baszkirem, i takie oskarżenia bardzo go irytowały. W końcu zaczął odpowiadać ostro, w swoim stylu. Nie liczył się z konsekwencjami* – opowiada Bochan. To ściągnęło kłopoty na głowę satyryka. – *Była cała grupa hejterów, która atakowała go w sieci, ale także zbierała i publikowała informacje na jego temat.* Niezależny rosyjski portal SOTA prześledził początki tego konfliktu i przywołał wpis Skriepieckiego z kwietnia 2024 r.: „Jeszcze raz wyjaśnię, co zaszło. Wszyscy wiecie, że zawsze popierałem Ukrainę, ale okazało się, że jestem (tylko) kacapem, który do końca życia będzie winny wobec Ukrainy. Dlatego niech Ukraina i Ukraińcy idą na ch...j".

Część hejterów to jego dawni współpracownicy. SOTA znalazła wśród nich np. byłą moderatorkę czatu Skriepieckiego. Nie skończyło się na słowach. W internecie publikowano szczegóły z jego osobistego życia, zdjęcia z bloku, w którym mieszka, życzono mu śmierci. Jego dane osobowe trafiły na ukraińską platformę internetową Myrotworec, która publikuje własną listę osób zagrażających bezpieczeństwu Ukrainy. Myrotworec zarzucił artyście m.in. rozpowszechnienie „rosyjskiej faszystowskiej propagandy" i „zamach na suwerenność i integralność terytorialną Ukrainy". Zamieścił też numery telefonów i dokładny adres artysty w Białej Podlaskiej. Bochan: – *Nie sądzę jednak, żeby sprawcy mieli działać na zlecenie kogoś z Ukrainy.*

Szlak cyngla: Moskwa–Warszawa–Berlin

Elnurowi A. postawiono zarzut zabójstwa. Sąd Rejonowy w Lublinie zdecydował o zastosowaniu trzymiesięcznego aresztu, a sąd apelacyjny podtrzymał tę decyzję. Podejrzany nie przyznaje się do winy, przed sądem złożył częściowe wyjaśnienia, ale nie są one jawne. Jego obrońcą jest znany adwokat Mirosław Kuchnicki. Mówi POLITYCE, że atmosfera wokół całej sprawy jest podgrzana przez publikacje prasowe i wypowiedzi polityków. Jednak – zdaniem obrońcy – w opisie czynu, jaki zarzuca się jego klientowi, nie ma żadnego elementu, który wskazywałby na inspirację ze Wschodu. Mecenas trochę żartem dodaje, że osobiście również nie czuje na plecach oddechu rosyjskich służb.

Rodzina Skriepieckiego nie ma najmniejszych wątpliwości, dlaczego zginął. Ksenia: – *To było zabójstwo na zlecenie. Zemsta za działalność. Za to, że mówił prawdę. Uważam, że padł ofiarą rosyjskich władz.* Rosja nie waha się zabijać swoich przeciwników za granicą. Przebieg zamachu na Skriepieckiego jest podobny do wcześniejszych mordów organizowanych przez służby Kremla. Regularnie wykorzystują one do tego osoby z kryminalną przeszłością. Czasami są to cyngle do wynajęcia, czasem ludzie kiedyś związani z resortami siłowymi, którzy popadli w konflikt z prawem. Jednym z najbardziej znanych jest „zabójca na rowerze" – wynajęty przez służby morderca Wadim Krasikow, który w 2019 r. w Berlinie zastrzelił gruzińskiego uchodźcę Zelimchana Changoszwilego. Co ciekawe, wykorzystywał Polskę jako bazę operacyjną. Mieszkał w hostelu i wielokrotnie jeździł do Berlina.

Czy Elnur A. działał na zlecenie? Jeśli tak, byłby to precedens, „pierwszy w naszym kraju przypadek zabójstwa na zlecenie polityczne ze strony obcego państwa", jak mówił premier Tusk. Oznaczałoby to, że po cyberatakach, akcjach szpiegowskich, naruszaniu granicy przez drony, próbach sabotażu, podpaleniach Rosja poszła krok dalej. Coraz mniej przypomina to pokój.

TIMUR OLEVSKY, PAWEŁ RESZKA

eprasa.pl 7b9ca5e5e4



Abhijeet Dipke, lider Ludowej Partii Karaluchów, podczas lipcowego protestu w pobliżu Dżantar Mantar

Karaluchy na ulicach

Bunt młodych, wykształconych, bez pracy? Ta fala przetacza się przez całą Azję. Ale w Indiach przybrała oceaniczne rozmiary. Nie tylko z powodu skali, ale też oporu establishmentu, który nie chce młodym ustąpić miejsca.

PAULINA WILK

Przez ponad miesiąc młodzi Indusi prowadzili pokojowy protest w pobliżu Dżantar Mantar. To zabytkowe obserwatorium astronomiczne, 20 minut spacerem od siedziby parlamentu w New Delhi. Gdy 20 lipca parlament miał zacząć letnią sesję, sprawy przybrały gwałtowny obrót. Po brutalnym ataku policji na protestujących, który zmobilizował jeszcze większe rzesze studentów i ich zwolenników, władza ustąpiła. Choć nie od razu i – być może – nie na zawsze.

Premier Indii Narendra Modi najpierw próbował obłaskawić manifestujących specjalnym wystąpieniem online, ale wywołał tylko falę kpin. Wreszcie do dymisji podał się minister edukacji Dharmendra Pradhan, czego domagali się młodzi. To kara za fatalne działanie resortu odpowiedzialnego za egzaminy, od których zależy przyszłość studentów. Odnieśli oni jednak jeszcze większe zwycięstwo. Pierwszy raz rząd Modiego ustąpił pod naporem nastrojów społecznych. Młodzi przełamali atmosferę strachu, która powstrzymuje wiele środowisk przed krytykowaniem rządu.

W okolicy Dżantar Mantar zebrali się zwolennicy młodziutkiej, liczącej zaledwie dwa miesiące organizacji satyrycznej Cockroach Janata Party (Ludowa Partia Karaluchów), która wbrew nazwie nie jest ugrupowaniem politycznym, ale zrzeszeniem młodych. Ci są oburzeni, że indyjski establishment traktuje ich jak szkodniki. „Karaluchami" i „darmozjadami" w połowie maja określił ich Surya Kant, prezes Sądu Najwyższego, mówiąc o młodych bezrobotnych. Nie zdawał sobie sprawy, jakie konsekwencje wywołają jego słowa.

W Indiach mieszka 375 mln osób między 15. i 29. rokiem życia. To największa młoda populacja na świecie. Już dzień po wystąpieniu sędziego w serwisie X, nieznany z wcześniejszej działalności publicznej 30-latek Abhijeet Dipke napisał: „A co, gdyby tak wszystkie karaluchy się połączyły?". Reakcje były błyskawiczne, więc tego samego dnia powstała platforma Ludowej Partii Karaluchów. Dziś jej konto na X obserwuje 23,5 mln osób, w minionym tygodniu przybyło milion obserwujących.

Dipke, choć jest na ostatnim roku studiów public relations w Bostonie, w związku z tempem, w jakim powołany przez niego ruch się rozwija, wrócił do Delhi. Wcześniej przez trzy lata był związany z działem mediów społecznościowych w Aam Aadmi Party (Partii Zwykłego Człowieka), opowiadającej się za reformą edukacji, poprawą opieki zdrowotnej i walką z korupcją.

Do młodych demonstrantów dołączyli liderzy opozycyjnych ugrupowań, m.in. Rahul Gandhi z centrowego Indyjskiego Kongresu Narodowego czy Brinda Karat z Komunistycznej (Marksistowskiej) Partii Indii, była senator i ikona feminizmu na lewicy. Z protestującymi byli też ▶

© RAJ KRAJ/HINDUSTAN TIMES/GETTY IMAGES

eprasa.pl 7b9ca5e5e4

▶ wybitna aktorka Shabana Azmi czy Shashi Tharoor, szanowany parlamentarzysta, pisarz i dyplomata.

W kluczowym dniu protestów wszyscy oni schronili się w jednej ciężarówce, z której policjanci próbowali wypędzić ich bambusowymi pałkami. Funkcjonariusze używali broni wobec pokojowo manifestujących, rozpylili gaz łzawiący, strzelali z broni śrutowej, ustawiali barykady uniemożliwiające marsz na parlament. Wszystkie stacje metra w centrum Delhi zostały zamknięte, a internet odcięty, by powstrzymać napływ protestujących.

Mimo to przy Dżantar Mantar zebrały się tysiące młodych, wielu ucierpiało. Natychmiast rozpowszechniali online nagrania ukazujące bicie, szarpanie, wleczenie i aresztowania. Manifestujący trzymali się ustaleń i nie prowokowali mundurowych. Także w innych miastach, np. w Mumbaju czy Allahabadzie, gdzie policja rozpędzała i aresztowała protestujących solidaryzujących się z rówieśnikami w stolicy.

Operacja policji była zaplanowana. Wcześniej z placu przed Dżantar Mantar funkcjonariusze usunęli najbardziej kłopotliwego uczestnika protestów, Sonama Wangchuka, 59-letniego aktywistę z himalajskiego stanu Ladakh. Od dekad przeciwstawia się tam szkodliwej działalności człowieka wpływającej na zmiany klimatyczne. W pierwszych dniach lipca Wangchuk dołączył do protestujących i podjął głodówkę. Regularnie odwiedzali go lekarze; przyjmował płyny. Mimo to został siłą zabrany do szpitala – tam kontynuował głodówkę aż do zwycięstwa protestujących.

Młodzi żądali dymisji ministra edukacji, obarczając go odpowiedzialnością za majowy wyciek kart egzaminacyjnych dla kandydatów na studia medyczne. Kiedy wyciek ujawniono, a wyniki egzaminów anulowano, tysiące zdających przeżyło dramat – dwanaścioro miało popełnić samobójstwo w związku z unieważnieniem egzaminu. Nie był to ani pierwszy wyciek testów, ani pierwsze samobójstwa. Skandal wokół egzaminów jest osią trwałego konfliktu pokoleniowego, a przeżarta korupcją edukacja – symboliczną przestrzenią, w której ambicje młodych rozbijają się o niereformowaną rzeczywistość.

Jednak zwolennicy Ludowej Partii Karaluchów, posiniaczeni i ciężko doświadczeni w pierwszym starciu z władzą, nie ustąpili. Odbudowali rozmontowaną przez policję scenę przy Dżantar Mantar, znów usiedli i powtórzyli żądania: dymisja ministra, odszkodowania dla osób pokrzywdzonych wyciekiem kart, kary finansowe dla urzędników odpowiedzialnych za skandal.

W toku protestów pojawiły się także inne postulaty, mówiące m.in. o niezależnych audytorach egzaminów, gwarancjach zatrudnienia, systemie wsparcia młodych bezrobotnych, obowiązkowych konferencjach prasowych premiera i ministrów (Modi nie spotyka się z prasą; komunikuje się przez portal X, własną aplikację i stronę internetową). Tak, aby politycy wreszcie ponosili odpowiedzialność za swoje decyzje i działania. To ostatnie żądanie, trudne do skonkretyzowania, najlepiej wyraża ducha protestów – frustrację z powodu rzeczywistości, w której z jednej strony są młodzi, wykształceni, ale bez pracy, z drugiej zaś za murem siedzą syte i nietykalne elity.

Pokolenie Z jest głęboko rozczarowane także opozycją, w tym Indyjskim Kongresem Narodowym, który na listach i w strukturach ma garstkę młodych, więc pozostaje w ich oczach partią elitarystyczną i dynastyczną. W niższej izbie parlamentu tylko 5 proc. osób ma mniej niż 35 lat. Tymczasem w Indiach to aż 65 proc. Protestujący wiedzą, że nie mają reprezentantów. A ponieważ odnieśli pierwszy polityczny sukces, powstało naturalne pytanie: czy Karaluchy stworzą teraz partię nie tylko z nazwy?

Na razie Dipke nie zapowiada rejestracji nowego ugrupowania. Ponieważ rząd przyjął ich postulaty, a sam Modi publicznie obiecał szybkie i surowe kary za egzaminacyjne wycieki, protest został rozwiązany. I rozszedł się w atmosferze solidarności i porządku, łącznie ze wspólnym sprzątaniem okolicy.

Na protesty Karaluchów władza zareagowała jak zawsze – czyli najpierw siłowo. Od 2014 r. Modi i jego najbliższy współpracownik, czyli minister spraw wewnętrznych Amit Shah, radzili sobie z przeciwnikami twardą ręką. Tak było podczas wielomiesięcznych manifestacji rolników w 2020 i 2021 r. – ich szturm na Delhi zablokowano na obrzeżach miasta. Po wielu miesiącach protestujący niby wywalczyli to, co chcieli, ale padły ofiary śmiertelne, a niekorzystne dla rolników przepisy i tak potem wprowadzono.

Demonstrującym studentom poszło lepiej (przynajmniej na razie). Ich protest zyskał symbolikę walki Dawida z Goliatem, a stawką było nie tyle samo szkolnictwo, dające milionom fałszywą obietnicę awansu, ile polityka gospodarcza jako taka, która marnuje potencjał demograficzny olbrzymiej i kształconej w języku angielskim – a więc konkurencyjnej globalnie – populacji.

Idzie też o demokrację, od której (brutalność policji tylko to potwierdziła) obecny rząd Indii odchodzi, tłamsząc niezawisłość sędziów, niezależność mediów, opozycję – nie tylko polityczną, ale także intelektualistów, artystów, muzułmanów. No i – o korupcję, przeciw której skandowała część protestujących. Gniew wylewał się z każdym dniem wyraźniej; puchły demonstracje w innych miastach i przybywało żądań, by zrezygnował sam premier.

Modi ma się czego bać. W Bangladeszu i Nepalu w ciągu ostatnich dwóch lat protesty pokolenia Z doprowadziły do zmiany rządów. W Nepalu po manifestacjach, które gwałtownie przekształciły się w ataki na budynki rządowe, wybrano nowego premiera. Został nim, świeży w polityce, 35-latek i były raper Balendra Shah. A w Bangladeszu, gdzie Sheikh Hassina nakazała armii brutalne stłumienie protestów studenckich, jej reżim wkrótce upadł.

W Indiach młodzi zelektryzowali polityczną opozycję i zjednoczyli ją przeciw Modiemu. Jej liderzy krytykowali władzę za siłowe ataki na studentów. Rahul Gandhi dał się nawet aresztować za wzywanie premiera do dymisji. Wytrwałość i rosnąca mobilizacja protestujących, wzmocniona politycznym szturmem innych partii, sprawiły, że rząd cofnął się, zyskując najważniejsze – uspokojenie buzujących nastrojów. Przynajmniej na razie.

Ważne będą dalsze kroki: konsekwencje wyciągnięte wobec stosujących nadmierną siłę policjantów i kary dla winnych skandali egzaminacyjnych. Jak na razie Karaluchy trzymają się bogatej indyjskiej tradycji protestów i marszów pokojowych spod znaku Mahatmy Gandhiego.

Wśród internetowych influencerów kojarzonych z Karaluchami także dominują wysoka kultura języka i łagodność przekazu. Jednak w stanach Bihar i Uttar Pradesz, mateczniku rządzącej partii BJP, protesty i starcia z policją były ostrzejsze. A właśnie tam żyje wielka populacja młodych bezrobotnych mężczyzn, wśród których Modi miał dotąd wiernych wyborców.

eprasa.pl 7b9ca5e5e4



Co roku ok. 5 mln absolwentów chce wejść na rynek pracy, udaje się ledwie połowie.
Na fot. **protest w stolicy.**

W najnowszej historii Indii to prawica i jej zwolennicy monopolizowali przemoc. Brutalne bywały protesty prowokowane nienawiścią wobec muzułmanów (dochodziło do linczów i samosądów) czy najsłynniejsze zamieszki w Ajodhii, gdy w 1992 r. tłum niemal gołymi rękami rozebrał średniowieczny meczet i gdzie w 2002 r. doszło do etnicznych zamieszek – zginąć miało w nich nawet 2 tys. osób, głównie muzułmanów. Wtedy policja i wojsko długo pozostawały bierne, zgodnie z decyzją ówczesnego premiera stanu Gudżarat, Narendry Modiego.

Świat już zapomniał, że z tego właśnie powodu dzisiejszy premier Indii długo pozostawał *persona non grata* w Europie i USA. W tym kontekście brutalność policji podczas protestu przy Dżantar Mantar nie dziwiła. Szczególnie wobec młodych, z którymi ta władza będzie miała coraz więcej problemów.

W Indiach od końca XX w. trwa edukacyjny boom. Jest on wyrazem wiary w kapitalistyczną obietnicę: kształć się, a zdobędziesz dobrą pracę, zyskasz wyższy status dla siebie i rodziny. Ideał awansu przez wykształcenie ma tu dodatkowy walor: częściowo uwalnia od ograniczeń narzucanych przez kastowość, pozwala na transfer do innych społeczności, większych miast, firm, w których kasta nie determinuje relacji.

W 1991 r. w Indiach działało 1,6 tys. uczelni wyższych, dziś jest ich 70 tys. Jednak w większości (80 proc.) są to instytucje prywatne i płatne. Dostęp do nich nie jest równy, a jakość oferowanej edukacji – wątpliwa i nieustandaryzowana. Na części uczelni brakuje wydziałów sprzężonych z potrzebami rynku, a najbardziej pożądane – inżynieryjne czy medyczne – są też najdroższe. O ile więc przybywa studentów także z ubogich rodzin, to nie są oni adeptami ani najlepszych uczelni, ani najbardziej perspektywicznych kierunków.

W efekcie prawie 40 proc. 25-latków z wyższym wykształceniem i 20 proc. 29-latków z dyplomami uczelni nie ma pracy. Po latach wyrzeczeń, edukacji przypominającej tresurę pod dyktando kolejnych egzaminów – podczas której wciąż więcej jest zapamiętywania niż rozwiązywania problemów – po szkołach źle uczących czytania, pisania i liczenia, armia młodych z tytułami i ambicjami staje przed murem rynku pracy. A to ściana bez drzwi.

Do legend przechodzą opowieści o tysiącach aplikacji składanych przez magistrów na stanowiska sprzątaczy czy dozorców w instytucjach, którymi mogliby zarządzać. Realia są takie, że ogromna część absolwentów kilka lat po dyplomie pauzuje, próbując szukać różnych szczelin (w tym koneksji i łapówek), przez które można wcisnąć się do kręgu zatrudnionych – zwykle przyjmując byle ofertę. Podejmują prace tymczasowe, małe zlecenia płatne do ręki. Wielu już zawsze będzie wykonywać prace poniżej swoich kwalifikacji. Część zostanie na powrót wessana przez własną społeczność i rodzinę, wezwana do pracy na roli. Tylko garstka absolwentów rok po dyplomie może liczyć na stałe zatrudnienie.

Od 1969 r., gdy obliczono stopę bezrobocia absolwentów w Indiach na ok. 35–40 proc., nic nie drgnęło. Zmieniło się jedno: wielkość populacji. Co roku ok. 5 mln absolwentów chce wejść na rynek pracy, udaje się to ok. 2,8 mln. I choć indyjska gospodarka po pandemii zwiększyła zatrudnienie, to głównie chodzi tu o zajęcia rolnicze. Wiele kobiet z tytułami magistrów wraca do prac domowych i gospodarczych, najczęściej niepłatnych. Pogarsza się sytuacja części mężczyzn – pozbawieni perspektyw szybciej odpadają z systemu edukacji, ubywa ich na wyższych uczelniach.

Wszystko to wymusza wewnętrzne migracje. Młodzi uciekają z Biharu czy Uttar Pradeszu, stanów najludniejszych, ubogich i z zatłoczonymi szkołami. Jadą tam, gdzie pracy jest więcej: do Tamil Nadu czy Karnataki. Migracja to też bolączka stanów, którym się udało. Kerala ma niski przyrost naturalny, z kolei przoduje we wskaźnikach wykształcenia i zarobków *per capita*. I gdzie są tamtejsi młodzi? W krajach Zatoki Arabskiej albo na Zachodzie.

Indyjska edukacja jest oderwana od realiów. W sektorach takich jak IT kształci nadmierną liczbę osób z niepotrzebnymi nikomu tytułami. Nie ma programów wiążących absolwentów z zatrudniającymi. Rośnie rozczarowanie, ale i to, co pracodawcy odczytują jako roszczeniowość: po latach stresu i wyrzeczeń młodzi oczekują dobrych wynagrodzeń, nawet jeśli nie posiadają jeszcze doświadczenia.

A właśnie teraz Indie mają swoje demograficzne pięć minut: 70 proc. populacji jest w wieku produkcyjnym; średnia wieku to 28 lat. Ale już w 2030 r. populacja zacznie się starzeć. Pierwsze stany odnotowują rozrodczość poniżej wskaźnika 2,1, zapewniającego odtwarzanie pokoleń.

Młodzi wiedzą, że szansa właśnie odjeżdża im sprzed nosa. Nie mają czasu. Ani wiele do stracenia – tylko nadzieje, które zaczynają przypominać wielkie złudzenia. Tymczasem stara z punktu widzenia protestujących władza (bo już 12-letnia) ma do stracenia wszystko. Ma też aparat przymusu, który dotąd tłumił przejawy frustracji (Karaluchy zrobiły pierwszy znaczący wyłom), i rozbitą opozycję polityczną.

Modi doprowadził do faktycznej monopartyjności. Jego partia ma pozycję tak dominującą, jak niegdyś Indyjski Kongres Narodowy. A za sobą świeże zwycięstwo w liczącym 100 mln ludzi Bengalu Zachodnim. Z perspektywy molocha, jakim jest dziś indyjska prawica, manifestacje pokolenia Z to irytujące zakłócenie melodii o całkowitym triumfie. Ten kolos ma silne nogi i będzie się bronił. Na razie przyjął cios, którego się nie spodziewał.

PAULINA WILK

© ELKE SCHOLIERS/GETTY IMAGES

eprasa.pl 7b9ca5e5e4



Europa w ogniu

MARCIN ŻYŁA

Megapożar tworzący burzę wzniecającą kolejne megapożary. Setki tysięcy ewakuowanych. I pytania o odpowiedzialność polityków. Ogień trawiący dziś południe Europy jest tylko zapowiedzią groźniejszych czasów.

Liczba pożarów lasów w Europie – 1407. To stan na koniec ubiegłego tygodnia i – biorąc pod uwagę prognozy – może być już dużo wyższy. Tak jak kolejne dane: niemal pół miliona hektarów spalonej ziemi i 18 mln ton wyemitowanego do atmosfery z dymem dwutlenku węgla. Bilans pożarów, które od początku wyjątkowo suchej wiosny nękają południowe kraje Unii Europejskiej, zmierza w kierunku kolejnego rocznego rekordu. Za ponad połowę tych statystyk odpowiada żywioł w dwóch państwach – Francji i Hiszpanii. To tu, od przedgórza Alp po baskijskie wybrzeże Atlantyku, strażacy codziennie odbierają nowe zgłoszenia.

eprasa.pl 7b9ca5e5e4



Strażacy walczą z pożarem lasu w pobliżu francuskiej miejscowości Mirabel-et-Blacons

© MOHAMAD SALAHELDIN ABDELGHANI ALSAYED/ANADOLU/GETTY IMAGES

Ucierpiały bądź zostały ewakuowane miejsca symboliczne: uprawy winorośli pod Bordeaux, hotele i pensjonaty w okolicy Walencji, a nawet podmadrycki ośrodek NASA monitorujący sondy kosmiczne. Jednak tegoroczny żywioł po raz pierwszy nie jest już doświadczeniem wyłącznie lokalnym – jego skala (ponad 330 tys. ewakuowanych osób) może się przełożyć na wyniki wyborów. W ostatnich dniach lipca tylko Skandynawia i część wschodniej Europy były wolne od bezpośredniego zagrożenia pożarami lasów.

Pożar nad pożarem

Najgroźniej żywioł rozwijał się na zachód od Bordeaux. Tysiące ludzi ewakuowano z dalekich przedmieść oraz z przylądka Ferret nad Atlantykiem. Pożar objął lasy sosnowe porastające trudno dostępny dla strażaków poligon, zagroził też zakładom lotniczym Dassault Aviation i grupy Ariane z branży kosmicznej.

Nad ogniem wytworzyła się masywna gorąca chmura: pirocumulus. – *To sygnał, że pożar wchodzi w ostateczną fazę* – wyjaśnia Jan Kaczmarowski, pożarnik, starszy specjalista w Wydziale Ochrony Lasu Dyrekcji Generalnej Lasów Państwowych. – *Olbrzymia energia ze spalania tworzy prąd konwekcyjny, który unosi gorące powietrze nawet do górnej granicy troposfery. Tam łapie ono wilgoć i przekształca się w chmurę, która zaczyna żyć własnym życiem – zbiera pył i popiół. Zdarza się, że taka kolumna dymu nad pożarem cała błyszczy od piorunów.*

Pirocumulusy w niektórych miejscach mogą sprowadzić deszcz i zagasić ogień, w innych – wzniecić nowy pożar. – *Konwekcja jest tak silna, że zasysa płonące powierzchnie i elementy, po czym przerzuca je na wiele kilometrów. Pożar o tej skali jak pod Bordeaux tworzy własny, gorący wiatr* – mówi Kaczmarowski. A to nie koniec. Dym ma określoną masę i przy niesprzyjających warunkach może dojść do załamania się kolumny, która tworzy podstawę pirocumulusa. – *Jest to słabo poznane zjawisko, którego nie potrafimy jeszcze przewidywać. Wystąpiło w Portugalii w 2017 r. Gdy pirocumulus spada na ziemię, pożar rozprzestrzenia się na wszystkie strony.*

Według władz przyczyną pożaru mogły być rutynowe prace przy wycince krzewów w pobliżu linii wysokiego napięcia. Po tygodniu akcji gaśniczej prowadzonej przez 2 tys. strażaków, wspieranych przez 20 samolotów gaśniczych, walkę z żywiołem wciąż utrudniał zachodni, niekorzystny wiatr oraz 40-stopniowy upał. Płonął obszar czterokrotnie większy od aglomeracji Paryża.

Kto za to zapłaci

Straty materialne są na razie niemożliwe do oszacowania, ale cytowana przez portal Politico wiceprezeska Banku Francji Agnès Bénassy-Quéré zwraca uwagę, że ekstremalne zjawiska pogodowe powodują koszty na każdym poziomie: rodzin, przedsiębiorstw i rządów. Ponad 200 tys. ludzi, których ewakuowano we Francji, rząd zagwarantował pokrycie doraźnych kosztów – to jednak mało. Europejski Bank Centralny wezwał już Brukselę do stworzenia ogólnoeuropejskiego systemu reasekuracji – czyli możliwości przejmowania przez rządy zobowiązań od przeciążonych zakładów ubezpieczeniowych – oraz specjalnego funduszu odszkodowawczego.

Problem rośnie z roku na rok. Według Europejskiej Agencji Środowiska w latach 2021–24 straty wywołane zjawiskami pogodowymi wyniosły w Unii ponad 200 mld euro. Aż trzy czwarte szkód tego typu nie podlegało w Europie wypłacie ubezpieczeń. Eksperci alarmują, że po tegorocznych pożarach na kontynencie mogą się pojawić rejony „nieubezpieczalne", w których jedyną możliwością ochrony mienia będą dla obywateli gwarancje władz centralnych. Gwarancje, które rzecz jasna obciążą budżety i zwiększą publiczne zadłużenie.

A to może się przełożyć na decyzje polityczne. W kwietniu 2027 r. odbędą się we Francji prezełomowe wybory prezydenckie. W ostatnich dniach politycy nacjonalistycznego Zjednoczenia Narodowego (ale także lewicowy kandydat Jean-Luc Mélenchon) krytykowali rząd za niedostateczne zabezpieczenie mieszkańców.

Tymczasem zbliżający się do końca kadencji prezydent Emmanuel Macron uznał, że tegoroczne pożary to największy ▶

eprasa.pl 7b9ca5e5e4

▶ sprawdzian dla Francji od drugiej wojny światowej. W ramach unijnego mechanizmu ochrony ludności pod Bordeaux skierowano też strażaków z innych państw. Taki ogień to sprawdzian dla służb, dla władz i mieszkańców. Także jeśli chodzi o sprawne zorganizowanie ewakuacji.

– *Ewakuacja jest opisaną procedurą* – wyjaśnia Jacek Szczypiorski, były strażak, uczestnik akcji gaśniczych za granicą, obecnie ekspert w zakresie ochrony ludności. – *Służby mają za zadanie wdrożyć gotowy plan: powiadomić ludność, zorganizować punkty załadunkowe, ewidencyjne i przyjęcia, a także transport.*

Służby coraz lepiej wspiera technologia. Podczas ubiegłorocznych ćwiczeń strażackich w Irlandii zaprezentowano system oparty na sztucznej inteligencji, który prognozuje, jak rozwinie się pożar lasu w ciągu kolejnych trzech, sześciu i dziewięciu godzin i jaki wpływ będą mieć na niego określone działania strażaków czy pogoda.

Jednak nawet najlepsze systemy zawodzą, gdy błędy popełniają ludzie. Jeden z najczęstszych to zwlekanie z ewakuacją do ostatniej chwili. Jacek Szczypiorski przypomina, że obowiązująca w Polsce od półtora roku ustawa o ochronie ludności i obronie cywilnej zakłada edukowanie obywateli. – *Niestety w tej dziedzinie wciąż jest wiele do zrobienia. Kupujemy nowy sprzęt, ale on sam nie zwiększy odporności społecznej.*

Wyzwań jest więcej, ponieważ uratowanie ludzi przed ogniem nie oznacza, że są chronieni przed długofalowymi skutkami wielkich pożarów. Na przykład przenoszonymi przez dym i powietrze cząstkami aerozolu i pyłu zawieszonego, który z Francji dotarł nawet nad zachodnią Polskę. „Pożary sprowadziły zagrożenie dla zdrowia nad zaludnione obszary w całej Europie. We Francji i innych częściach kontynentu stacje monitoringu odnotowały »bardzo złą« i »ekstremalnie złą« jakość powietrza" – ostrzega w rozmowie z portalem Science Media Centre dr Richard Pope, badacz atmosfery z Uniwersytetu w Leeds. Dane z unijnego systemu obserwacji satelitarnej Copernicus potwierdzają, że pożary naraziły miliony Europejczyków na podwyższony poziom zanieczyszczeń.

Alarmująca dynamika

W Hiszpanii pierwsze pożary wybuchły w regionach Castellón, Guadalajara i Ávila. Największy objął zachodnią część regionu Wspólnota Madrytu. W niektórych miejscach ściana ognia poruszała się tak szybko, że nie było czasu na tworzenie kolejnych linii obrony, wytyczanych wzdłuż dróg lub pasów przeciwpożarowych. Strażak Javier García powiedział agencji AP, że nie spotkał się z podobnymi warunkami w ciągu 20 lat swojej pracy. „Dynamika tych zmian jest alarmująca" – mówił. I choć 30 lipca premier Pedro Sánchez odwołał stan wyjątkowy, a pożar wydawał się opanowany, żywioł wywołał ogólnonarodową dyskusję – nie tylko o klimacie.

„Hiszpania wkroczyła w nową erę megapożarów – pisze w niedawnym raporcie Królewska Akademia Inżynierii w Madrycie. – Musimy nauczyć się z nimi żyć". To druga w ostatnim czasie tak ponura analiza: w czerwcu urząd statystyczny ogłosił, że infrastruktura kraju, który w najbliższych miesiącach osiągnie 50 mln mieszkańców, jest przestarzała i może skutecznie obsłużyć tylko 40 mln.

Intensywności pożarów sprzyjają coraz częstsze na Półwyspie Iberyjskim okresy na przemian silnych opadów i wysokich temperatur. Ostatnia zima była w Hiszpanii wyjątkowo deszczowa, ale już w kwietniu suma opadów okazała się o połowę niższa od średniej z ostatnich dekad. A w czerwcu fala upałów sprawiła, że wyparowała woda z rzek, wyschły też rośliny i ziemia.



Walka z ogniem w Villa del Prado w regionie Wspólnoty Madrytu

Problemem jest też wyludniająca się hiszpańska wieś. Uprawiane wcześniej pola rozdzielały krzewy, wysokie trawy oraz drzewa – teraz łączą się w ciągi niczym autostrady dla ognia. Skuteczną i prostą metodą zapobiegania zarastaniu jest m.in. wypas owiec czy kóz. Kłopot w tym, że w Hiszpanii także ta branża stopniowo zanika. W niektórych regionach zwierzętami nie ma kto się opiekować.

W przyszłym roku Hiszpanię też czekają wybory, być może nawet w środku kolejnego sezonu pożarowego. Koszty akcji ratowniczych oraz rekonstrukcji terenu, za które w tym silnie zdecentralizowanym państwie w dużym stopniu odpowiadają regiony, już teraz obciążają regionalne budżety. Socjalistyczny rząd Pedro Sáncheza może się spodziewać krytyki za niewystarczającą koordynację działań służb i ich niedofinansowanie. Z kolei prawicowo-konserwatywna Partia Ludowa, główna siła opozycyjna, rządząca m.in. we Wspólnocie Madrytu, będzie rozliczana z prewencji czy sposobów zarządzania ziemią – to władze lokalne odpowiadają tu za gospodarkę leśną.

Hiszpańscy politycy już zaczęli się przerzucać winą: minister transportu wypomniał prawicy denializm klimatyczny i cięcia w straży pożarnej, za co prezydentka Wspólnoty Madrytu Isabel Díaz Ayuso z Partii Ludowej nazwała go klaunem.

© TAMARA ROZAS/ANADOLU/GETTY IMAGES

eprasa.pl 7b9ca5e5e4

Fala ognia

Wracając jednak do okresów dłuższych niż kadencje polityków: średnia temperatura w Europie rośnie najszybciej ze wszystkich kontynentów. A sposoby ochrony przed ogniem, wprowadzone we Francji i Hiszpanii po katastrofalnych pożarach z przełomu lat 80. i 90. XX w., już nie wystarczają. Tym bardziej że w ślad za zmianami klimatu idzie zmiana w charakterze pożarów. To nie ich liczba, lecz intensywność najbardziej martwią specjalistów. Już czwarty tego lata okres ekstremalnie wysokich temperatur robi z europejskimi lasami to, co skrapianie benzyną: ogień, gdy się już pojawi, roznosi się natychmiast. A to uniemożliwia reakcję wtedy, kiedy dotąd najłatwiej było go ugasić: na samym początku.

Między innymi dlatego w niekojarzącej się dotychczas z piekielnymi temperaturami Wielkiej Brytanii utworzono już nową kategorię pogodową – pożarowy odpowiednik fali upału, czyli falę ognia (*firewave*). Oznacza ona okres „wyjątkowo wzmożonej aktywności pożarów lasów, który w danym mieście, regionie lub kraju uniemożliwia skuteczne reagowanie na sytuacje kryzysowe". Pojawieniu się fali ognia sprzyja utrzymująca się długo wysoka temperatura, która wysusza duże obszary lasów, powoduje zapłon, a dynamika pożaru przekracza zdolności operacyjne służb.

Według zajmującego się analizą pożarów lasów prof. Guillerma Reiny z londyńskiego Imperial College są tylko dwa sposoby na zmniejszenie zagrożenia ze strony fali ognia. Długofalowy to drastyczne ograniczenie emisji dwutlenku węgla do atmosfery, co wpłynie na mniej ekstremalne zmiany temperatury oraz okresów suszy i deszczu. Ale na to na razie się nie zanosi. Pozostaje więc działanie prewencyjne tu i teraz. Chodzi nawet o takie szczegóły, jak rozmieszczenie bezpiecznych baz z paliwem dla wozów strażackich w strategicznych miejscach. „Jest to szczególnie ważne na obrzeżach miast i osiedli oraz w miejscach, które mogłyby stanowić obronne bastiony dla strażaków, gdyby front pożaru zbliżał się do miejsc zamieszkałych" – twierdzi Reina, który jest współautorem nowej brytyjskiej strategii walki z pożarami.

Feniks z popiołów

Na pytanie, co będzie dalej, inaczej odpowiadają politycy, inaczej pożarnicy. Jan Kaczmarowski z Lasów Państwowych zwraca uwagę na rzadko podnoszony w mediach problem: ugaszenie pożaru nie musi oznaczać jego końca. – *Załóżmy, że pożar pod Bordeaux zostaje ugaszony dzisiaj* – mówi pożarnik. – *Zostajemy z 40 tys. hektarów spalonego lasu. Gdy dmuchamy na grill, płomienie wracają. A gdy nad pogorzelisko wraca wiatr, odrodzić może się pożar. W ubiegłym roku po ugaszeniu ognia w Portugalii wiatr ponownie wywołał płomienie, w drugiej fazie pożaru spłonął jeszcze większy obszar. „Jak Feniks z popiołów" – to powiedzenie jest całkiem dosłowne.*

Kaczmarowski wymienia sposoby zabezpieczenia pogorzeliska i jego okolic: poszerzanie wolnych od roślinności stref wzdłuż dróg, wycinanie drzew i krzewów, zalewanie ziemi wodą. Ale wobec skali ostatnich pożarów takie działania są coraz trudniejsze. W przypadku pożarów tak dużych jak ten we Francji strażacy nie mają wielkiego pola manewru. Celem jest wyłącznie zminimalizowanie strat.

MARCIN ŻYŁA

REKLAMA

Oferta powitalna

POLITYKA

5 zł | za tydzień przez cały rok



Oferta dla nowych subskrybentów

Teksty tygodnika, rzetelne analizy

Podkasty i artykuły

Codziennie nowe treści

KUP DOSTĘP

polityka.pl/powitalna

eprasa.pl 7b9ca5e5e4



Wszystko już wiadomo – co do godziny, minuty i sekundy. 12 sierpnia dojdzie do pierwszego od ponad ćwierć wieku widocznego z Europy całkowitego zaćmienia Słońca.

Cień nie

ANDRZEJ HOŁDYS

Tego dnia wystarczy zająć właściwe miejsce i mieć nadzieję, że jedynego w swoim rodzaju spektaklu nie zepsują chmury. W Europie zacznie się on dokładnie 43 minuty i 28 sekund po godzinie 17 czasu uniwersalnego, do którego w przypadku Polski trzeba dodać dwie godziny. W tym właśnie momencie na północnym krańcu islandzkiego półwyspu Westfjords (Fiordy Zachodnie) będzie można obserwować, jak tarcza Księżyca całkowicie zasłania tarczę Słońca.

Minuty w cieniu

Górzysty i rozcięty licznymi wąskimi zatokami Westfjords ma rozmiary województwa opolskiego i kilka tysięcy stałych mieszkańców, ale 12 sierpnia zjadą się tu tłumy Większość skieruje się w stronę 14-kilometrowego klifu Látrabjarg, który kilkusetmetrowymi przepaściami opada do Cieśniny Duńskiej, oddzielającej Islandię od odległej o prawie 300 km Grenlandii. To największa na północnym Atlantyku kolonia ptaków morskich, jednak tym razem to nie one przyciągną rzesze gapiów. Wyliczenia astronomów wskazują, że całkowite zaćmienie Słońca potrwa tu 2 minuty i 13 sekund. Rekord padnie zaś na wodach Cieśniny Duńskiej 45 km na zachód od klifów – tam spektakl będzie trwać pięć sekund dłużej.

Do Islandii zaćmienie przybędzie od strony Grenlandii, do której z kolei wkroczy od północy. Jeszcze wcześniej przetnie cały Ocean Arktyczny w pobliżu bieguna północnego, a wyruszy z syberyjskiego półwyspu Tajmyr. Mknący z prędkością ok. 3,4 tys. km na godzinę cień Księżyca będzie się przemieszczać nad Islandią przez dokładnie 6 minut i 48 sekund. Przez mniej więcej minutę będą go mogli obserwować również mieszkańcy Rejkiawiku oraz turyści.

Islandczycy już przygotowują się na ich szturm. Ostrzegają, że klify Látrabjarg są strome, pozbawione wszelkiej infrastruktury i niebezpieczne, więc można tam liczyć wyłącznie na siebie. Ponieważ ruch po wąskich żwirowych drogach będzie limitowany, a parkowanie zabronione, dotarcie do celu będzie oznaczało wielokilometrową wędrówkę. Do tego dochodzi zmienna, wietrzna i często mglista pogoda. Proponują wiele innych, bezpieczniejszych lokalizacji, a także mnóstwo innych atrakcji towarzyszących zaćmieniu, jak rejsy wycieczkowe po Cieśninie Duńskiej, kąpiele w basenach hydrotermalnych, wspinaczki na stożki wulkaniczne, a nawet lot samolotem.

O godzinie 17:50:07 czasu uniwersalnego całkowite zaćmienie pożegna się z Islandią, aby po ok. 35 minutach zameldować się w prowincji A Coruña na północno-zachodnim skraju Hiszpanii. Zjawi się tam mniej więcej godzinę przed zachodem Słońca. Później cień Księżyca wyruszy w drogę przez północną część Półwyspu Iberyjskiego. Przesunie się szybko m.in. nad miastami León, Valladolid, Saragossą i Walencją. W żadnym z tych miejsc długość spektaklu nie przekroczy dwóch minut. Finał nastąpi na Majorce i innych wyspach archipelagu Balearów. Tam, jeśli chmury pozwolą, można będzie obserwować rzadkie zjawisko polegające na przysłonięciu przez Księżyc zachodzącej tarczy słonecznej – najpierw częściowym, potem całkowitym, a na koniec znów częściowym.

W rzeczywistości w każdym z miejsc widowisko potrwa o wiele dłużej. Do pierwszego – pozornego oczywiście – zetknięcia obu globów dojdzie około godziny przed całkowitym zaćmieniem. Mniej więcej po trzech kwadransach Słońce zostanie zasłonięte w ok. 80 proc., zmieniając się w łuk, który z każdą minutą będzie stawał się coraz cieńszy (ale wciąż emitujący wystarczająco dużo światła, by zaszkodzić naszym oczom). Wtedy zaczynają się dziać najciekawsze rzeczy. Barwy przedmiotów i obiektów zaczną tracić intensywność, a rzucane przez nie cienie najpierw rozmyją się, a potem wyostrzą, zmieni się kolor nieba, temperatura powietrza zacznie spadać, a ptaki ucichną.

W końcu gdzieś na horyzoncie pojawi się cień zmierzający szybko w stronę obserwatora. Chwilę później tarcza słoneczna zniknie, a na przyciemnionym niebie zaświecą najjaśniejsze gwiazdy i planety. Przedtem jednak światło błyśnie na pożegnanie z lewej strony Księżyca, przenikając przez obniżenia terenu na jego powierzchni (te lśnienia zwane są perłami Baily'ego od nazwiska astronoma, który jako pierwszy je opisał). A gdy

eprasa.pl 7b9ca5e5e4



Fazy całkowitego zaćmienia Słońca

jak co dzień

i one zgasną, można będzie odłożyć na bok szkła ochronne i spojrzeć śmiało w stronę zasłoniętego Słońca. To bowiem jedyny moment, gdy gołym okiem można zobaczyć jego koronę – tajemniczą, delikatną woalkę sięgającą daleko w przestrzeń kosmiczną.

Koniec całkowitego zaćmienia Słońca będzie równie nagły jak początek. Najpierw z prawej strony księżycowej tarczy pojawią się pierwsze błyski pereł Baily'ego. Wtedy trzeba znów osłonić oczy, bo w ciągu paru sekund światło emitowane przez słoneczną fotosferę powróci. Z każdą minutą będzie go coraz więcej. Wraz z nim powrócą kolory, a ptaki odzyskają głos. Świat stanie się znów normalny.

Zbiegi w kosmosie

To wszystko wygląda tak, jakby natura zaplanowała ten spektakl z niezwykłą precyzją. W rzeczywistości jest wynikiem kilku szczęśliwych zbiegów okoliczności. Słońce ma średnicę prawie 1,4 mln km i jest ok. 400 razy większe od Księżyca. Zarazem znajduje się niemal 400 razy dalej od Ziemi. Dzięki temu oba ciała niebieskie wydają się na naszym niebie niemal identycznej wielkości. Gdyby Księżyc był choć trochę mniejszy albo krążył nieco dalej od Ziemi, nigdy nie zasłoniłby całkowicie słonecznej tarczy. Gdyby natomiast znajdował się bliżej, podczas każdego zaćmienia przykrywałby ją z dużym zapasem.

Sama zgodność pozornych rozmiarów jednak nie wystarcza. Orbita Księżyca jest nachylona do płaszczyzny ziemskiej orbity o mniej więcej pięć stopni. Zwykle więc podczas nowiu nasz naturalny satelita przechodzi odrobinę nad tarczą Słońca albo pod nią i żadne zaćmienie nie następuje. Dwa razy w roku jednak, kiedy linia przecięcia obu orbit ustawi się odpowiednio względem Słońca, rozpoczyna się tzw. sezon zaćmień, trwający około miesiąca. W tym czasie dochodzi do dwóch, a czasem trzech takich zjawisk – słonecznych lub księżycowych. Nie każde jest jednak całkowite. Aby do takiego doszło, wszystkie trzy obiekty muszą ustawić się niemal idealnie w jednej linii.

Na tym lista kosmicznych koincydencji się nie kończy. Zarówno Ziemia, jak i Księżyc poruszają się po orbitach eliptycznych, a więc ich odległości od siebie i od Słońca nieustannie się zmieniają. Kiedy Srebrny Glob znajduje się bliżej Ziemi, wydaje się większy i łatwiej przykrywa słoneczną tarczę. Na początku lipca Ziemia znajduje się najdalej od Słońca, które wygląda wtedy na odrobinę mniejsze niż zwykle. Jeśli oba zjawiska wystąpią jednocześnie, całkowite zaćmienie może trwać wyjątkowo długo. Najdłuższe miało ponad siedem minut, a absolutny rekord padnie 16 lipca 2186 r. nad północną częścią Ameryki Południowej i Atlantykiem: w najkorzystniejszym miejscu cień Księżyca będzie spowijał Ziemię przez 7 minut i 29 sekund. Teoretyczna granica wynosi zaledwie kilka sekund więcej, więc natura wykorzysta wtedy niemal wszystkie sprzyjające okoliczności jednocześnie.

Ten kosmiczny spektakl nie będzie wystawiany wiecznie. Księżyc oddala się bowiem od Ziemi. Co prawda niecałe 4 cm na rok to niewiele, ale przez setki milionów lat uzbiera się z tego ogromna odległość. Astronomowie szacują, że za ok. 600 mln lat jego tarcza będzie już zbyt mała, by zasłonić Słońce całkowicie. Pozostaną jedynie zaćmienia obrączkowe, podczas których wokół Księżyca świeci wąski pierścień słonecznego światła. Można więc powiedzieć, że żyjemy w wyjątkowym momencie historii Układu Słonecznego.

Jesteśmy szczęściarzami także dlatego, że najbliższe nam planety nie doświadczają całkowitych zaćmień. Merkury i Wenus nie mają księżyców, a na Marsie jego dwa maleńkie satelity potrafią wywołać jedynie zaćmienia częściowe. Być może podobne spektakle odbywają się na odległych egzoplanetach, ale na razie pozostaje to w sferze domysłów. Choć bowiem znamy już tysiące planet krążących wokół innych gwiazd, nie potwierdzono jeszcze istnienia ani jednego egzoksiężyca, który pozwoliłby to sprawdzić (są kandydaci czekający na zweryfikowanie).

Ludzie w pogoni

Nie tylko zwykli obserwatorzy uganiają się za całkowitymi zaćmieniami Słońca. Fascynują one także naukowców, a dla niektórych kilka minut widowiska to zbyt mało. Są jednak sposoby, by ten czas wydłużyć. W maju 1972 r. na lunch w restauracji w Tuluzie umówili się Pierre Léna, astronom z Obserwatorium ▶

© BEN LESHCHINSKY /GETTY IMAGES

eprasa.pl 7b9ca5e5e4

▶ Paryskiego, i André Turcat, pilot doświadczalny pierwszego francuskiego Concorde'a. Léna przyniósł ze sobą pomysł, który brzmiał jak scenariusz filmu science fiction. Wiedział, że za rok z drobnym okładem cień Księżyca przemknie nad Saharą, a faza całkowitego zaćmienia potrwa na Ziemi nieco ponad 7 min. Skoro cień pędzi z prędkością kilku tysięcy kilometrów na godzinę, dlaczego by go nie dogonić? Concorde, jeszcze w fazie testów, był jedynym samolotem zdolnym poruszać się niemal tak szybko jak księżycowy cień. Turcat przekonał odpowiednie osoby do niezwykłej misji.

Przez kolejne miesiące planowano trasę, uzgadniano zamknięcie przestrzeni powietrznych i wybierano lotniska zapasowe. Przebudowywano też prototyp Concorde'a 001 – w dachu kadłuba wykonano cztery specjalne iluminatory, przez które można było skierować kamery i teleskopy prosto na przesłonięte Słońce.

30 czerwca 1973 r. o godzinie 10.08 czasu GMT samolot wystartował z Las Palmas na Gran Canarii. Na wysokości ok. 18 km rozpędził się do ponad dwukrotnej prędkości dźwięku i niemal idealnie, bo z dokładnością do jednej sekundy, przechwycił cień Księżyca nad Mauretanią. Później rozpoczął niezwykły pościg przez Saharę, nad Mali, Nigrem i Nigerią. Siedmiu astronomów gorączkowo obsługiwało aparaturę, fotografując koronę słoneczną oraz badając zmiany zachodzące w ziemskiej atmosferze. Gdy samolot wylądował w Czadzie, naukowcy mieli za sobą 74 min nieprzerwanego przebywania w strefie całkowitego zaćmienia. Żaden późniejszy eksperyment nie pobił tego rekordu. Same wyniki badań okazały się mniej przełomowe, niż liczono, ale lot Concorde'a do dziś pozostaje jedną z najbardziej śmiałych wypraw w historii astronomii.



Jednym z uczestników tej niezwykłej misji był amerykański astronom Donald Liebenberg. W środowisku badaczy Słońca uchodzi za prawdziwą legendę. Od 1954 r. przemierzył świat w pogoni za 27 całkowitymi zaćmieniami i – jak zgodnie podkreślają jego koledzy – spędził w strefie całkowitego zaćmienia więcej czasu niż jakikolwiek żyjący człowiek. Jeszcze przed lotem Concorde'a uczestniczył w serii obserwacji organizowanych przez Los Alamos Scientific Laboratory. W latach 60. i 70. amerykański ośrodek badawczy wykorzystywał specjalnie przystosowane samoloty NC-135, które również ścigały cień Księżyca, wydłużając czas obserwacji ponad to, co było możliwe z powierzchni Ziemi.

Historia naukowych pościgów jest zresztą znacznie starsza. Już pod koniec XIX w. amerykańska pisarka Mabel Loomis Todd i jej mąż, astronom David Peck Todd, przemierzali świat, aby obserwować całkowite zaćmienia z kolejnych kontynentów. W XX w. do akcji wkroczyło lotnictwo. W 1923 r. amerykańska marynarka wojenna wysłała na trasę całkowitego zaćmienia Słońca 16 samolotów, próbując sfotografować cień Księżyca z powietrza. Dwa lata później podobnych obserwacji dokonywano z pokładu sterowca USS Los Angeles. Kolejne ekspedycje korzystały z wojskowych dwupłatowców, bombowców B-29, samolotów transportowych i maszyn badawczych. W 1932 r. po raz pierwszy udało się sfotografować cień Księżyca przesuwający się po powierzchni Ziemi, a po drugiej wojnie światowej lotnicze obserwacje stały się niemal stałym elementem takich łowów. Dziś ważną funkcję w badaniach korony słonecznej pełnią sondy kosmiczne. Mimo to, gdy tylko cień Księżyca znów przecina powierzchnię Ziemi, tysiące astronomów rusza jego śladem.

Nauka w działaniu

Całkowite zaćmienie naszej gwiazdy obserwowane w sierpniu 1868 r. dało początek fizyce Słońca. Wówczas to dwóch uczonych niezależnie od siebie rozszczepiło słoneczne widmo przy pomocy spektroskopu, odkrywając nowy pierwiastek, który nazwano helem na cześć Heliosa, greckiego boga Słońca. Rok później, również podczas całkowitego zaćmienia, dostrzeżono w widmie zieloną linię, którą przypisano pierwiastkowi nazwanemu wstępnie coronium. Dopiero siedem dekad później zorientowano się, że linia ta odpowiada silnie zjonizowanej formie żelaza, która mogła powstać tylko w bardzo wysokiej temperaturze. Tak odkryto, że korona słoneczna jest rozgrzana do ponad 1 mln st. C, a więc jest ok. 200 razy cieplejsza od powierzchni gwiazdy.

Naukowcy wciąż nie wiedzą, jaki proces fizyczny za to odpowiada. I uparcie próbują to ustalić. W 2018 r. posłali amerykańską sondę Parker Solar Probe, pierwszą w historii wlatującą w koronę Słońca. Później do badań naszej gwiazdy został wydelegowany europejski Solar Orbiter. Nadal jednak to całkowite zaćmienia dostarczają najlepszej okazji do przyjrzenia się słonecznej woalce – za pomocą instrumentów naziemnych, podczepianych pod balony i montowanych na samolotach. Tak będzie również 12 sierpnia. Na to wydarzenie szykują się także badacze innych specjalności. Nad Islandią co kilkadziesiąt minut będą wypuszczać balony meteorologiczne, by sprawdzić, jak nagłe zniknięcie promieniowania słonecznego wpływa na najniższą warstwę atmosfery. Inni skierują kamery nie na koronę, lecz ku północnemu niebu, licząc na jeszcze bardziej niezwykłe zjawisko – pojawienie się zorzy polarnej podczas całkowitego zaćmienia. Szanse są niewielkie, ale właśnie dlatego warto spróbować. Być może do obserwacji dołączą także zwykli turyści, przesyłając zdjęcia i relacje naukowcom.

Całkowite zaćmienie Słońca znów stanie się więc wielkim terenowym laboratorium nauki. A jednocześnie pozostanie tym, czym było od zawsze – krótką chwilą, która połączy zawodowych badaczy, doświadczonych łowców cienia i ludzi patrzących na zasłoniętą gwiazdę po raz pierwszy. Polskę najbardziej spektakularna część widowiska ominie, ale i tak warto zaopatrzyć się w szkła ochronne, bo przy dobrej pogodzie będziemy mogli zobaczyć tarczę słoneczną zasłoniętą nawet w 85 proc. Całkowite zaćmienie Słońca będzie u nas widoczne nas dopiero w 2135 r. i nikt z żyjących raczej go nie doczeka.

ANDRZEJ HOŁDYS

© JOHN FINNEY PHOTOGRAPHY/GETTY IMAGES

eprasa.pl 7b9ca5e5e4

Błogostan szkodzi zdrowiu

Czego naprawdę potrzeba nam do szczęścia? To bardzo proste. Psycholog Paul Bloom z Yale University dyktuje całą listę, ale ostrzega: nic nie wystarczy na długo.



© SHUTTERSTOCK

KASPER KALINOWSKI: **– Rodzimy się z wrodzonym kompasem moralnym, odróżniamy „pomocników" od „szkodników" – dowodzą pana badania nad niemowlętami. To dowód na to, że jako gatunek jesteśmy z natury dobrzy?**

PAUL BLOOM: – Uwielbiam rozmawiać o tak małych dzieciach, zwłaszcza że moja córka ma zaledwie cztery miesiące. Patrzę na nią i próbuję zrozumieć. Na razie nie sprawia wrażenia, żeby wiedziała bardzo dużo. Po prostu patrzy trochę zdezorientowana i zaczyna się uśmiechać. Uważam jednak, że badania nad niemowlętami to najbardziej interesujący aspekt psychologii. Nie tylko wykazują, że dzieci mają zalążki moralności i pamięci, lecz także, że pojmują świat fizyczny i społeczny, a nawet wykazują pewne zdolności matematyczne. Są całkiem bystre.

Wrodzona mądrość?

Moim zdaniem tak. Za jej część odpowiada właśnie zmysł moralny. Z tego nie wynika jednak, że rodzimy się dobrzy. Lepiej mówić o dwoistości ludzkiej natury. Od pierwszych dni życia mamy w sobie życzliwość, troskę i altruizm oraz jakieś poczucie sprawiedliwości. To wyjaśnia, dlaczego jesteśmy tak bardzo społeczni, dlaczego tak często udaje nam się współpracować i dobrze się traktować. Posiadamy też jednak inne instynkty – zdecydowanie mniej moralne. Możemy np. chcieć dominować nad innymi lub przejąć ich zasoby.

W zachowaniach niemowląt przejawia się współczucie dla cudzego cierpienia. Czy możemy to nazwać empatią?

Myślę, że tak. Bardzo wcześnie zaczynamy współodczuwać ból innych i przejawiać motywację, by próbować im pomóc. Zauważmy jednak, że czujemy to głównie wobec osób bliskich. Jako dorośli mamy więcej empatii wobec partnerów, dzieci czy przyjaciół niż wobec dalekich znajomych. Nasz wrodzony zmysł moralny najczęściej milczy, gdy chodzi o cierpienie ▶

eprasa.pl 7b9ca5e5e4

▶ obcych ludzi. Aby zacząć się o nich troszczyć, musimy wykroczyć poza swoją biologiczną naturę.

Niemowlęta zazwyczaj wolą bawić się z przedstawicielami własnej rasy. Trudno nazwać to rasizmem, więc jakie są przyczyny takiego zachowania?

Rzeczywiście nie nazwałbym niemowląt rasistami – to nawet brzmi dziwnie. Poza tym pojęcie rasy jest bardzo złożone. Lepszym określeniem jest plemienność (trybalizm) – nasza naturalna tendencja do preferowania własnej grupy.

Niesamowite badania w tym kontekście przeprowadziła Katherine Kinzler z University of Chicago. Przenosząc je na nasz grunt: jeśli dwulatkowi wychowywanemu przez polskich rodziców damy wybór: zabawa z kimś mówiącym po polsku lub po angielsku – wybierze oczywiście osobę polskojęzyczną. Można by pomyśleć, że po prostu lepiej ją rozumie. Co jednak w przypadku osoby posługującej się czystą polszczyzną i kimś mówiącym z akcentem? Dzieci wybiorą tę pierwszą. Język jest dla nas sygnałem przynależności do tej samej grupy.

Dopiero w późniejszym okresie rozwoju łączy się to z tym, co nazywamy rasizmem. Jeśli rasa staje się istotnym sposobem definiowania grupy, naturalnym wyborem staje się preferowanie towarzystwa osób o tym samym kolorze skóry. Bycie naprawdę dobrym człowiekiem wymaga przekroczenia schematów.

A jeśli połączymy plemienność z empatią?

Mam wobec tej zdolności mieszane uczucia. Napisałem o tym książkę „Przeciw empatii", w której krytykuję ją jako siłę moralną. Moim zdaniem, kiedy narody idą na wojnę lub wybucha nienawiść, często iskrą jest właśnie empatia wobec kogoś, kogo postrzega się jako ofiarę. Jeśli ktoś powoduje pańskie cierpienie, ja – odczuwając wobec pana empatię – chcę, by ta osoba również cierpiała. To czyni mnie mściwym i okrutnym. Takie „gorące" emocje moralne prowadzą czasem do zachowań, z którymi ostatecznie nie chcielibyśmy się utożsamiać.

To brzmi mało intuicyjnie. Podobnie jak teza z pana najnowszej książki „Psychika. Historia ludzkiego umysłu" – psychologia jest trudniejszą nauką niż fizyka. To przez wspomnianą złożoność ludzkiej natury?

Być może fizycy są mądrzejsi od psychologów (śmiech). A poważnie – my, ludzie, jesteśmy bardzo skomplikowani. Zauważmy, że w fizyce poczyniliśmy niesamowite postępy. Rozumiemy np. podstawowe prawa, jakimi rządzi się wszechświat, czy budowę materii, nawet na poziomie cząstek subatomowych. Gdy jednak chodzi o rozumienie ludzkich motywacji, emocji, pragnień czy przekonań, wciąż jesteśmy daleko w tyle. Naprawdę daleko.

Dlatego wciąż do badania osobowości używacie kartki i ołówka, podczas gdy fizycy potrafią zmierzyć skład atmosfery planety odległej o wiele lat świetlnych od Ziemi?

Tak. Mogę zapytać fizyka o temperaturę Słońca i otrzymam naprawdę precyzyjną odpowiedź. Gdy zaś zechcę sprawdzić, jak bardzo jakiś człowiek jest ekstrawertyczny, dam mu zestaw pytań w stylu: „Czy lubisz imprezy?". Psychologia jest młodą dyscypliną. Na pewno kiedyś doczekamy się znacznie precyzyjniejszych miar, ale na razie nasza nauka nie jest wystarczająco zaawansowana. Nasze narzędzia są prymitywne. Bardzo często po prostu zadajemy ludziom serię pytań na temat, który badamy.

Kocham jednak psychologię i w książce staram się pokazać, że dokonaliśmy pewnych odkryć i czegoś się nauczyliśmy. Poza tym w psychologii nawet zdolny student lub doktorant mogą dokonać istotnego odkrycia, co w fizyce, wymagającej lat przygotowań, jest w zasadzie niemożliwe. To jakby pracować w Apple w pierwszych dniach istnienia firmy, a nie teraz, gdy stała się gigantyczną korporacją.

Niektórzy twierdzą, że sytuację psychologii na zawsze popsuł Zygmunt Freud. Zgodziłby się pan?

Biedny Freud. Wielu moich kolegów zwyczajnie się go wstydzi. W Yale można skończyć psychologię, nigdy o nim nie słysząc. Uważam to za błąd. Freud był prawdziwym badaczem umysłu. Stworzył ambitną teorię, która w wielu aspektach okazała się błędna – jak choćby kompleks Edypa czy ogólna topografia umysłu. Trzeba mu jednak oddać jedno – spopularyzował znaczenie nieświadomości w nauce. A idea, że większość tego, co dzieje się w naszych głowach, nie podlega świadomej kontroli, jest dziś fundamentem psychologii. Jeśli chcę wiedzieć, dlaczego ktoś nas pociąga lub dlaczego zagłosowaliśmy w wyborach w określony sposób, nie wystarczy o to zapytać, bo sami możemy tego nie wiedzieć. Dziedzictwo nieświadomości zawdzięczamy Freudowi.

Zauważmy jeszcze jeden paradoks. Humaniści wciąż go kochają. To zresztą zabawna sytuacja, którą opisuję w książce – znacznie częściej o Freudzie usłyszy student literatury niż psychologii.

Sporo miejsca w swoich pracach poświęca pan szczęściu. Czy w 2026 r. możemy stworzyć listę czynników, które sprawiają, że jesteśmy szczęśliwi?

Tak. Pierwszy nikogo nie ucieszy, bo nie mamy na niego wpływu – to geny. Szczęście jest dziedziczne. Jeśli ktoś urodził się w radosnej rodzinie, prawdopodobnie sam taki będzie. Kolejny fakt – pieniądze rzeczywiście dają szczęście. Ich znaczenie maleje wraz ze wzrostem kwoty, ale początkowo kupują nam wolność od zmartwień, możliwość podróżowania czy wykonywania satysfakcjonującej pracy zamiast upokarzającego znoju.

Numerem jeden – potwierdzonym naukowo – są tu jednak relacje z ludźmi. Choć sam jestem introwertykiem, dowody są przytłaczające – szczęśliwi ludzie mają trwałe przyjaźnie i bardzo często są w stałych związkach z osobami, które ich kochają. Możemy debatować o roli religii, małżeństwa i wielu sprawach, ale najważniejsze są relacje. Także posiadanie dzieci może znacząco wpływać na poziom szczęścia.

Wspomniał pan o swojej małej córce. Z dziećmi i szczęściem sprawa nie jest taka prosta.

Zdecydowanie. Okazuje się np., że na samym początku rodzicielstwa mężczyźni stają się bardziej szczęśliwi niż kobiety. To jednak złożony efekt. W Stanach Zjednoczonych posiadanie dzieci wiąże się nawet z niewielkim spadkiem odczuwanego szczęścia. Być może dlatego, że rodzice mają tam mniej wsparcia socjalnego niż np. w wielu państwach w Europie. Poza tym rodzicielstwo jest trudne – małe dzieci naprawdę są wymagające. W późniejszym okresie życia ludzie mówią jednak – i sądzę, że to prawda – że dzięki nim mają poczucie celu i sensu. Oczywiście są osoby, które nie mają dzieci, a ich życie jest wspaniałe.

Z badania sprzed pięciu lat wynika, że 13 proc. dorosłych Polaków żałuje, że ma dzieci.

To wciąż mało, nie uważa pan? Biorąc pod uwagę cały wysiłek i wszystkie kosz-

eprasa.pl 7b9ca5e5e4



© PAUL BLOOM/TEDGLOBAL/NPR, MP

ty związane z rodzicielstwem, to zdumiewająco niewiele. Jestem przekonany, że znacznie więcej osób żałuje wyboru współmałżonka czy życiowego partnera.

Nie ma pan wrażenia, że żyjemy w kulturze, która wymusza na nas szczęście? A przecież bycie szczęśliwym przez cały czas nie leży w ludzkiej naturze.

To bardzo trafna uwaga. Ewolucja, która zaprojektowała nasze mózgi i umysły, troszczy się raczej o nasze przetrwanie i rozmnażanie. Nie zostaliśmy ukształtowani tak, by stale odczuwać błogostan. Gdy sytuacja się nie zmienia, zaczynamy się nudzić. Psycholodzy nazywają to bieżnią hedonistyczną – biegniemy coraz szybciej, ale zostajemy w tym samym miejscu. Pyszny posiłek cieszy, ale po stu razach traci smak. Podobnie jest z namiętnością. Rozwiązaniem nie jest wkładanie całej energii w pogoń za szczęściem, lecz szukanie dóbr długoterminowych.

Dlatego sugeruje pan, że pogoń za szczęściem może prowadzić do depresji, a cierpienie jest niezbędne, by być szczęśliwym.

Jak pokazują badania, ludzie, dla których szczęście jest celem samym w sobie, są w rzeczywistości najmniej szczęśliwi. Tyle że ta zależność może działać w obie strony – być może pragnienie szczęścia czyni ludzi mniej szczęśliwymi, a może ludzie mniej szczęśliwi bardziej starają się być szczęśliwi. W każdym razie świadome pragnienie błogostanu prawdopodobnie nie służy zdrowiu. Lepiej nie czynić szczęścia główną aspiracją, a skupić się na robieniu czegoś wartościowego, choć to niemal zawsze wyzwanie. Cokolwiek uzna pan w życiu za naprawdę sensowne – dzieci, związki, praca twórcza czy przebiegnięcie maratonu – będzie wiązać się z trudnościami. To, co przychodzi łatwo, nie nadaje życiu wartości. Łatwa droga to zazwyczaj uzależnienie – alkohol czy pornografia dają przecież szybką gratyfikację, która zaraz zamienia się w ciężar.



Prof. **Paul Bloom** pracuje na Yale University i University of Toronto. Specjalizuje się w psychologii rozwoju dzieci, społecznego rozumowania i moralności. Jego najnowsza książka „Psychika. Historia ludzkiego umysłu" ukazała się właśnie w Polsce nakładem wydawnictwa Rebis.

Fatalnie też przewidujemy, co nas uszczęśliwi. Czy w drugą stronę także się mylimy? Przeceniamy wpływ tragedii na nasze życie?

Mój przyjaciel psycholog Dan Gilbert mówi, że jesteśmy bardzo słabi w prognozowaniu własnych emocji. Ludzie myślą, że utrata pracy czy niepełnosprawność to koniec świata. To straszne wydarzenia, ale zazwyczaj po pewnym czasie wracamy do formy – i to jest dobra wiadomość. Zła jest taka, że wygrana na loterii czy sukces książki, którą wydamy, również nie uszczęśliwią nas na długo. Ostatecznie wracamy do punktu wyjścia.

Zaczęliśmy rozmowę od pańskich badań nad niemowlętami. Psychologia od lat zmaga się z kryzysem replikacji eksperymentów – te wyniki również próbowano podważyć. Czy dziś przedstawiałby pan je ostrożniej?

Wiele moich prac udało się zreplikować, niektórych mniej istotnych – nie. Co do niemowląt, preferowanie „pomocników" potwierdzono w wielu laboratoriach. Bardzo duże badanie sprzed pięciu lat, w którym użyto wideo zamiast realnych postaci, nie dało jednak tego samego wyniku. Być może efekt nie pojawia się tak wcześnie, jak sądziliśmy, albo forma była dla niemowląt zbyt trudna. Cóż, nauka polega na popełnianiu błędów i ich korygowaniu.

Ważnym wyzwaniem związanym z replikacją jest również fakt, że psychologia przez lata opierała się na badaniach przedstawicieli tzw. społeczeństw WEIRD (Western – zachodnie, Educated – wykształcone, Industrialized – uprzemysłowione, Rich – bogate, Democratic – demokratyczne – przyp. red.). Obecnie badamy zaś również ludzi w Azji czy Afryce. Dzięki temu psychologia staje się dojrzałą, globalną nauką.

Co zmieniło się najbardziej w psychologii w ciągu pana kariery?

Poza tym, że stajemy się coraz mniej zachodniocentryczni, bardziej rygorystycznie podchodzimy do analiz statystycznych. A przede wszystkim nauczyliśmy się, że psychologia najlepiej radzi sobie wtedy, gdy łączy się z innymi dziedzinami: neuronauką, teorią ewolucji, antropologią, a nawet sztuczną inteligencją. Takie łączenie dyscyplin to przyszłość psychologii.

Właśnie – jak zmieni pana naukę sztuczna inteligencja?

Wszyscy o tym rozmawiamy. Niektórzy uważają, że nie różnimy się niczym od ChatGPT. Ja w to nie wierzę. Duże modele językowe są trenowane na olbrzymich zbiorach tekstów i innych danych, a niemowlęta uczą się poprzez interakcję ze światem i mają wrodzoną wiedzę. AI na pewno zmieni psychologię, ale nie potrafię przewidzieć, w jaki sposób – wszystko dzieje się zbyt szybko. To także jednak sprawia, że psychologia jest tak fascynującą żywą nauką.

ROZMAWIAŁ KASPER KALINOWSKI

eprasa.pl 7b9ca5e5e4

Przeszłość wraca kamieniem



Sztuka naskalna z Val Camonica we włoskich Alpach

Nasi przodkowie nie unikali gór. I zostawili tam ślady. Jeśli w trakcie górskiej wycieczki ktoś zauważy leżący na ścieżce krzemień, niech nas o tym poinformuje – apeluje archeolog dr Janusz Budziszewski.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA: **– 160 tys. lat temu tybetańską jaskinię Baishiya Karst (ok. 3280 m n.p.m.) zamieszkiwali denisowianie. W znajdującej się niemal 200 m wyżej etiopskiej jaskini Fincha Habera przebywali 47–31 tys. lat temu ludzie polujący na podobne do świstaków gryzonie. Czy wysokie góry w Europie też były zamieszkane?**

JANUSZ BUDZISZEWSKI: – Przekonanie, że nasi przodkowie unikali wysokich gór, wzięło się stąd, że trudno tam zakładać stałe osady. Zwykle lokowano się w jaskiniach i pod gołym niebem w niższych partiach, a szczyty wykorzystywano okresowo. Moim ulubionym przykładem jest mezolityczny kompleks Colbricon w Dolomitach (ok. 1900–2000 m n.p.m.). Archeolodzy odkryli tam pozostałości ognisk oraz tysiące krzemiennych narzędzi i odpadków po ich produkcji.

Ta okolica była naturalnym węzłem szlaków migracyjnych zwierząt. Łowcy szli za nimi. A Colbricon oferował łatwy dostęp do wody dzięki dwóm jeziorom i był doskonałym punktem obserwacyjnym. Łowcy wracali tam regularnie 8–10 tys. lat temu, prawdopodobnie o tej samej porze roku. Inny sposób korzystania z zasobów wysokich gór opisali w 2010 r. francuscy badacze. U schyłku epoki lodowcowej myśliwi kultury magdaleńskiej udawali się późną jesienią w wysokie Alpy, aby polować na otłuszczone przed zimą świstaki.

W przeszłości uważano, że góry są siedzibą bogów, stąd obiekty kultowe, np. inkaskie sanktuaria w Andach. A w Starym Świecie?

Potwierdzeniem, że góry były miejscem kultu, są nie tylko miejsca ofiarne, lecz także alpejska sztuka naskalna. W Val Camonica we włoskich Alpach (1800–2700 m n.p.m.) od neolitu do epoki żelaza powstało dziesiątki tysięcy rytów przedstawiających ludzi, zwierzęta i motywy symboliczne. Jeszcze starsze, być może już z późnego paleolitu, są zespoły rytów w Azji z Ałtaju, Tien-szanu czy Wyżyny Tybetańskiej. W górach polowano, zbierano rośliny, odprawiano rytuały, wypasano zwierzęta, a także poszukiwano „skarbów", takich jak drogie kamienie, sól, rudy metali – stąd nasz termin „górnictwo".

Rozumiem, że pasterstwo, a wraz z nim wyrabianie nabiału, pojawiło się w górach wraz z neolitem.

To zazwyczaj był długotrwały i złożony proces, który przebiegał w różny sposób i z różną intensywnością w poszczególnych górach. Najstarsze dowody wysokogórskiego pasterstwa pojawiają się w neolicie, ale dobrze udokumentowane jest dopiero dla epoki brązu.

Podobnie chyba z eksploatacją górskich zasobów. Chociaż istnieją przesłanki, że mieszkańcy Alp mogli wydobywać sól spod ziemi już w neolicie, pierwsze niepodważalne dowody pochodzą ze środkowej epoki brązu (1500–1300 r. p.n.e.) z Hallstatt w Austrii.

Sól w pradziejach pozyskiwano zazwyczaj – także w polskich Karpatach – ze słonych źródeł. O eksploatacji rud miedzi w austriackich, włoskich i szwajcarskich Alpach wiemy zaś już całkiem sporo. Tak samo jak w innych górach: włoskich Apeninach, bułgarskiej Sredniej Gorze, serbskich południowych Karpatach, a także w słowackiej części zachodnich Karpat. Ostatnio opisano odkrycie we wschodnich Pirenejach. W jaskini Cova del Catau de l'Os w dolinie Núria na wysokości 2235 m n.p.m. znaleziono ślady przeróbki wydobywanych w okolicy minerałów miedzi trwającej od późnego neolitu do epoki brązu.

A u nas?

W zasadzie nie mamy wysokich gór, a nasze Karpaty – w przeciwieństwie do słowackich – są ubogie w kruszce. Ale nasze stosunkowo niskie góry ze względów klimatycznych trudne były do zagospodarowania, więc często pozostawały relatywnie dzikie. Nawet współcześnie, po usunięciu podczas akcji Wisła osadnictwa Rusińskiego, w górach gospodarzą tylko drwale, których praca jest nieopłacalna. Mimo to wiemy, że na Podhalu i w Pieninach ludzie pojawili się co najmniej kilkadziesiąt tysięcy lat temu. Wszystko dzięki wieloletnim badaniom prof. Pawła Valde-Nowaka z Uniwersytetu Jagiellońskiego, który odkrył w Karpatach dziesiątki śladów społeczności z epoki kamienia.

Najsłynniejsze są w jaskini w Obłazowej z pozostałościami osadnictwa neandertalczyków, a także z najstarszym na świecie, wykonanym

eprasa.pl 7b9ca5e5e4

z ciosu mamuta bumerangiem, który według najnowszych ustaleń ma 40–42 tys. lat.

To prawda, z tym że znajdowane przez profesora stanowiska są zazwyczaj ulokowane na stokach wzgórz lub w dolinach na wysokości nieprzekraczającej 700 m n.p.m. Odkrycia pozostałości po ludziach z paleolitu w wysokich górach są naprawdę wyjątkowe.

Prof. Valde-Nowak właśnie odkrył w Jaskini nad Huczawą w Tatrach Bielskich (937 m n.p.m.) ślady łowców kultury magdaleńskiej. Czyli ludzie paleolitu 15 tys. lat temu zapuszczali się w Tatry. Czy znamy podobne ślady z jeszcze wyższych partii naszych gór?

W 1975 r. dr Krzysztof Tunia z Instytutu Archeologii i Etnologii PAN odkrył rdzeń krzemienny ze środkowego neolitu w Dolinie Kondratowej w Tatrach ok. 1350 m n.p.m. W tym samym roku na zboczach Kiczory w Gorcach, ok. 100 m niżej, rdzeń zapewne z tego samego czasu znalazła grupa uczniów. Odkrycia te sugerowały, że ślady pierwszej ekspansji ludzi w najwyższe partie gór wiązać należy z pierwszymi rolnikami z tzw. późnych kultur naddunajskich.

Przez następne dziesięciolecia nic się nie zmieniło, bo nasze „wysokie góry" są porośnięte murawami hal albo lasami, więc trudno prowadzić badania powierzchniowe. Dopiero w latach 2012–19 takie poszukiwania przeprowadził w Bieszczadach Wysokich prof. Andrzej Pelisiak z Instytutu Archeologii Uniwersytetu Rzeszowskiego. Na Połoninie Wetlińskiej (1100–1200 m n.p.m.) odkrył materiały kamienne, z których najbardziej jednoznaczne można było wiązać z kulturą ceramiki sznurowej ze schyłku neolitu. Według odkrywców mają one dokumentować pojawienie się w górach u schyłku neolitu gospodarki pasterskiej.

A jak zaczęła się wasza historia?

Od przypadkowego odkrycia. W 2021 r. dr Jan Loch z Gorczańskiego Parku Narodowego znalazł na Hali Turbacz fragment odłupka oraz okruch z krzemienia jurajskiego z okolic Krakowa. Dowiedziałem się o tym dwa lata temu. Ponieważ znalezisko pochodziło z miejsca typowego dla wysokogórskich obozowisk myśliwskich z epoki kamienia – na przełęczy z rozległym widokiem na dolinę Roztoki – postanowiłem je zweryfikować. Pod egidą Wydziału Archeologii Uniwersytetu Warszawskiego stworzyliśmy ekipę



Dr **Janusz Budziszewski** jest badaczem wytwórczości krzemieniarskiej i gospodarki surowcami kamiennymi. Emerytowany pracownik UKSW, obecnie wolontariusz na Wydziale Archeologii Uniwersytetu Warszawskiego.

Krzemień czy radiolaryt?



Znaleziska z Hali Turbacz wykonano z krzemienia jurajskiego z okolic Krakowa. Na miejscu można za to znaleźć radiolaryt – skałę o podobnych właściwościach. Oba surowce są bardzo twarde, bogate w krzemionkę i przy uderzeniu pękają w charakterystyczny sposób, dając ostre krawędzie. Dlatego wykonywano z nich narzędzia.

Krzemień jurajski jest zwykle szary – od jasnego, niemal białawego odcienia po ciemniejszy, niekiedy z plamkami lub smugami. Ma gładką, często lekko szklistą albo woskową powierzchnię świeżego przełamu, pęka muszlowo. Radiolaryty są czerwone, wiśniowe, brunatne, zielonkawe lub szare, bywają mniej jednolite i bardziej matowe.

Na odłupku może zachować się miejsce, w które uderzono (piętka) oraz niewielkie wybrzuszenie (sęczek). Na rdzeniu widać natomiast zagłębienia po wcześniej odbitych fragmentach (negatywy). Regularny układ śladów pozwala odróżnić efekt obróbki od przypadkowego pęknięcia.

badaczy epoki kamienia ze wszystkich warszawskich instytucji archeologicznych. Najpierw przeprowadziliśmy badania powierzchniowe, a potem serię mikrosondaży. Nasze badania były możliwe tylko dzięki wielkiej pomocy Gorczańskiego Parku Narodowego oraz schroniska PTTK na Turbaczu.

Czy szukaliście tam czegoś konkretnego?

Znamy relacje o tym, że górale śląscy z pielgrzymek do Częstochowy przynosili krzemienie do niecenia ognia podczas wypasów. Musieliśmy wykluczyć taką możliwość w przypadku Hali Turbacz i potwierdzić prehistoryczną metrykę znalezisk, a także ustalić charakter i stan miejsca pochodzenia. Podczas poszukiwań zlokalizowaliśmy kolejne cztery zabytki z tego samego krzemienia jurajskiego i nie ma już wątpliwości, że to prehistoryczne stanowisko, niestety mocno zniszczone przez procesy stokowe. Zapewne jest ono paleolityczne, nadal jednak brakuje nam elementów pozwalających na precyzyjne datowanie. Wyniki dotychczasowych prac pozwalają nam jednak zaplanować badania wykopaliskowe, które rozpoczniemy w przyszłym sezonie.

Co nowego mówi stanowisko na Turbaczu?

Pokazuje zupełnie inny obraz wykorzystywania polskich gór wysokich niż wcześniejsze odkrycia. Każde z nich ujawniło inny fragment tej historii. Aby ją w pełni odtworzyć, potrzeba nowych znalezisk, a do tego nie wystarczy aktywność nielicznych archeologów. Skupiamy się teraz na wypracowaniu szybszych i skuteczniejszych metod weryfikacji stanowisk, opartych na zaawansowanych testach chemicznych i biologicznych.

Jeśli odkrycie na Turbaczu to pozostałość paleolitycznego obozowiska myśliwskiego, jest szansa, że w naszych górach może być wiele podobnych z różnych okresów epoki kamienia.

Jak najbardziej, ale potrzebujemy wsparcia turystów. Najlepszymi miejscami na obozowiska były przełęcze z rozległym widokiem na doliny. Ważny jest też dostęp do wody. Krzemienie nie występują naturalnie w Karpatach, dlatego jeśli ktoś zauważy na ścieżce krzemyk albo inny nietypowy kamyk, niech zrobi jego zdjęcie przed podniesieniem – oraz zdjęcia okolicy, bo dla archeologów kontekst jest zazwyczaj ważniejszy niż sam zabytek. Dopiero później należy zabrać kamień i zabezpieczyć go, by się nie pokruszył. Prosimy o wysłanie fotografii oraz informacji o miejscu znaleziska na adres archeowiesci@uw.edu.pl. My się odezwiemy.

W przyszłym roku spróbujemy przygotować profesjonalną aplikację. Gdyby dzięki turystom udało się zlokalizować więcej takich znalezisk, proces poznawania najstarszej historii wykorzystywania naszych gór wreszcie by przyspieszył. ■

© BLUERED/REDA/UNIVERSAL IMAGES GROUP/GETTY IMAGES, UKSW, CREATIVE COMMONS/ CHRUMPS/ ZBIORY MUZEUM TATRZAŃSKIEGO W ZAKOPANEM

eprasa.pl 7b9ca5e5e4



Zesłańcy po powstaniu styczniowym na obrazie „Pożegnanie Europy" Aleksandra Sochaczewskiego, XIX w.

Ostatnia bitwa romantyków

Powstańcy styczniowi zesłani nad Bajkał chwycili tam za broń. 160 lat temu chcieli wywołać ogólnosyberyjską rebelię. Plan minimum zakładał ucieczkę do Chin.

MAREK LEDWOSIŃSKI

W największym więzieniu świata – na Syberii – zdarzały się bunty i próby ucieczek. Temperatura rosła, gdy trafiały tam tysiące polskich katorżników. Wspomnieć można choćby tzw. spisek omski zorganizowany przez Polaków usadzonych na Syberii po powstaniu listopadowym. Plan był śmiały. Zakładał zbrojne powstanie (jego trzonem mieli być Polacy służący w armii carskiej stacjonujący w Omsku i okolicznych garnizonach), opanowanie większych miast i w efekcie... oderwanie Syberii od imperium!

Idea nierealna, ale organizacyjnie poważnie zaawansowana. Polacy zaangażowali do spisku zesłańców rosyjskich, organizowali wsparcie lokalnych mieszkańców, nawiązali nawet kontakty z sąsiednimi Kazachami. Nie wyszli poza sferę planów – imperium miało rozbudowaną sieć konfidentów. Fala aresztowań zapełniła więzienie przywódcami spisku. Bunt omski umarł bez jednego wystrzału, ale kary dla jego przywódców były odstraszające: 25 wyroków śmierci. Z tego 12 przez tzw. praszczętę.

eprasa.pl 7b9ca5e5e4

Była to dość powszechnie stosowana w armii carskiej tortura, zazwyczaj kończąca się śmiercią skazanego. Z rękoma przywiązanymi do armatniego stempla lub do karabinu musiał biec między szpalerem dawnych towarzyszy broni, z których każdy wymierzał mu uderzenie kijem lub karabinowym wyciorem. Dostawał zazwyczaj kilka tysięcy uderzeń. Utrata przytomności nie przerywała egzekucji. Spośród 12 omskich spiskowców praszczętę przeżył jeden.

Spisek krasnojarsko-kański

Przez kolejne trzy dekady zadziałały mrożący efekt spisku omskiego, ale i racjonalna ocena sytuacji. Zesłańcy, poznawszy do bólu miejscowe realia, nie wierzyli już w powodzenie większej akcji. Świętego spokoju pragnęli naturalni kandydaci na przywódców zrywu – szlachta, w dużej części nastawiona na doczekanie końca wyroku.

Sytuacja zmieniła się po stłumieniu powstania styczniowego. Według różnych szacunków na wschód ruszyło kibitkami, częściej pieszo, od 20 do 25 tys. powstańców i osób, którym przypisano związki z powstaniem. W większości ludzie młodzi lub w sile wieku, nieoswojeni z myślą, że walka skończona – a przy tym nieznający realiów największego więzienia świata.

Plany ucieczek, buntów i poważnych rebelii snute były praktycznie już przy ogniskach „na etapach". Po dotarciu na miejsce próbowano szybko je realizować. Pierwsze organizacje spiskowe nowej fali powstały już w 1864 r. Ich komórki działały m.in. w Tobolsku, Tomsku i Krasnojarsku. Najszerzej opisany jest tzw. spisek krasnojarsko-kański. Zaangażowani weń byli Polacy i zesłańcy rosyjscy. Próbowano włączyć do tajnej roboty miejscową ludność rosyjską, baszkirską, Tatarów, a nawet starowierców, którzy mieli z władzą i jej wiarą swoje rachunki krzywd.



Pomnik postawiony w miejscu bitwy pod Miszychą przed dewastacją w 2023 r.

Założono wybuch powstania wszechsyberyjskiego. Bunt miał porwać wszystkie ważniejsze garnizony i katorgi. Zdobyte carskie składy miały uzbroić – wedle założeń spiskowców – nawet do 6 tys. powstańców. Jak naiwnie sądzono, taka siła z łatwością przeniosłaby rewoltę do europejskiej części imperium. A potem już z górki – zasadnicza i rozstrzygająca wojna z Rosją Prus wzmocnionych przez Habsburgów i obalenie caratu! Z popiołu, jaki po Romanowach zostanie, odrodzi się Orzeł Biały!

Był też skromniejszy plan B, wspólny dla polskich i rosyjskich powstańców, na wypadek gdyby Zachód się nie spisał. Oderwanie Syberii od Rosji i stworzenie wolnych Stanów Syberyjskich. Nie tylko nazwą nawiązujących do tego, co wydarzyło się po drugiej stronie Pacyfiku.

Wersja minimalistyczna zakładała wielką ucieczkę do Chin, gdzie czekała wolność i otwarta droga do Europy. Oczywiście nie Królestwa, ale do któregoś z krajów Zachodu, a nawet na tereny dawnej Rzeczypospolitej, zwłaszcza kusił zabór austriacki.

Skąd takie miłosierdzie Kraju Środka? Chińczycy mieli swoje rachunki z Rosjanami. Petersburg bezlitośnie wykorzystał ich słabość po przegranych wojnach opiumowych z Zachodem. Zmusił sąsiada do podpisania traktatu aiguńskiego (1858 r.) i oderwał w ten sposób od Chin oraz zawłaszczył ogromne tereny syberyjskie nad Amurem i między Ussuri i Pacyfikiem. Na swój użytek ziemie te imperium nazwało Krajem Zabajkalskim, Krajem Chabarowskim, Krajem Nadmorskim i obwodem amurskim. W relacjach ze zbiegłymi katorżnikami Chińczykom przyświecała więc prosta zasada: wróg naszego wroga jest naszym przyjacielem.

Zesłańczy stratedzy nie wysnuli jednak wniosków z nieodległego przecież spisku omskiego. Ruch był inwigilowany przez agentów i donosicieli. Termin wybuchu powstania ustalono na 1 marca 1866 r. Już w pierwszych dniach roku ruszyły aresztowania. Za kraty trafili organizatorzy i niedoszli przywódcy zrywu. Kolejny spisek padł bez wystrzału. Jednak tym razem władze nie stosowały brutalnych represji.

Plany powstania

Upadek spisku nie ostudził nastrojów. Co najwyżej urealnił planowane cele. Jeśli miało już dojść do jakiegoś „ruchu", powinien on się skupić na zorganizowaniu wielkiej ucieczki. Głównym ośrodkiem spisku stał się Irkuck, bo do tego miasta nad Angarą reżim skierował ok. 2 tys. postyczniowych zesłańców i katorżników. Jak na jeden ośrodek – dużo.

Zaczęli jak zwykle od planu ponad miarę. Ruszyły tajne rozmowy z rosyjskimi zesłańcami i badania nastrojów autochtonów. Pojawił się pomysł ataku na skład broni w Wierchnieudyńsku czy zawojowania katorgi nerczyńskiej i uwolnienia cierpiących tam Polaków. Ogień miał buchnąć w dniu symbolicznym – 3 maja 1866 r.

Nastroje jednak przygasił carski ukaz z 16 kwietnia o amnestii. Dożywotnikom skracał katorgę do 10 lat. Pozostałym – o połowę, a jeśli wyrok był mniejszy niż sześć lat – katorżnik mógł zmienić status na tzw. osiedlenca.

Dodatkowo w kwietniu do Irkucka dotarł jeden z nielicznych pragmatyków w sztabie przyszłego zrywu Narcyz Celiński, szlachecki syn z Kujaw w centralnej Polsce. Celiński walczył podczas Wiosny Ludów w powstaniu wielkopolskim 1848 r. Austriacy przekazali go Rosjanom jako poddanego imperium. Karnie wcielono go do armii. Walczył w wojnie kaukaskiej. Niezwykle uzdolniony szybko awansował. W randze kapitana sztabowego inżynierii wrócił do Królestwa i wziął udział w powstaniu styczniowym. Dostał osiem lat katorgi.

Celiński trafnie uznał, że bunt w samym Irkucku grozi porażką. W mieście stacjonował garnizon w sile 4 tys. żołnierzy. Nawet jeśli wszyscy Polacy przyłączyliby się do ruchu, to starcie 2 tys. zesłańców z dwukrotnie silniejszym regularnym wojskiem oznaczałoby rzeź.

Zmianę planów spowodowali sami Rosjanie. Dostrzegli groźny potencjał tak licznej polskiej grupy w jednym ośrodku. By spacyfikować nastroje, a jednocześnie wykorzystać darmową siłę roboczą, główny gubernator Wschodniej Syberii Mikołaj Korsakow zadecydował o wysłaniu prawie połowy irkuckich Polaków do budowy drogi okołobajkalskiej. Polacy mieli trafić na południowy, 200-kilometrowy odcinek krugobajkalskiego traktu od miejscowości Kułtuk do Miszychy. Tę część wybrzeża Bajkału chciano podzielić na dziewięć odcinków i na każdym ▶

© DP (2)

eprasa.pl 7b9ca5e5e4

▶ z nich rozlokować grupę zesłańców liczącą od 50 do 100 osób. W pierwszych dniach czerwca z Irkucka nad Bajkał wymaszerowało 721 katorżników konwojowanych przez 138 strażników.

Przywódcy spisku dostrzegli w tym szansę. Celiński uznał, że w tajdze z dala od garnizonów poszczególnym grupom bez trudu uda się rozbroić nielicznych konwojentów, wyjść z wąwozu traktu bajkalskiego i przebić się do Chin. Od Miszychy do granicy było nieco ponad 200 km. W jego ocenie wizja realna.

Potyczki i bitwa

Pierwszy zapłonął Kułtuk. Katorżnicza osada najbliżej Irkucka. Komendę sprawował Kazimierz Arcimowicz, zagorzały i bezkrytyczny zwolennik zbrojnego powstania, postyczniowy weteran z wyrokiem ośmiu lat katorgi. Na jego rozkaz 24 czerwca (według starego kalendarza) katorżnicy rozbroili i uwięzili siedmiu konwojentów (niektóre źródła mówią, że strażników zabito). Charakterystyczne, że w pierwszej zesłańczej osadzie do ruchawki przystąpili wszyscy Polacy.

Powstanie początkowo zgodnie z planem przypominało toczącą się śniegową kulę. Grupa szła wzdłuż wybrzeża, a po drodze dołączali zesłańcy z kolejnych osad przemieszczonych tu z Irkucka. Po drodze rozbrajano słabiutkie posterunki carskie, rekwirowano broń, konie i żywność. Powstańcy zerwali linię telegraficzną. Pierwsze dwie doby zwieńczone były sukcesem i w dodatku bez zbrojnej konfrontacji.

Kryzysowa sytuacja nastąpiła dopiero w Murynie. Zesłańcy i tutaj rozbroili strażników, ale euforii w szeregach nie uświadczyli. Do powstania dołączyło zaledwie 25 osób. Pozostali, w większości szlachta, uznali, że rebelia nie ma widoków na sukces i jedynie pogorszy ich los. Podobne nastroje panowały w kolejnych osadach. Spośród zesłańców wyprowadzonych z Irkucka zaledwie jedna trzecia przyłączyła się do zrywu. Brakowało broni. Prawie połowę sił powstańczych stanowili... kosynierzy! Sam Narcyz Celiński, gdy wolność dotarła do osady Miszycha, w której przebywał, odmówił przyjęcia naczelnego dowództwa nad ruchem. Uznał, że jedyne, co można zrobić, to jak najszybciej przebijać się w stronę granicy.

Była to mądra diagnoza. Wieści o rebelii szybko się rozniosły, zwłaszcza po zwróceniu wolności ocalałym konwojentom. Rosjanie zareagowali błyskawicznie. Przeciw powstańcom wystawili łącznie tysiąc żołnierzy i kozaków. Dołączyło doń dwa tysiące miejscowych cywilów, w tym tysiąc Buriatów, kłamliwie informowanych, jakoby trzon buntowników stanowili więźniowie kryminalni. Poszczególnych wsi strzegły cywilne straże obywatelskie. Dowódca antypowstańczej akcji, Polak katolik generał major Bolesław Kukiel wykonał błyskotliwy manewr. Przeprawił spory oddział parowcem przez Bajkał. W efekcie powstańcy znaleźli się w kotle: z przodu i z tyłu Rosjanie, a po bokach, do wyboru jezioro albo góry.

W tej sytuacji musiało dojść do bitwy. Rozegrała się nad rzeczką Bystrą opodal osady Miszycha 28 czerwca (według nowego kalendarza gregoriańskiego 12 lipca). Powstańcy wystawili ok. 70 strzelców i 100 kosynierów. Przeciw sobie mieli cztery setki dobrze uzbrojonego i wyszkolonego wojska. Potyczka była katastrofą. Natarcie kosynierów załamało się pod salwami. W polu poległo 38 powstańców, kolejnych 12 zmarło wkrótce od ran.

Niedobitki, rozdzielone na cztery nieliczne grupy, próbowały na własną rękę, bez koordynacji działań, przebić się do Chin. Jednak było to już nierealne. Możliwe do przejścia przełęcze obsadzone przez kozaków, wrogo nastawiona ludność, brak jedzenia. Rosjanie w kilku niewielkich potyczkach zlikwidowali powstańcze partie. Ostatni bój rozegrał się 28 lipca (9 sierpnia) pod wioską Kiachta. Na kozacki patrol natrafiła powstańcza grupa Władysława Kotkowskiego. Przegrana przez Polaków potyczka zakończyła zryw nazwany powstaniem zabajkalskim.

Proces irkucki

Proces pojmanych powstańców ruszył 24 października. Przed komisją stanęło ponad 600 ocalałych podzielonych na siedem grup – w zależności od przypisywanego im przewinienia. 19 listopada komisja ogłosiła wyrok: 255 osób niewinnych, 418 skazanych. Wyroki wysokie. Wobec siedmiu przywódców kara śmierci. 197 uznanych winnymi czynnego uczestnictwa w buncie przeciw władzy i grabieży. Z tej grupy co dziesiąty dostał karę śmierci. Pozostali – chłosta sto batów i dożywotnia katorga. Gubernator Korsakow złagodził wyrok. Nie zatwierdził w tej grupie skazanych wyroków śmierci i zniósł chłostę.

Spośród siedmiu przywódców ułaskawienie udało się wybłagać dla trzech. Pozostali – Narcyz Celiński, Władysław Kotkowski, Jakub Rejner i Gustaw Szaramowicz – stanęli przed plutonem egzekucyjnym. Przed śmiercią pozwolono im napisać pożegnalne listy do rodziny. Te jednak, pełne patriotycznego przesłania, nigdy nie dotarły do adresatów. Podobno zadecydował o tym sam imperator.

Ocalałych kilkuset powstańców omijały carskie amnestie. Objął ich dopiero ukaz z 1881 r. Część z nich wróciła do Królestwa.

Kopia pomnika

Powstanie zabajkalskie przez lata w Polsce przykryte było kurzem niepamięci. Poświęconą mu tablicę wmurowano w Grób Nieznanego Żołnierza w Warszawie dopiero w 1991 r. To dziwi, bo w świadomości samego Zabajkala powstanie było żywe. Pierwszy pomniczek w miejscu głównej bitwy pod Miszychą wzniósł jeden z powstańców. Później, już w czasach ZSRR, obelisk powiększyli komsomolcy. Nie uchował się długo, ale w 2001 r. – staraniem miejscowej Polonii i Rady Pamięci Walk i Męczeństwa – pojawił się pomnik z prawdziwego zdarzenia. Dwujęzyczny napis, polski i rosyjski, głosił: „Pamięci zesłańców polskich, uczestniczących w Powstaniu nad Bajkałem, poległych w walce z żołnierzami carskiej Rosji 12 lipca 1866. Śpijcie spokojnie, Bohaterowie, pamiętamy o Was".

Niestety w 2023 r., po napaści Rosji na Ukrainę, ,,nieznani sprawcy" ścięli drewniany krzyż i połamali kamienne tablice. I tu dobra nowina za sprawą mieszkańców wioski Lutobórz na Kujawach. Wierna kopia pomnika z Miszychy stanie na miejscu nieistniejącego lutoborskiego dworu, w którym urodził się Narcyz Celiński. Już w ubiegłym roku tablica poświęcona Celińskiemu zawisła na frontonie kościoła w nieodległej od Lutoborza wsi Kłóbka. Tu został ochrzczony. Tę ścieżkę upamiętnienia kreuje odkrywca Celińskiego dla miejscowych, regionalista dr Tadeusz Trocikowski.

Powstanie zabajkalskie postrzegane bywa jako ostatni akord zrywu styczniowego. Może też być uznane za odrębne, a na pewno było ostatnią zbrojną batalią romantyczną, podjętą mimo obiektywnie marnych widoków na sukces. Na ponad pół wieku wstrzymało zbrojną konfrontację Polaków z Rosjanami. Nowy etap rozpoczęli dopiero legioniści Piłsudskiego.

MAREK LEDWOSIŃSKI

eprasa.pl 7b9ca5e5e4



© EVERRET COLLECTION

Erika Mann, zdjęcie z 1938 r.

Wolna Erika Mann

KINGA STRZELECKA-PILCH

Film Pawła Pawlikowskiego „Ojczyzna” o podróży Thomasa Manna po Niemczech w 1949 r. ledwo zarysował postać jego córki Eriki. Ta nowoczesna kobieta – lesbijka, rajdowiec, pisarka i ekscentryczka – miała porywające życie.

Smukła sylwetka, długie nogi i ręce. Pociągła twarz. Nos wydatny, identyczny jak ojca. Jasna karnacja i ciemne, przystrzyżone krótko włosy. Na wielu zdjęciach Erika wygląda jak osoba całkowicie neutralna płciowo, jej fryzura jest ułożona i cieniowana jak chłopięca. Nie nosi makijażu, za to męskie ubrania, luźne koszule i obszerne marynarki. Delikatnie spogląda w obiektyw. Skromność tego spojrzenia może wprowadzić w błąd, z fotografii patrzy na nas bowiem nowoczesna, wyprzedzająca swoją epokę kobieta. Lesbijka, eksperymentująca aktorka, pisarka bez kompleksu ojca, antynazistowska aktywistka, korespondentka wojenna BBC, dziennikarka, która jako jedyna kobieta z oficjalną akredytacją i wstępem do więzienia relacjonowała przygotowania i przebieg procesów norymberskich, podróżniczka, która odbyła wyprawę dookoła świata, fanka motoryzacji, kierowczyni rajdowa, koneserka i namiętna palaczka papierosów.

Pod przykrywką

Postać pełna kontrastów, dla której najważniejszą wartością była wolność. Córka wielkiego pisarza noblisty, która przyjęła na siebie odpowiedzialność za losy jego spuścizny, zachowując przy tym własną, niezależną tożsamość. Nie była córeczką tatusia, choć Thomas Mann (1875–1955) obdarzył ją wyjątkowym uczuciem i szacunkiem, być może dlatego, że była jego pierwszym dzieckiem – urodziła się 9 listopada 1905 r. w Monachium. Jej narodziny w liście do brata skwitował jednak słowami: „Dziewczynka. Co za rozczarowanie”.

Miała pięcioro rodzeństwa: Klausa (1906–49), Gola (1909–94), Monikę (1910–92), Elisabeth (1918–2002) i Michaela (1919–77). Każde z nich było wybitne w swojej dziedzinie i wiodło nieszablonowe życie. Rodzina na emigracji przebywała od 1933 r.

Sam ojciec miał złożoną tożsamość seksualną. Zdaniem wielu badaczy jednym z wyraźniejszych przejawów jego homoseksualnych fantazji była napisana w 1912 r. „Śmierć w Wenecji”, w której dojrzały niemiecki pisarz zakochuje się w 14-letnim Polaku – Tadziu. Homoseksualna była też trójka dzieci Manna: Erika, Klaus i Golo. Dwóch synów, Klaus i Michael, popełniło samobójstwo.

Klaus podobnie jak ojciec został pisarzem, jednak w przeciwieństwie do niego był skandalistą, którego ▶

eprasa.pl 7b9ca5e5e4

▶ od najmłodszych lat spowijała aura dekadenckiej tajemniczości. Między 1927 a 1928 r. Klaus razem z Eriką odbyli awanturniczą międzykontynentalną wyprawę, którą opisali w książce „Dookoła świata. Przygody z podróży". Jego najsłynniejsza powieść „Mefisto", wydana po raz pierwszy w 1936 r. w Amsterdamie, opowiada o niemieckim aktorze, który dla sławy zaczyna popierać nazizm. W 1981 r. István Szabó zekranizował ją z Klausem Marią Brandauerem w roli głównej i otrzymał Oscara za najlepszy film nieanglojęzyczny.

Bohater powieści miał swój pierwowzór – był nim aktor Gustaf Gründgens, z którym Klaus pozostawał w związku. W 1926 r. Erika Mann została dla społecznej przykrywki żoną Gustafa. Pikanterii dodaje fakt, że Erika była wtedy związana z partnerką Gustafa – aktorką Pamelą Wedekind. Rozwód tej egzotycznej pary – Eriki i Gustafa – nastąpił w 1929 r., kiedy Gustaf ostatecznie rozstał się z Klausem. To właśnie w 1929 r. Thomas Mann otrzymał Nobla.

Brat Eriki, uzależniony od narkotyków, cierpiał na depresję. Zmarł śmiercią samobójczą w 1949 r., a jego pogrzeb zorganizowali Michael i Erika. Rodzice się na nim nie pojawili, chociaż byli wtedy w Europie, bo – inaczej niż w filmie – Tomaszowi towarzyszyła podczas tej podróży żona Katia, a nie Erika.

Rodzinne traumy

Golo Mann był historykiem, autorem wielu książek, w tym znanych biografii, doktorat poświęcony filozofii Hegla napisał pod okiem samego Karla Jaspersa. W wielu pracach poruszał wątek genezy niemieckiego nazizmu. Jego najsłynniejszym dziełem są „Niemieckie dzieje w XIX i XX w.". Od 2013 r. Towarzystwo Golo Manna przyznaje nagrody jego imienia za najlepszą pracę historyczną. W przeciwieństwie do brata Klausa ukrywał homoseksualizm, subtelnego coming outu dokonał kilka dni przed śmiercią jako 85-latek, mówiąc „Nie zakochuję się często. A jeśli już, to zachowuję to dla siebie. Może to był błąd, ale to było zakazane, nawet w Ameryce, trzeba było zachować ostrożność".

Golo nie założył własnej rodziny, jednak od 1955 r. utrzymywał 20-letniego studenta farmacji Hansa Becka, po czym adoptował go prawnie w 1972 r. Mężczyzna przyjął nawet jego nazwisko – Hans Beck-Mann. Hans zadał mu cios, kiedy przyprowadził do domu dziewczynę, późniejszą żonę, Ingrid. Ale kiedy zmarł przedwcześnie w 1986 r., to Ingrid Beck-Mann opiekowała się schorowanym Golem przez ostatnie dwa lata jego życia.

Monika Mann była pisarką i pianistką, studiowała muzykę i historię sztuki we Włoszech. Owdowiała już rok po ślubie w 1940 r. Jej mąż, również historyk sztuki, utonął w katastrofie brytyjskiego statku storpedowanego przez niemiecką łódź podwodną. Monika ocalała cudem po traumatycznym wielogodzinnym dryfowaniu – z 408 pasażerów przeżyło 148 osób. Od tej pory jej stan psychiczny znacząco się pogarszał, została umieszczona w zamkniętym ośrodku. Remedium na cierpienie okazało się proste – słońce, Włochy i miłość. Od 1954 r. wiodła spokojne życie na Capri u boku miejscowego rybaka Antonia, spędziła z nim ponad 30 lat i był to dla niej szczęśliwy okres. „Kocham życie" – pisała wielokrotnie. Wydała wtedy pięć książek. Najbardziej znaną jest jej autobiografia „Przeszłość i teraźniejszość". Po śmierci ukochanego w 1986 r. przeniosła się do domu Ingrid Beck-Mann (żony adoptowanego syna Gola), która sprawowała nad nią opiekę podobnie jak nad jej bratem.

Elisabeth Mann Borgese była politolożką, ekolożką nazwaną Matką Oceanów, działającą na rzecz ochrony mórz, założycielką Międzynarodowego Instytutu Oceanów. Kiedy miała 20 lat, wyszła za Giuseppe Borgesego – wiekiem zbliżonego do jej ojca, rozwodnika, włoskiego pisarza i germanistę, znawcę i wielbiciela twórczości Manna (co podobno zachwyciło pisarza).

Michael Mann, najmłodszy z rodzeństwa, był wyróżniającym się muzykiem, grał na skrzypcach i altówce, od 1942 do 1947 r. członek zespołu Orkiestry Symfonicznej San Francisco. Zawód muzyka był zmuszony porzucić z powodu rozwijającej się neuropatii i postępującej utraty czucia w palcach. Wybrał literaturoznawstwo – obronił doktorat na Harvardzie i w 1961 r. (mniej więcej w tym samym czasie co Czesław Miłosz) został profesorem w Berkeley. Cierpiał na liczne dolegliwości psychiczne. Jego problemy z agresją przejawiały się w przemocy – znęcał się nad swoją żoną Gretą. Popełnił samobójstwo tą samą metodą co Marilyn Monroe, przez koktajl barbituranów (leków nasennych i uspokajających) i alkoholu.

Erika, najstarsza z nich, przejawiała zdolności aktorskie, wybór studiów był dla niej oczywisty – w 1924 r. rozpoczęła naukę w szkole teatralnej w Berlinie. Brat Klaus inspirował ją do tego stopnia, że już w 1925 r. zagrała w napisanej przez niego sztuce, przy której powstawaniu poznała swoją przyszłą dziewczynę Pamelę i wspomnianego wcześniej chłopaka Klausa Gustafa. Cała czwórka (w tym Erika w męskim przebraniu) zaraz potem wyjechała we wspólną podróż poślubną. Po rozwodzie w 1929 r. z Gustafem i rozstaniu z Pamelą Erika związała się ze szwajcarską dziennikarką i fotoreporterką Annemarie Schwarzenbach, później z aktorką żydowskiego pochodzenia Theresą Giehse.

Antyfaszystka

W 1931 r., wyprzedzając dziesiątki mężczyzn, Erika ukończyła europejski rajd samochodowy, pokonując swoim Fordem 10 tys. km. Jej pilotem był oczywiście Klaus, ale to ona wiedziała więcej o motoryzacji. W wielu felietonach pisała o dyskryminacji kobiet, również tych za kółkiem. W autobiografii „Punkt zwrotny" Klaus napisał o siostrze: „Erika była przywódczynią naszej bandy. Była odważniejsza, bardziej przedsiębiorcza i znacznie bardziej elokwentna niż ja".

W 1933 r. założyła razem z Theresą Giehse i bratem antyfaszystowski kabaret w Monachium, kilka tygodni później musiała opuścić Niemcy. Była ostatnią z Mannów, która udała się na emigrację. Jak pozostali członkowie rodziny została przez nazistów pozbawiona obywatelstwa i wtedy wpadła na kolejny ekscentryczny pomysł. Jako apatrydka pragnąca brytyjskiego obywatelstwa oświadczyła się przyjacielowi gejowi, wybitemu pisarzowi Christopherowi Isherwoodowi, autorowi powieści „Pożegnanie z Berlinem" i „Samotny mężczyzna" (mistrzowsko zekranizowanej przez projektanta mody Toma Forda w 2009 r., z nominacją do Oscara dla Colina Firtha). Isherwood odmówił, ale wskazał kolegę – poetę W.H. Audena. Do historii przeszła odpowiedź poety na prośbę Eriki – „Jasne, od czego w końcu są pederaści".

Jej partnerka Theresa w podobnym trybie została żoną kolegi Audena. Od 1935 r. do śmierci Eriki pozostawali fikcyjnym małżeństwem. Auden uwielbiał szydzić z patosu Manna, powtarzając dowcip: „Kto jest najbardziej nudnym niemieckim pisarzem? Mój teść!". W 1937 r. Erika zamieszkała w Nowym Jorku nie z kim innym jak z Klausem i ze swoimi partnerkami, Theresą i Annemarie, rok później wydała z bratem rodzaj spisu niemieckiej emigracji „Uciekli, by żyć".

eprasa.pl 7b9ca5e5e4



Tomasz Mann (w środku) **z żoną Katią** (pierwsza z lewej) **i dziećmi: Moniką, Michaelem, Elisabeth, Klausem i Eriką, na wyspie Hiddensee, 1924 r.**
Poniżej: **Erika z bratem Klausem w 1930 r.**

W jednym z wygłoszonych w tym czasie wykładów wypowiedziała słowa, które przeszły do historii: „Teraz, gdy wolność zniknęła w tak wielu miejscach, a pokój jest zagrożony z tylu stron, słowa *pokój* i *wolność* odzyskały swój blask. Teraźniejszość wymaga od nas mistrzowskiej miłości do pokoju".

W czasie drugiej wojny światowej Erika została dziennikarką BBC w Londynie i korespondentką wojenną. Związała się wtedy w Normandii z amerykańską tancerką Betty Knox, która na tanecznej emeryturze z powodzeniem rozwijała karierę dziennikarki. Betty i Erika jako para pomagały sobie w pracy korespondentek wojennych w czasie D-Day w 1944 r.

Powiernica i sekretarka

3 lipca 1945 r. Erika wróciła do Berlina i przeżyła szok, widząc zniszczony dom rodzinny. Relacjonowała z oddaniem procesy norymberskie. Chorując już na płuca, przeprowadzała wywiady z obrońcami nazistów, celnie i bezlitośnie obalając ich argumenty. W 1946 r. poleciała do Ameryki opiekować się ojcem, pisała stamtąd wiele tekstów o sprawie niemieckiej, krytykowała powolność rozliczeń z nazistowskim systemem i denazyfikacji. „Jak mogliście pozwolić na samobójstwo Göringa?" – pytała.

W 1949 r. w Cannes samobójstwo popełnił jej ukochany brat Klaus, nie



mogła uczestniczyć w jego pogrzebie z powodu stanu zdrowia i braku pewności co do możliwości powrotu. W USA zaczął się już okres makkartyzmu – szalone polowanie na komunistów. Z powodu swojej orientacji seksualnej Erika była na amerykańskiej czerwonej liście. „Jak żyć mam, jeszcze nie wiem, wiem tylko, że muszę" – pisała po śmierci brata. Klaus w oczach Eriki „był istotą stworzoną ze światła i cienia, zbyt wrażliwą na brutalność czasów, w których przyszło nam żyć".

Kilka miesięcy po pogrzebie Klausa Katia Mann, żona Tomasza, przeszła operację zmniejszenia piersi. Jej biografowie zwracają uwagę, że anorektycznie szczupła kobieta upodabniała się do chłopca, by dopasować się do gustów męża.

W 1952 r. Erika z rodzicami przeprowadziła się ze Stanów do Szwajcarii. Za cel swojego życia postawiła sobie opiekę nad ojcem i spuścizną ukochanego brata. Przez ostatnie lata stała się powiernicą i sekretarką Thomasa Manna, który umarł 12 sierpnia 1955 r. w szpitalu w Zurychu w wieku 80 lat po pęknięciu tętniaka. W 1961 r. Erika wydała wspomnienia „Ostatni rok. Opowieść o moim ojcu". Uczłowieczyła go, odmalowała jako zwykłego śmiertelnika, rzemieślnika pracującego ciężko godzinami przy biurku, który nawet na łożu śmierci poprawiał swoje nieukończone teksty.

W 1956 r. Erika (wraz z matką) postarała się o powołanie Archiwum Thomasa Manna w Zurychu, przekazała tam jego notatki i potężny księgozbiór. Walczyła o ponowne wydanie „Mefista" Klausa. Już po jej śmierci, w 1981 r. powieść odniosła wielki sukces w RFN.

Erika zmarła w wieku 63 lat 27 sierpnia 1969 r. w szpitalu w Zurychu z powodu guza mózgu. Pochowano ją obok ojca.

KINGA STRZELECKA-PILCH

© ULLSTEIN/GETTY IMAGES, IMAGNO/GETTY IMAGES

eprasa.pl 7b9ca5e5e4



film

Trudno być pająkiem 4/6

Spider-Man: Całkiem nowy dzień,
reż. Daniel Destin Cretton, prod. USA, 145 min, już w kinach

Najsympatyczniejszy superbohater Nowego Jorku zaczyna karierę niejako od nowa: skoro – na skutek wydarzeń z poprzedniej części filmu – nikt nie pamięta, kto kryje się za maską Spider-Mana, Peter Parker ma wolną rękę do działania. Tęskniąc za utraconą miłością (w MJ ponownie wciela się Zendaya) i przyjaźniami, cały czas poświęca walce ze złem i pracom nad udoskonalaniem swojego kostiumu i gadżetów. Do czasu, kiedy w mieście pojawi się nowy wróg kontrolujący ludzkie umysły i co gorsza znający sekretną tożsamość Pająka. Po tylu filmach poświęconych Spider-Manowi trudno o jakieś zaskoczenia, kolejna produkcja siłą rzeczy musi być oparta na sprawdzonych schematach. Jednak w tym przypadku działają całkiem nieźle, zwłaszcza gdy rozpędzona niczym rakieta akcja zwalnia na chwilę, żeby skupić się na emocjach głównego bohatera. Peter Parker, po raz kolejny z wdziękiem zagrany przez **Toma Hollanda**, uczy się nie tylko kontroli nad głęboko tłumionym gniewem i agresją, lecz przede wszystkim życia z poczuciem straty. W ogóle superbohaterowie – na drugim planie pojawiają się m.in. Hulk i Punisher – są tu pokazani jako ludzie głęboko skrzywdzeni przez los, zmagający się z samotnością, w przemocy szukający ucieczki przed dawnymi traumami. Jak na superbohaterskie widowisko całkiem sporo tu poważnych tematów, niestety zbyt często przysłanianych fabularnym efekciarstwem.

JAKUB DEMIAŃCZUK

film

Okruchy wspomnień 4/6

Pejzaż w kolorze sepii
(Tôi yamanamino hikari)
reż. Kei Ishikawa, prod. Japonia, Polska, Wielka Brytania, 2025 r., 123 min



Bardzo inspirująca, wierna ekranizacja ambitnego powieściowego debiutu noblisty Kazuo Ishiguro z poetyckimi zdjęciami Piotra Niemyjskiego i nastrojową muzyką Pawła Mykietyna. W tym studium życia rozdartego pomiędzy dawnym ładem i nowym światem, jak w filmie nazywana jest radykalna przebudowa japońskiej tożsamości po drugiej wojnie światowej, obserwujemy losy starzejącej się wdowy mieszkającej w Londynie i jej córki urodzonej kilkanaście lat po zrzuceniu bomby atomowej na Hiroszimę i Nagasaki. Pełna tajemnic przeszłość starszego pokolenia, które nigdy nie poradziło sobie z druzgocącą klęską, zostaje skonfrontowana z pragnieniem poznania prawdy przez ich dzieci. W wyniku psychologicznego śledztwa prowadzonego przez dorosłą córkę bohaterki, próbującą się dowiedzieć, dlaczego jej przyrodnia starsza siostra popełniła samobójstwo, więcej ran i traum pozostaje ukrytych niż wypowiedzianych. Rozliczanie trudnej przeszłości nie ma wymiaru obrazoburczego, autor ekranizacji Kei Ishikawa zachowuje dystans. Zadowala się delikatną symboliką, grą lustrzanych odbić i alternatywnych życiorysów, nie wykraczając poza bezpieczny gatunek melodramatu, więc niektórzy widzowie mogą się poczuć lekko zdezorientowani. Warto włożyć jednak w ten film nieco więcej wysiłku, by docenić jego wieloznaczność i prawdziwie japońską powściągliwość.

Ekranizacja prozy noblisty Kazuo Ishiguro ma jego delikatny, pełen niedopowiedzeń styl

JANUSZ WRÓBLEWSKI

© COLUMBIA PICTURES /UIP, GUTEK FILM, CANAL+, DISNEY+, PAWEŁ CZARNECKI

eprasa.pl 7b9ca5e5e4



film

Do piekła i z powrotem 4/6

Hokum, reż. Damian McCarthy, prod. Irlandia, 107 min, Prime Video i inne serwisy VOD

Wśród tegorocznych premier horrorów łatwo przegapić „Hokum", zwłaszcza że w Polsce ominął kina i trafił bezpośrednio na rynek streamingowy. Na dodatek film Damiana McCarthy'ego może na pierwszy rzut oka wydawać się powtórką opatrzonych schematów. Oto cyniczny, zmagający się z blokadą twórczą pisarz Ohm Bauman (świetnie obsadzony **Adam Scott**) przyjeżdża do Irlandii, by rozsypać prochy rodziców, i trafia do obskurnego hotelu na odludziu, gdzie rzekomo uwięziona jest wiedźma, która porywała dzieci. Bauman, który w legendy nie wierzy, będzie musiał skonfrontować swój sceptycyzm z trudną do rozumowego zaakceptowania rzeczywistością. Z filmowych schematów McCarthy układa całość znacznie bardziej interesującą, niż wskazywałaby na to suma składników. Poczucie niepokoju buduje narastającą atmosferą osaczenia, a nie tandetnymi jump scare'ami, niepostrzeżenie przechodzi od bardzo czarnej komedii do egzystencjalnego horroru, a elementy ludowego mitu wykorzystuje jako środek prowadzący do celu. Bo „Hokum" jest tyleż straszną, ile przygnębiającą opowieścią o walce z traumą i obezwładniającym poczuciem winy, lecz także o szansie na odkupienie. Skonfrontowany z prawdziwym złem Bauman ma wreszcie możliwość dokonać rachunku sumienia i być może poradzić sobie z trudną przeszłością.

JD

serial

Wściekłe i metodyczne 4/6

Obsesja (Furious), twórczyni: Elizabeth Meriwether, 8 odc., Disney+

Twórczyni m.in. serii „Kwestia seksu i śmierci" – tyleż śmiałej i zaskakującej, co kontrowersyjnej – w nowym serialu znów stawia w centrum kobiety skrzywdzone i wściekłe. „Obsesja" – oryginalny tytuł „Furious", znacznie lepiej oddaje treść – jest luźno inspirowana filmem „Czarna wdowa" z 1987 r., ale silniej brzmią tu echa niedawnego hitu „Obiecująca. Młoda. Kobieta" Emerald Fennell czy serii „Obsesja Eve", a kontekstem są akta Jeffreya Epsteina i to, jak zamiata się sprawę pedofilii elit pod dywan. „Jestem wściekła" – mówi agentka FBI Nora Washington (Quincy Tyler Bernstine) po latach bezowocnego ścigania handlarzy nieletnimi. Ofiary przyrównuje do mitycznej Medei – skrzywdzone i pozbawione wsparcia stają się zarażone złem i wściekłe. Takie są też główne bohaterki – antagonistki, które wiele łączy. Alice (**Emmy Rossum**) odeszła z policji, bo gdy ujawniła, że jej chłopak policjant bił ją po pijaku, odwrócili się od niej wszyscy poza przyjacielem Dannym (Scoot McNairy); teraz pracuje w FBI w *call center*. Aż pojawia się sprawa zabójstw przedstawicieli nowojorskiej śmietanki. Stojąca za nimi Catherine (Lola Petticrew) metodycznie realizuje swój plan zemsty. „Obsesja" łączy ważne i intrygująco przedstawione tematy z akcją kryminalną, która wymaga od widza przymknięcia oka na pewne niedorzeczności. Rekompensatą są świetne kreacje aktorskie, sarkazm Nory, szorstkie ciepło Dany'ego, nieoczywisty związek Catherine i jeszcze wiele innych rzeczy.



ANETA KYZIOŁ

galeria

Burza z Francji 5/6

Nabiści. Prorocy nowej sztuki
Muzeum Łazienki Królewskie. Podchorążówka, Warszawa, do 15 listopada

Łagodny i harmonijny klimat dworskich ogrodów króla Stasia potrafi od czasu do czasu zakłócić silna artystyczna burza. Jak tym razem, gdy wdarła się tu buntownicza sztuka przełomu XIX i XX w. spod znaku nabistów, z historycznego punktu widzenia będących istotnym ogniwem pośrednim pomiędzy postimpresjonizmem a nurtami sztuki awangardowej. Jako formacja działali krótko (w latach 1888–99), ale mocno zamieszali w malarstwie swoich czasów. Doceniani w Europie, u nas są jakby słabiej znani, może dlatego, że nigdy wcześniej nie doczekali się tu osobnej wystawy. Ta ekspozycja trzyma się reguł Hitchcocka; zaczyna się od trzęsienia ziemi, a później napięcie rośnie. Otwierają ją bowiem wyśmienite prace wielkich gwiazd tego kierunku: „Słoneczna plama na tarasie" Maurice'a Denisa oraz „Piłka" Félixa Vallottona, doskonale ujawniające główne walory malarstwa nabistów: wyraziste barwne plamy, spłaszczenie perspektywy, widoczne kontury, dbałość o nastrój, dekoracyjność. A wśród blisko setki dzieł nie brakuje obrazów sław, od Paula Sérusiera czy Pierre'a Bonnarda poczynając, a kończąc na ciekawym rodzimym „wkładzie" twórców, którzy z nabizmu czerpali różnorakie inspiracje, od Władysława Ślewińskiego i Stanisława Wyspiańskiego, po Witolda Wojtkiewicza i Eugeniusza Zaka. Jak na polskie standardy to wyjątkowa malarska uczta, na którą warto się wybrać nie tylko przy okazji spaceru po Łazienkach.



PIOTR SARZYŃSKI

Maurice Denis, „Macierzyństwo przy oknie", 1901 r.

eprasa.pl 7b9ca5e5e4

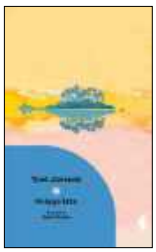

Możliwość wyspy 6/6

Tove Jansson, **Księga lata**, przeł. Halina Thylwe, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2026, s. 160



Wyspa jest niewielka, trochę dzika i tajemnicza, trochę przytulna. Daje schronienie i pozwala na ucieczkę od bolesnej rzeczywistości. Dla kilkuletniej Sophii – która po śmierci matki spędza tam wakacje z babcią i ojcem – to także miejsce nieustającej przygody. To, co zwyczajne, staje się niezwykłe, a lato sprawia wrażenie, jakby miało trwać bez końca, choć przemija nieubłaganie, znacząc kolejne dni zmianami w przyrodzie, przekwitaniem roślin, śmiercią małych istot. Wybitna proza Tove Jansson – w nowym, pięknym przekładzie Haliny Thylwe – to lektura, którą warto czytać wielokrotnie, bo za każdym razem będzie trochę inna. Opowieść o magii dzieciństwa i codziennym zachwycie rzeczywistością, lecz także o nieprzepracowanej żałobie, o smutku, który niczym czarne sztormowe chmury czai się gdzieś na horyzoncie, by nagle uderzyć z siłą huraganu. Uruchamia wspomnienia, wyciąga z niepamięci dziecięce fantazje, kłuje w serce igłami tęsknoty i nostalgii. Jest w „Księdze lata" melancholia i przenikliwy humor, uważność na drugiego człowieka i wrażliwość na naturę. Świat oglądany oczami Sophii i jej babci – które uwielbiają się bezgranicznie, choć nie umieją o tym mówić – wydaje się bogaty i złożony w swojej pozornej prostocie. Intymny, bo oparty na doświadczeniach pisarki i jej bratanicy, a zarazem uniwersalny, bo „zdumiewająco dużo ludzi nosi w sobie marzenie o wyspie". Skromne, niepozorne arcydzieło, być może najlepsza książka w całym dorobku Jansson, autorki kojarzonej przede wszystkim z „Muminkami".

JAKUB DEMIAŃCZUK

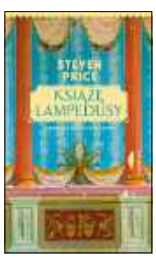

Ostatnie lata 4/6

Steven Price, **Książę Lampedusy**, przeł. Maciej Stroiński, Czarne, Wołowiec 2026, s. 340

Ostatnie lata życia Giuseppe Tomasiego di Lampedusy to czas nieuleczalnej choroby, rozedmy i pisania powieści „Il Gattopardo" (na polski tłumaczonej najpierw jako „Lampart", potem „Gepard"). Steven Price pokazuje starego księcia, który ściga się ze śmiercią i pracuje nad książką, której nikt nie chce wydać, bo wydawcy wątpią, żeby kogoś obchodziła historia upadającego rodu na Sycylii. Podczas pisania wraca do niego całe życie – postać matki, przeżywającej kolejne dramatyczne śmierci sióstr. Jedną z nich zabił kochanek. Wraca mit rodowej wyspy Lampedusy, na której wedle legendy mieszka potwór. Czasem sam czuje się tym potworem. Jego żona, psychoanalityczka (dobrze opisane jest tu życie starego małżeństwa), wspiera jego pisanie, widzi w nim zmaganie się z ciemnością i melancholią. Jednak „Il Gattopardo" nie jest autobiografią, choć pewne postacie noszą cechy bliskich ludzi – z tym mierzy się przybrany syn autora. Książka Price'a dobrze oddaje nie tylko proces pisania, ale też dynamikę życia literackiego, która jest zawsze taka sama: młodzi pisarze sądzą, że wymyślają literaturę na nowo, a wchodzą w dawne koleiny. Na ten świat literacki patrzy z dystansu stary Giuseppe, trochę śmieszny nieodkryty pisarz. Literatura i sława rozmijają się, tak jak to znamy z historii. Pisanie jest czymś innym, wewnętrzną podróżą. A nieśpieszny nurt opowieści Price'a i obrazy Sycylii sprawiają, że jest to lektura idealnie wakacyjna.

JUSTYNA SOBOLEWSKA



Groźnie, duszno, gorąco 4/6

Franziska Gänsler, **Lato bez końca**, przeł. Agata Teperek, Wydawnictwo Pauza, Warszawa 2026, s. 160

Niemieckie Bad Heim było kiedyś sielskim uzdrowiskiem, ale teraz jest sensacją, bo zmaga się z pożarami lasów. Lato jest już nieznośne i groźne. Iris prowadzi tu hotel, oczywiście pusty w sezonie, bo nawet prawo zakazuje kwaterować gości w warunkach zagrożenia. Co innego, jeśli przybywają osobiście, wtedy sankcje da się nieformalnie ominąć. Dorocie i jej kilkuletniej córce Iris nie potrafi odmówić pomocy. Nie wiadomo, skąd przybyły ani dokąd się udają, czy Bad Heim jest dla nich tylko przystankiem, czy może celem, ale ich relacje z gospodynią – tak jak klimat – z czasem się ocieplają. Uciekinierki mają jednak swoje tajemnice, a do hotelu zaczyna wydzwaniać mężczyzna, który najwyraźniej coś o nich wie. Iris musi zdecydować, czyją brać stronę i w którą opowieść uwierzyć. Są przesłanki, by wierzyć kobiecie, ale i są powody do niepokoju. Iris ma też własne rozterki, wspomnienia do poukładania. W niepozornej powieści napięcie narasta, są momenty grozy, samotności i solidarności rozbitków, również tych walczących o lepszy klimat na uboczu lasu. Miejsce, w którym kiedyś dało się zaczerpnąć powietrza, teraz jest klaustrofobiczne, duszne. Pytanie, co okaże się ważniejsze, bardziej naturalne: podejrzliwość czy potrzeba więzi, przyjaźni, może czegoś więcej. Te dwa żywioły u Gänsler stale się znoszą. A jest jeszcze trzeci, żywioł przyrody, górujący nad wszystkim. Powieść na jedno dobre posiedzenie. W upale zrobi jeszcze większe wrażenie.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

© PAP/EPA, KRISTY SPARROW/GETTY IMAGES/ABA, LESZEK ZYCH, HBO MAX, MP (4)

eprasa.pl 7b9ca5e5e4



nie przegap

Off Festival, Katowice, Dolina Trzech Stawów, 7–9 sierpnia

Kolejna edycja największej letniej imprezy poświęconej muzyce alternatywnej. W bardzo szerokiej definicji: od reprezentujących scenę alternatywną w historycznym tego słowa znaczeniu, efektownych koncertowo The Flaming Lips i Einstürzende Neubauten, poprzez gwiazdę elektronicznego popu **Oklou** i rapera Yung Leana, aż po klasyka muzyki brazylijskiej Arthura Verocaia, który wystąpi w towarzystwie AUKSO – Orkiestry Kameralnej Miasta Tychy. Warto zwrócić uwagę na całą paletę występów młodych polskich jazzmanów, duet Los Thuthanaka oraz poetę-wokalistę Joshuę Idehena. BCH

Prezydent Curtis, twórcy: James Siciliano i Dan Harmon, 10 odc., HBO Max



Jeszcze nie skończył się dziewiąty, bardzo udany sezon „Ricka i Morty'ego", a fani dostali spin off poświęcony postaci prezydenta Curtisa i jego doradcom, którzy wspólnie walczą z kolejnymi kryzysami – od dyplomatycznych skandali po zjawiska paranormalne. Nie ma mowy o mechanicznej powtórce pomysłów z oryginalnego serialu, ale ekscentryczny humor i nieprzewidywalne zwroty akcji od razu przypominają, w jak dziwacznym uniwersum jesteśmy. Rick i Morty pojawiają się gościnnie w pierwszym epizodzie, jednak prezydent Curtis radzi sobie świetnie także bez ich pomocy. JD



muzyka

O powstaniu po swojemu 5/6

Błażej Król, **Łączy nas…,**, al fine/Muzeum Powstania Warszawskiego



Prawdę mówiąc, **Błażej Król** zupełnie nie kojarzy mi się z muzycznym uświetnianiem kolejnej rocznicy powstania warszawskiego. Subtelny wokalista i kompozytor, autor bardzo osobistych tekstów piosenek, funkcjonujący w obszarach szeroko rozumianej alternatywy, nie mógł raczej mieć nic wspólnego z opowieściami o wojnie, martyrologii i opartej na tym tożsamości polskiej. A jednak album „Łączy nas…" w niczym nie koliduje z dotychczasową twórczością Błażeja. Nie jest żadnym ornamentem „akademii ku czci". Jest właśnie osobistym, intymnym nawet, wyznaniem o strachu, opresji, ucieczce. Jest próbą wyobrażenia sobie stanów emocjonalnych towarzyszących tzw. sytuacjom granicznym. Teksty takich piosenek jak choćby „Boję się zasnąć" czy pięknej ballady (wykonywanej z Andrzejem Piasecznym) „Byle dalej, gdzie indziej, nie tu" przekraczają dosłowność wojennego przeżycia, poddają się uniwersalizacji. Inne utwory bardziej formą (vide: chórek dziecięcy w piosence „Berek") niż samym tekstem budują napięcie i nastrój grozy. Jeszcze inne (np. „Miałem zabrać cię nad rzekę") sprawiają wrażenie luźnej impresji na temat apokaliptycznego czasu i zrujnowanego miejsca. Warto posłuchać, warto pomyśleć.

MIROSŁAW PĘCZAK

REKLAMA

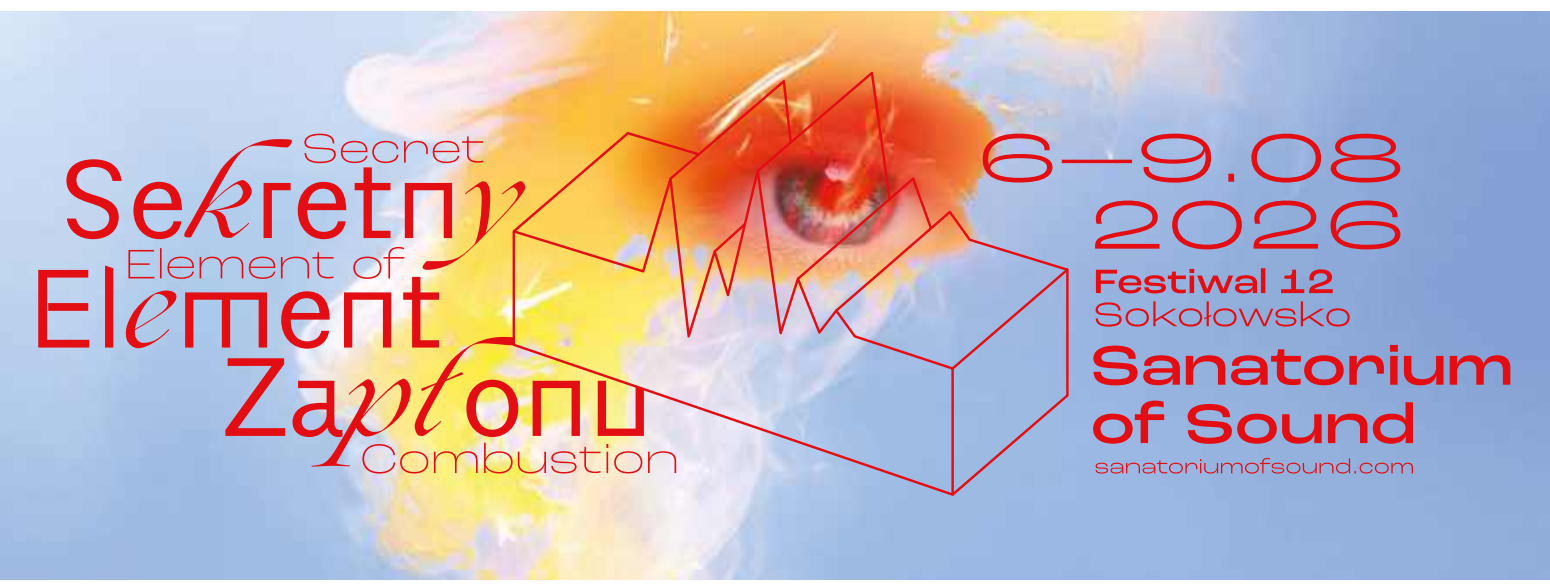

ORGANIZATOR: INSTYTUT

PATRONI MEDIALNI: TVP KULTURA, dwójka POLSKIE RADIO, SZUM, GAZETA.PL, wyborcza.pl, POLITYKA

eprasa.pl 7b9ca5e5e4



Widok na centrum Gdyni, w głębi po lewej Sea Towers.

Świat do zachowania

Gdynia dołączyła do najbardziej A tegoroczne wybory pokazują, co UNESCO uznaje za warte ochrony

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

Komitet Światowego Dziedzictwa podczas obrad 27 lipca w południowokoreańskim Busan uznał Gdynię, a konkretnie jej centrum, za świadectwo zastosowania idei modernizmu przy tworzeniu miasta i wpisał je na prestiżową listę światowego dziedzictwa UNESCO. To powód do dumy i potężna promocja turystyczna, ale i wyzwanie, o czym Gdynia przekonała się w ubiegłym roku, gdy jej kandydaturę odesłano do poprawki. Tym razem się udało, ale od teraz o nowych inwestycjach mogących wpłynąć na chroniony obszar trzeba informować UNESCO, by nie skończyć jak Liverpool. To brytyjskie miasto w 2004 r. świętowało wpis historycznego portu na listę, jednak 17 lat później zostało z niej wykreślone, ponieważ nowe inwestycje nieodwracalnie zmieniły historyczny krajobraz



eprasa.pl 7b9ca5e5e4



Modernistyczny budynek „okręt" z lat 30. XX w. przy ul. 10 Lutego. Dawna siedziba ZUS, obecnie urzędu miejskiego.

prestiżowego klubu zabytków świata. że coraz bardziej zasadne staje się pytanie, i zachowania dla przyszłych pokoleń.

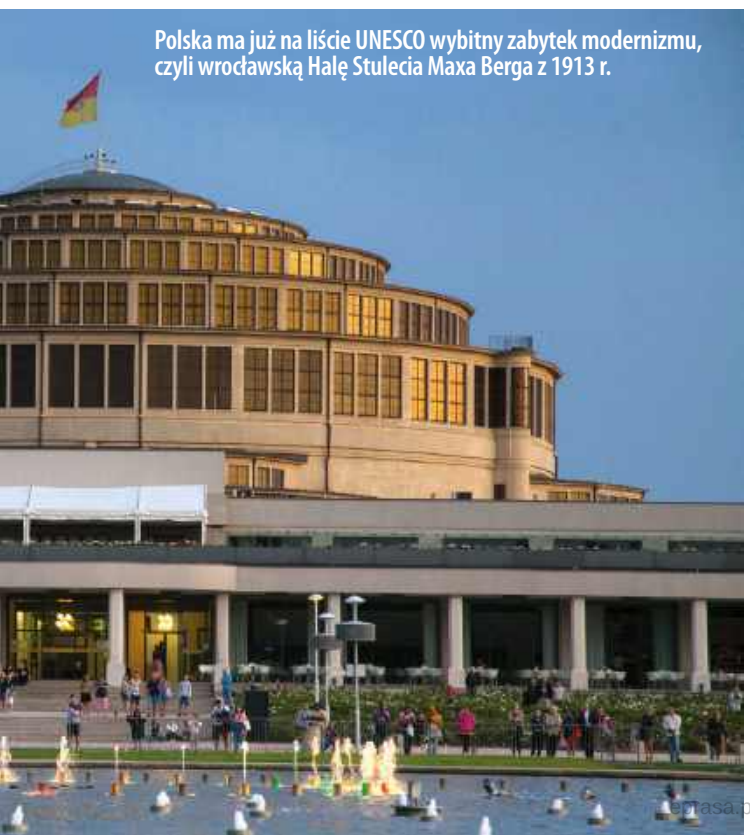

Polska ma już na liście UNESCO wybitny zabytek modernizmu, czyli wrocławską Halę Stulecia Maxa Berga z 1913 r.

© BARTOSZ T. WIELIŃSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL, PAP/JERZY UKLEJEWSKI, MARZENA HMIELEWICZ/FORUM

nabrzeża. Czy ochrona dziedzictwa ma oznaczać rezygnację z rozwoju? – pytały władze miasta. UNESCO odpowiadało, że rozwój nie może niszczyć tego, co zobowiązano się chronić. W tym sensie wpis na listę przypomina nie tyle nagrodę, ile umowę. Mimo to chętnych do jej podpisania jest co roku bardzo wielu.

Jak wejść do klubu

Procedura jest długa, kosztowna i czasami upolityczniona. Najpierw państwo umieszcza kandydata na swojej liście informacyjnej, potem musi udowodnić jego „wyjątkową uniwersalną wartość" (*Outstanding Universal Value*) jako „arcydzieła ludzkiego geniuszu, świadectwa kultury czy szczególnego przykładu architektury". Liczącą nieraz setki stron dokumentację zabytków kultury ocenia Międzynarodowa Rada Ochrony Zabytków i Miejsc Historycznych (ICOMOS), która może zalecić wpis, odrzucenie kandydatury albo poprawki, jak w przypadku Gdyni rok temu.

Ostateczną decyzję podejmuje jednak Komitet złożony z przedstawicieli 21 państw, przez co światowa polityka nie zawsze zostaje za drzwiami sali obrad. Przekonaliśmy się o tym w 2021 r. podczas starań o wpisanie Stoczni Gdańskiej jako miejsca narodzin Solidarności i symbolu upadku żelaznej kurtyny. Kandydatura była trudna, ponieważ dotyczyła historii niedawnej, której polityczne konsekwencje wciąż wpływają na Europę. ICOMOS wystawił jej negatywną opinię, kwestionując m.in. sposób wykazania uniwersalnego znaczenia wydarzeń z 1980 r. Podczas sesji okazało się, że część członków Komitetu nie zamierza bez dyskusji przyjmować rekomendacji ekspertów, jednak Rosja zażądała przerwania debaty, a prowadzący obrady przedstawiciel Chin to żądanie poparł. W rezultacie kandydaturę Stoczni odroczono bezterminowo, co oznacza, że znalazła się w proceduralnej próżni. ▶

epasa.pl 7b9ca5e5e4

▶ System nie jest doskonały i polityka zawsze będzie odgrywać tu pewną rolę, coś jednak udało się zmienić. Przez pierwsze dekady istnienia listy była ona wyraźnie europocentryczna, monumentalna i kamienna, czyli pełna katedr, pałaców, historycznych centrów miast i ruin wielkich cywilizacji. Dziś UNESCO zachęca do zgłaszania kategorii i regionów słabiej reprezentowanych. Dobrym przykładem jest tegoroczne wyróżnienie sześciu *roças* – XIX-wiecznych plantacji kawy i kakao z Wysp Świętego Tomasza i Książęcej, które uznano za warte chronienia materialne świadectwo gospodarki kolonialnej.

Coraz młodsze dziedzictwo

Ciekawe jest też, jak przesuwa się granica tego, co Komitet uznaje za zabytek. Rok temu na listę trafiły cztery rezydencje Ludwika II Bawarskiego, w tym Neuschwanstein – XIX-wieczna fantazja o średniowieczu, która sama zdążyła się stać częścią kultury masowej. Komitet uznał za dziedzictwo nie tyle odległą przeszłość, ile wyobrażenie o niej. Natomiast w tym roku UNESCO doceniło bardzo młodą architekturę.

Polska ma już na liście wybitny zabytek modernizmu, czyli wrocławską Halę Stulecia Maxa Berga z 1913 r., z rewolucyjną jak na swoje czasy żelbetową kopułą. Teraz dołączyła do niej Gdynia. Na liście UNESCO pojawiły się także uznane za przykład humanistycznego modernizmu – dopasowanego do krajobrazu, lokalnych tradycji i potrzeb użytkowników – budynki projektu architekta Alvara Aalto w Finlandii, z których ostatni ukończono raptem w 1988 r., oraz zespół budowli z Taszkientu. Gdy w 1966 r. trzęsienie ziemi zniszczyło miasto, jego odbudowa stała się wielkim projektem urbanistycznym ZSRR, jednak miejscowi architekci nie skopiowali wzorców z Moskwy, tylko wprowadzili własne, znacznie bardziej estetyczne i funkcjonalne rozwiązania. Te wybory świadczą o tym, że UNESCO chce ratować nie tylko zabytki światów, których już nie ma, ale także miejsca na tyle młode, że nie nauczyliśmy się jeszcze dostrzegać ich wartości.

Nie znaczy to, że odwraca się od archeologii. Niemal co roku na listę trafiają stanowiska archeologiczne. W 2019 r. był to Krzemionkowski Region Prehistorycznego Górnictwa Krzemienia Pasiastego (w skrócie: Krzemionki) jako zachowany krajobraz neolitycznego przemysłu, z kopalniami, warsztatami i osadami górników. W tym roku jego archeologicznym odpowiednikiem są pozostałości pałaców, świątyń buddyjskich i kurhany w Asuka i Fujiwara, które dokumentują narodziny scentralizowanego państwa japońskiego między 588 a 710 r.

Inny kierunek pokazują dwa francuskie wpisy. Plaże Normandii – 80 km wybrzeża ze śladami lądowania aliantów 6 czerwca 1944 r. – chronione są przede wszystkim jako krajobraz pamięci. Na listę trafił też system ośmiu wybudowanych przez Kapetyngów w średniowieczu w Langwedocji fortec, wśród których jest już figurujące tu od dawna Carcassonne. W jednym roku Francja dostała więc ochronę dla krajobrazu wojny sprzed 82 lat i systemu militarnego sprzed siedmiu–ośmiu stuleci. Podobną sztuczkę Komitet wykonał, wpisując na listę grecki Olimp. Tym razem UNESCO połączyło dwa porządki: przyrodę i kulturę. Góra jest niezwykłym ekosystemem, ale szczyt swoją sławę zawdzięcza starożytnym, którzy umieścili tam siedzibę Dzeusa i jego boskiej rodziny. Choć Grecy starali się o wpis od dawna, moment na przyznanie wyróżnienia okazał się doskonały, bo opisani przez Hezjoda i Homera bogowie znów są na topie za sprawą filmowej „Odysei" Christophera Nolana. A sama lista z rankingu najpiękniejszych zabytków świata staje się katalogiem tego, co z przeszłości chcemy przekazać dalej.

Wartość wpisu

Logo UNESCO działa jak międzynarodowy certyfikat jakości, więc lokalne władze liczą na przypływ turystów, nowe miejsca pracy i inwestycje. Tylko że przegląd 53 badań z lat 2000–25 pokazuje, że wpis nie zawsze jest turystyczną magiczną różdżką. Dobrze to widać w Chinach. Badanie obejmujące chińskie obiekty światowego dziedzictwa nie wykazało, by sam wpis powodował istotny wzrost wpływów z turystyki. Trudno się zresztą dziwić w przypadku takich ikon jak Wielki Mur czy Zakazane Miasto, które świat znał od dawna. Ciekawszy jest przykład liczącego ok. 1,8 tys. km Wielkiego Kanału Chińskiego, przez stulecia będącego główną arterią transportową cesarstwa. Tegoroczne badanie 86 leżących wzdłuż niego miast nie wykazało, by wpis z 2014 r. spowodował wzrost liczby zwiedzających.

Są jednak miejsca, dla których korzyści są wyraźne. 10 lat po wpisaniu na listę wzgórz, domów i piwnic Szampanii tamtejsza branża turystyczna zatrudnia o 30 proc. więcej ludzi niż w momencie uzyskania statusu. „Efekt UNESCO" zauważono też w Krzemionkach, które w wakacje 2019 r. odwiedziło o ok. 10 tys. osób więcej niż w analogicznym okresie w poprzednich latach. Podobnie w Tarnowskich Górach, w których w pierwszym roku po wpisie (2017 r.) tamtejszą kopalnię rud ołowiu i srebra oraz odwadniającą Sztolnię Czarnego Pstrąga zwiedziło ponad 170 tys. osób, czyli prawie 40 tys. więcej niż rok wcześniej. Nie wiadomo tylko, jaka część tego sukcesu to zasługa wpisu, a jaka pieniędzy i pracy włożonych w wykorzystanie nowej marki.

Czy teraz do Gdyni zaczną zjeżdżać autokary wielbicieli międzywojennego funkcjonalizmu? Wiele zależy od tego, jak miasto swój modernizm pokaże. Ma jednak szansę przyciągnąć turystów, którzy tłumnie zwiedzają Gdańsk, a jego – co wielu niezmiennie dziwi – nadal nie ma na liście. Zysk z wpisu nie musi się zresztą wyrażać liczbą turystów. UNESCO wskazuje również na wzrost społecznej i politycznej świadomości wartości miejsca, dzięki czemu łatwiej zdobywać fundusze na jego ochronę, konserwację czy lepsze udostępnienie. Nie oznacza to, że wraz z dyplomem pod ratusz podjeżdżają ciężarówki pieniędzy na remonty zabytków, choć status jest mocnym argumentem przy staraniu się o nie.

Pożądana przez władze masowa turystyka jest kłopotliwa, ponieważ niszczy dokładnie to, co chcemy chronić. Jeśli komitet UNESCO uzna, że zagrożenie jest poważne, może przenieść obiekt na listę światowego dziedzictwa w zagrożeniu. Tę żółtą kartkę dostają nie tylko zabytki na terenach objętych konfliktami zbrojnymi, jak te w Ukrainie czy Syrii. Od 2017 r. ma ją również historyczne centrum Wiednia – UNESCO uznało, że plany wysokiej zabudowy zagrażają historycznej sylwetce miasta. W tym roku palestyńska Sebastia – stanowisko archeologiczne związane m.in. ze starożytną Samarią – dostała żółtą kartkę równocześnie z wejściem do klubu. Za zagrożenie uznano pogarszający się stan zabytków oraz efekty trwającego konfliktu i działań izraelskich na Zachodnim Brzegu.

Lista zagrożonych nie jest karą, lecz narzędziem nacisku i mobilizacji, często rozpoczynającym wieloletnie negocjacje między UNESCO a państwem. Jeżeli jednak zmiany okazują się nieodwracalne, można dostać czerwoną kartkę, co zdarzyło się w 2007 r., gdy wykreślono z listy rezerwat antylopy – oryksa arabskiego,

© CEZARY WOJTKOWSKI/SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 7b9ca5e5e4



Kościół Pokoju w Jaworze. To polski zabytek światowego dziedzictwa, choć powstał na habsburskim Śląsku dla niemieckojęzycznych luteranów.

którego chronioną powierzchnię władze Omanu zmniejszyły o 90 proc., chcąc na tym terenie wydobywać ropę i gaz. A w 2009 r. podobny scenariusz miał miejsce także w Dolinie Łaby w Dreźnie, gdy wybudowano tam czteropasmowy most przecinający chroniony krajobraz, oraz we wspomnianym Liverpoolu. Te trzy przypadki na ponad 1,2 tys. obiektów pokazują, że UNESCO nie rozdaje czerwonych kartek pochopnie, ale dowodzą jednocześnie, że łatwiej jest chronić opuszczoną świątynię, jaskinię czy stanowisko archeologiczne, trudniej zaś całe miasta i krajobrazy, gdzie żyją ludzie.

Po wpisaniu na listę Krzemionek pojawił się konflikt dotyczący planów wydobywania wapienia i budowy nieopodal farmy fotowoltaicznej. Dla gminy oznaczały one konkretne korzyści gospodarcze, dla Komisji – ryzyko naruszenia zachowanego od ponad 5 tys. lat krajobrazu przemysłowego. UNESCO nie rozwiązuje takich sporów, zmusza jednak do tego, by w rachunku ekonomicznym uwzględnić jeszcze jedną wartość, której nie da się łatwo przeliczyć na pieniądze.

Światowe, choć nasze

W Polsce mamy na liście 18 obiektów, z czego aż 16 to zabytki kultury. Są wśród nich takie oczywistości, jak centra Krakowa, Warszawy i Zamościa, Malbork czy Wieliczka i Bochnia, ale i miejsca mniej znane. Jest także Auschwitz-Birkenau. Polskie wpisy dobrze pokazują jeszcze jedną rzecz, którą coraz mocniej widać na liście UNESCO – dziedzictwo rzadko daje się zamknąć w granicach jednego współczesnego narodu. Świetnym przykładem są Kościoły Pokoju w Jaworze i Świdnicy. Gdy po wojnie 30-letniej katolicki cesarz Ferdynand III Habsburg pozwolił śląskim protestantom wznieść świątynie, postawił im restrykcyjne warunki: miały stanąć poza murami miast, bez wież, z nietrwałych materiałów – drewna, gliny i słomy. W rezultacie powstały konstrukcyjne cuda: niepozorne z zewnątrz, barokowo olśniewające w środku i zdolne pomieścić po kilka tysięcy wiernych. To polskie zabytki światowego dziedzictwa, choć powstały na habsburskim Śląsku dla niemieckojęzycznych luteranów.

Jeszcze dosłowniej współczesne granice przekracza Park Mużakowski, rozciągający się po obu stronach Nysy Łużyckiej. Stworzony w XIX w. przez księcia Hermanna von Pückler-Muskau „obraz malowany roślinami" jest wspólnym wpisem Polski i Niemiec. Podobnie osiem drewnianych cerkwi w polskich Karpatach należy do jednego wpisu z ośmioma świątyniami po stronie ukraińskiej. Powstawały dla społeczności prawosławnych i grekokatolickich, przede wszystkim Rusinów – Bojków, Łemków i innych karpackich grup – których świat przecięły później granice państwowe, przesiedlenia i akcja Wisła.

Można więc tego lata urządzić sobie polskie tournée po światowym dziedzictwie, pomijając oczywistości. Przy okazji okaże się, że lista UNESCO opowiada o Polsce jako o miejscu, w którym spotykały się katolicyzm, protestantyzm, prawosławie i grekokatolicyzm, wpływy polskie, niemieckie, ruskie i habsburskie, a granice kultur znacznie rzadziej pokrywały się z granicami państw, niż chcielibyśmy dziś pamiętać.

I może właśnie to jest największa wartość tej listy. Nie tworzy ona rankingu najpiękniejszych miejsc świata ani katalogu narodowych powodów do dumy. Przypomina raczej, że dziedzictwo jest wspólne; nawet jeśli stoi dziś po jednej stronie granicy, powstało dzięki ludziom mówiącym innym językiem albo opowiada historię, z której niekoniecznie jesteśmy dumni. Wpis UNESCO nie tyle jest więc odpowiedzią na pytanie, do kogo należy przeszłość, ile bardziej zobowiązaniem, by przekazać ją dalej.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

eprasa.pl 7b9ca5e5e4



Matt Damon z pochodzącą z Argentyny żoną Lucianą Barroso. Są małżeństwem od dwóch dekad.

Wojownik z sąsiedztwa

W roli Odyseusza w hicie Christophera Nolana Matt Damon widzi zwieńczenie 30-letniej kariery. Ale broni składać nie zamierza, bo wciąż czuje misję zmieniania świata.

ANETA KYZIOŁ

Film „Odyseja" jest globalnym hitem, od premiery zarobił ponad 911 mln dol. W sieci wciąż trwają spory o nolanowskie odczytanie Homera (opisywaliśmy je w poprzedniej POLITYCE). Najnowszą odsłonę napędzają: zrównująca obraz z ziemią („brakuje mu głębi psychologicznej, emocjonalnej, politycznej i etycznej") recenzja prof. Emily Wilson, brytyjskiej starożytniczki i autorki pierwszych kobiecych tłumaczeń na angielski „Iliady" i „Odysei", oraz równie bezkompromisowa i brutalna odpowiedź pisarki Joyce Carol Oates.

Podczas gdy można dyskutować o wizji Nolana, nie sposób reżyserowi odmówić konsekwencji w jej przeprowadzeniu. Jego „Odyseja" jest opowieścią skrojoną pod współczesną wrażliwość, odbija się w niej dzisiejszy świat; historią o tym, że wojny uderzają także w tych, którzy je wywołali i nawet, jak im się wydaje, wygrali. To przesłanie także dla Ameryki Donalda Trumpa. Nolan obsadził film hollywoodzkimi gwiazdami, bo – jak tłumaczył w „Los Angeles Times" – „ich znajome twarze pomogą współczesnej publiczności poczuć się w starożytnej historii jak w domu".

Matta Damona zatrudniał wcześniej do mniejszych ról w „Interstellarze" i „Oppenheimerze" (zagrał tu gen. Leslie Grovesa, dyrektora Projektu Manhattan). Postać Odyseusza – kochającego męża i ojca, i targanego wyrzutami sumienia żołnierza, do którego dociera ogrom krzywd, jakie wyrządził, i który rozumie, że jego wygrana jest w istocie klęską – pisał już z myślą o nim. „Ma tak świetny kontakt z publicznością, że wciąga ją w swoją rolę. A do tej bardzo złożonej postaci potrzebny był aktor, który znika w kolejnych rolach. Chcesz, żeby widzowie poszli za Odyseuszem, mimo jego błędów – a on popełnia ich wiele. Matt był zwykłym człowiekiem w »Marsjaninie«, kimś w rodzaju superbohatera w filmach o Jasonie Bournie, a Odyseusz jest po części zwykłym człowiekiem, po części

eprasa.pl 7b9ca5e5e4





Z Benem Affleckiem w „Buntowniku z wyboru", 1997 r. Po prawej: **jako targany wyrzutami sumienia nolanowski Odyseusz.**

superbohaterem" – wyjaśniał w „Los Angeles Times".

Do Odyseusza doprowadzili Matta Damona bohaterowie, których zagrał przez trzy dekady swojej kariery, ale z nolanowskim odczytaniem tej postaci rymuje się także pozaekranowy wizerunek aktora. Damon w filmach łączy charyzmę i inteligencję z umiejętnością używania pięści i broni, w rzeczywistości – status gwiazdy z urokiem chłopaka z sąsiedztwa i męskość z rodzinnością. Z pochodzącą z Argentyny Lucianą Barroso, którą poznał, gdy pracowała jako barmanka w Miami, są małżeństwem od dwóch dekad i wychowują cztery córki.

W skrócie – jeśli Odyseusz Nolana miał być swoistym everymanem plus, kimś, komu chce się towarzyszyć i w kim widzi się „swojego człowieka", to Matt Damon jest „naszym człowiekiem" od 30 lat.

Filmowa ekspedycja

W jednym z podkastów aktor wspominał pierwsze spotkanie z Christopherem Nolanem w sprawie „Odysei": „Chris powiedział: »Ten film będzie trudny«. Spojrzałem na niego i odpowiedziałem: »Zrobiłem już, nie wiem, jakieś 80 filmów«. A on na to: »Nie. Ten film będzie naprawdę trudny«. Trzeba mu oddać, że nie kłamał" – żartował.

Trzymiesięczna praca na planie bardziej przypominała ekspedycję niż kręcenie filmu. Żadnych sztuczek komputerowych, żadnych green screenów, wszystko, co widać przez trzy godziny na ekranie, wydarzyło się przed kamerą. Kręcili w Grecji, we Włoszech, w Maroku na Saharze Zachodniej, w Szkocji, Islandii i na morzu, w górach, w jaskini i na pustyni. Scena, w której Odys, przywiązany do masztu, przechodzi pod wpływem śpiewu Syren swoiste załamanie nerwowe i uświadamia sobie swoje winy, powstawała trzy dni. Reżyser wyłożył Damonowi, o czym była pieśń Syren (nie słyszymy jej słów), aktor dołożył własne, prywatne sprawy – efektem jest jedna z najmocniejszych emocjonalnie scen filmu.

Kolejnym wyzwaniem była praca z kamerami IMAX. Są bardzo głośne, więc żeby aktorzy mogli prowadzić dialog, zbudowano odpowiednie wygłuszenie. Ale są też wielkie, więc żeby mogli utrzymywać kontakt wzrokowy podczas ujęcia, stworzono specjalny system luster. Do tego kamery mogą nagrywać jednorazowo jedynie około dwóch i pół minuty materiału, jeśli więc scena trwała dłużej, aktorzy musieli zastygać w pozycjach na czas załadowania kolejnej taśmy, następnie cofać się, dla rozgrzewki, o kilka kwestii, aż padała komenda „akcja!" i mogli kręcić kolejne dwie i pół minuty filmu.

Osobnym wyzwaniem dla 55-letniego Damona była transformacja ciała: pół roku diety i treningów na siłowni oraz konieczność wyhodowania długiej, siwej brody i zapuszczenia włosów. „Każdy miał swój krzyż do niesienia" – żartował. Większość scen walk odgrywał sam, tylko w bitwie z olbrzymami zastąpiła go kaskaderka Devyn Dalton, właścicielka „najlepszych ramion, jakie kiedykolwiek widziałem", chwalił jej muskulaturę aktor.

Jednocześnie kręcenie „Odysei" przypomniało Damonowi jego pierwsze kroki w karierze. Konieczność oswojenia się z pracą kamery, z obecnością kilkudziesięciu osób podczas ujęcia. I skłoniło do spojrzenia na swoją drogę w zawodzie i drogę, jaką przeszedł w tym czasie biznes filmowy. Dla filmu, o którym myślał, że będzie wielkim dziełem i przepustką do kariery – „Geronimo: amerykańska legenda" Waltera Hilla z 1993 r. – zrezygnował ze studiów na Harvardzie, semestr przed dyplomem. Nie wyszło. Do roli w kolejnym – „Szalonej odwadze" Edwarda Zwicka z 1996 r. – schudł 18 kg, mimo że pojawiał się tylko w kilku scenach. Był zrozpaczony, że jego poświęcenie nie zostało należycie docenione. A teraz zagrał główną rolę w najbardziej dyskutowanym filmie ostatnich lat.

Bitny wrażliwiec

Mówi o sobie: typowy przedstawiciel lewicowej klasy średniej. Dorastał w Cambridge, jego ojciec był maklerem giełdowym, a matka profesorką wychowania wczesnoszkolnego. Zaprzyjaźniła się z mieszkającą dwie przecznice dalej nauczycielką w niższych klasach i działaczką społeczną, a wkrótce też zaprzyjaźnili się ich synowie: Matt miał wtedy dziesięć lat, a Ben Affleck osiem, połączyło ich marzenie o aktorstwie.

Ojciec Afflecka, choć na życie zarabiał, m.in. szefując woźnym na słynnej MIT, przez lata był związany z jedną z bostońskich trup teatralnych. Przez niego poznawali środowisko, potem jeździli do Nowego Jorku na castingi, łapali epizody i czekali na przełomowe role. A w końcu, z desperacji, sami je sobie napisali.

Scenariusz „Buntownika z wyboru" („Good Will Hunting") swój początek ▶

© LLOYD BISHOP/NBC/GETTY IMAGES, MP, MELINDA SUE GORDON/UNIVERSAL PICTURES

eprasa.pl 7b9ca5e5e4

▶ miał w zadaniu na zajęcia z dramatopisarstwa na studiach Matta na Harvardzie, potem drogą aktorskich improwizacji rozwinęli go z Benem, bazując na kinie niezależnym lat 90., doświadczeniach własnych i bliskich osób. Historia młodego, pełnego gniewu geniusza matematycznego z nizin społecznych, pracującego jako woźny na MIT i co rusz pakującego się w kłopoty, do którego pomocną dłoń wyciągają profesor matematyki (Stellan Skarsgård) i psychoterapeuta (Robin Williams), choć prosta i mało oryginalna, trafiła – nie bez przeszkód – na ekrany i, jak się szybko okazało, w swój czas. Wyreżyserowany przez Gusa Van Santa i zagrany z energią przez młodych aktorów film rozbił w 1997 r. box office i otrzymał m.in. dziewięć nominacji do Oscara, w tym dla Damona za główną rolę, które ostatecznie zamieniły się w statuetki dla Robina Williamsa za rolę drugoplanową i dla scenarzystów. Damon miał wtedy 27 lat, Affleck – 25 i był najmłodszym laureatem Oscara w tej kategorii, na galę przyszli w towarzystwie swoich matek.

„Buntownik z wyboru" ustawił aktorskie kariery obu. Choć może stało się to wcześniej? W jednym z wywiadów w 1997 r. Ben Affleck, wskazując na przyjaciela, powiedział: „On jest wojownikiem, a ja błaznem". Damon stał się etatowym odtwórcą ról inteligentnych i bitnych wrażliwców, którym kibicujemy nawet, gdy ambicja prowadzi ich na manowce.

Już w 1998 r. będzie tytułowym szeregowcem Ryanem w wojennym obrazie Stevena Spielberga, w następnym roku – utalentowanym panem Ripleyem w równie legendarnym filmie Anthony'ego Minghelli według stylowego thrillera Patricii Highsmith. W nowym wieku dorzuci m.in. kolejne filmy o agencie CIA prowadzącym śledztwo w sprawie własnej tożsamości Jasonie Bournie, w serii nazywanej „franczyzą dla myślących". I kolejne z cyklu o włamywaczach gentlemanach „Ocean's". Zagra z Leonardo DiCaprio duet antagonistów w „Infiltracji" Martina Scorsese, młodego kochanka Wielkiego Liberace w biograficznym filmie Stevena Soderbergha.

Zdobędzie też kolejne nominacje do Oscara, które jednak nie przełożą się na nagrody: za główną rolę w „Marsjaninie" Ridleya Scotta i za drugoplanową kapitana reprezentacji rugby RPA Francois Pienaara w biograficznym dramacie społecznym w reż. Clinta Eastwooda (z Morganem Freemanem w roli Nelsona Mandeli), a także jako współproducent niezależnego dramatu „Manchester by the Sea" w reż. Kennetha Lonergana. Za to Oscara za główną rolę w tym filmie otrzymał Casey Affleck, młodszy brat Bena.

Ben Affleck w „Buntowniku z wyboru" zagrał oddanego najlepszego przyjaciela głównego bohatera, jego Chuckie pod maską tupeciarza i błazna skrywał wrażliwość i gorzką samoświadomość. Zaraz po „Buntowniku" Affleck zagrał w gwiazdorskim „Armageddonie" Michaela Baya, widowisku tyleż rozbuchanym, co kiczowatym, a potem w jego karierze dominować będzie kino popcornowe, pojawią się też nominacje do Złotych Malin, antynagród za najgorsze role i filmy. Zaliczy dwa małżeństwa z gwiazdami i dwa rozwody oraz kilka odwyków. Ale też zacznie reżyserować i jego „Operacja Argo" otrzyma Oscara za najlepszy film 2012 r.

Od aktora do reżysera

Damon i Affleck nigdy nie zapomnieli, jak trudne było przebijanie się do zawodu, pierwsze desperackie lata, chwytanie się każdej możliwości pracy, wpatrywanie w telefon, który nie dzwoni. Damon lubi wspominać rozmowę z Tomem Cruise'em po gali Oscarów w 1997 r. i odkrycie, że nawet wielka gwiazda nie ma poczucia zawodowego bezpieczeństwa – każda kariera może się szybko skończyć. Dlatego bardzo wcześnie zaczęli myśleć o tym, jak samemu organizować sobie możliwość pracy, a przy okazji także innym.

Zakładali kolejne studia producenckie, produkowali filmy, ale też współtworzyli, współprodukowali i byli gospodarzami serialu dokumentalnego „Project Greenlight" („Młodzi filmowcy", HBO Max, potem Bravo, cztery sezony nadawane w latach 2001–23), w którym początkujący filmowcy dostawali szansę realizacji filmu.

Mają na koncie m.in. takie produkcje jak „Ostatni pojedynek" w reż. Ridleya Scotta z 2021 r. – osadzony w średniowiecznej Francji, oparty na faktach zaskakujący dramat, do którego także napisali scenariusz i w którym zagrali, bawiąc się przy okazji swoimi wizerunkami. Czy dwa lata późniejszy, wyreżyserowany przez Afflecka, „Air" o kulisach kontraktu reklamowego Michaela Jordana z firmą Nike w latach 80. W tym roku zaś na Netflixie miał premierę policyjny akcyjniak „Łup" w reż. Joe Carnahana. Stał się głośny z powodu wywiadu promocyjnego, podczas którego Damon rzucił, że platforma miała sugerować twórcom, żeby wzięli pod uwagę, iż wielu widzów ogląda filmy, jednocześnie scrollując media społecznościowe, więc nie zaszkodzi w dialogach co jakiś czas tłumaczyć im akcję.

Nie zapominają też, z jakiego środowiska się wywodzą. Kiedy się okazało, że ich dziecięce marzenie o aktorstwie nie mija wraz z wiekiem, matka Matta pytała: ale jak to ma pomóc ludziom? Odpowiedzią jest używanie sławy do promocji charytatywnych inicjatyw i prowadzenie firm w zgodzie z zasadami etyki. Damon jest współtwórcą organizacji non profit water.org, która zajmuje się pozyskiwaniem środków od korporacji na dostarczanie bezpiecznej i taniej wody oraz sanitariatów do krajów rozwijających się. W zamian aktor występuje w reklamach firm donatorów. W 2021 r. na tej zasadzie reklamował platformę do obrotu kryptowalutami, co wywołało falę krytyki. Prowadzone przez Damona i Afflecka niezależne studio Artists Equity mogło się ostatnio pochwalić nie tylko tym, że ich najnowsza produkcja, wspomniany „Łup", okazała się hitem, ale też tym, że dzięki umowie wynegocjowanej z Netflixem premie z tego tytułu otrzyma cała ekipa, także jej techniczna część, zwykle w takich sytuacjach pomijana.

Więc choć Matt Damon w roli Odyseusza widzi ukoronowanie swojej aktorskiej kariery, a w samej „Odysei" łabędzi śpiew kina, które go ukształtowało – robionego z rozmachem, bez użycia efektów komputerowych i dla dorosłych widzów – to o emeryturze jeszcze nie myśli. W jednym z podkastów mówił, że czuje się niesamowitym szczęściarzem: „Nie miałem przez te 30 lat ani jednego złego doświadczenia na planie. Nawet jak filmy się nie udawały z tego czy innego powodu, to kręcenie było świetne, wiele się uczyłem, poznawałem ludzi". W swojej karierze zawsze podążał za reżyserami. „Scenariusz jest bardzo ważny, ale film to medium reżysera" – tłumaczy. I choć wciąż kocha grać, to coraz bardziej ciągnie go do roli kreatywnego producenta i reżysera.

A po filmie Nolana została mu dieta bezglutenowa i umiejętność naciągania łuku. Ćwiczył ją do filmu przez kilka miesięcy, tysiące powtórek. Aktorstwo uczy cierpliwości.

ANETA KYZIOŁ

eprasa.pl 7b9ca5e5e4

Kameralnie przed kamerą

Kino to rzemiosło. Trzeba je zbudować z odpowiednich klocków i wtedy działa – mówi Maciej Cuske, którego nowy dokument „Kandydaci śmierci" trafia właśnie na wielkie ekrany.



Maciej Cuske (ur. 1972 r.) – reżyser, scenarzysta, twórca filmów dokumentalnych. Laureat nagród m.in. na Docs Against Gravity oraz Krakowskim Festiwalu Filmowym. Za swój poprzedni film „Wieloryb z Lorino" był nominowany do Paszportu POLITYKI, otrzymał również Orła dla najlepszego filmu dokumentalnego.

© LESZEK ZYCH

JAKUB DEMIAŃCZUK: **– „Kandydaci śmierci" wzięli swój tytuł od serii amatorskich horrorów, które przez kilkanaście lat kręcił pan na wakacjach z synem Stanisławem i jego dwoma przyjaciółmi, Rafałem Waraczewskim i Adrianem Weberem. Na film składają się materiały wtedy nagrane, ale też te z nowej wyprawy, którą odbyliście niedawno, po długiej przerwie.**

MACIEJ CUSKE: – W jakimś stopniu zrobiłem ten film właśnie po to, żeby ta nasza tradycja wakacyjnych wyjazdów filmowych nie umarła. Jeździliśmy kręcić horrory co roku, ale którymś razem nie udało nam się zebrać, żeby zrealizować dziesiątą część „Kandydatów śmierci". Chłopcy dorośli, zaczęli studiować, pracować w wakacje.

I wtedy chyba to ja najbardziej odczułem brak tych wyjazdów. Zdałem sobie sprawę, jak bardzo niezwykłe było to, co razem robiliśmy. Wcześniej traktowaliśmy nasze wyjazdy jako fajne wakacje, jednak fakt, że co roku udawało nam się zebrać całą drużynę, robić wspólnie szalone rzeczy, kręcić za każdym razem nowy film, naprawdę był niezwykły.

Zrodziła się więc we mnie w chwili kryzysu idea, żebyśmy zebrali się jeszcze raz i nakręcili być może ostatnią część. Mieliśmy symbolicznie zamknąć naszą serię. Potrzebowałem tego może bardziej od nich, ale gdy spotykamy się dziś z publicznością, gdy oglądamy wspólnie nasz film, to za każdym razem widzę, że i chłopcy bardzo mocno go przeżywają. A przede wszystkim ta dziesiąta część otworzyła szansę na realizację kolejnych odcinków.

Często sięga pan po materiały z prywatnego archiwum rodziny. W „Pamiętaj, abyś dzień święty święcił" korzystał pan z nagrań z komunii Stanisława, „Daleko od miasta" było zapisem dzieciństwa chłopców, kręconym właśnie podczas waszych wyjazdów filmowych. Nieustannie musi pan decydować, gdzie przebiega granica między prywatnością a tym, co można wystawić na widok publiczny. W „Kandydatach śmierci" dotyczy to nie tylko młodych bohaterów, lecz także pana. Nie bał się pan obnażać przed widzami swoich emocji?

Nie, choć na pewno obawiam się przekroczenia jakiejś granicy infantylności albo egotyzmu. Nie chciałbym sprawiać wrażenia człowieka, który próbuje opowiedzieć, że świat się kręci wokół niego. ▶

eprasa.pl 7b9ca5e5e4

▶ Ale nie boję się pokazywać własnych uczuć ani patrzeć na nie z dystansu. Bo jako dokumentalista to samo robię z innymi ludźmi. Mam czelność z nich czerpać, więc muszę też mieć odwagę mówić o własnych emocjach i doświadczeniach. Realizując filmy, szukam elementów kina w codzienności moich bohaterów, czyli tego, co sam w filmach lubię najbardziej, połączenia tragizmu i humoru. Na co dzień nie zauważamy tego, jak wiele w naszych dramatach jest komedii. I nie ukrywajmy, sami często się śmiejemy z potknięć innych. Przynajmniej na ekranie. Tacy bohaterowie z krwi i kości interesują mnie najbardziej, patrzę na nich z czułością. Lubię ich za to, że bywają nieporadni, podobnie jak ja w różnych życiowych sytuacjach, i walczą z codziennymi przeciwnościami mimo braku szabli w ręce. Realizując „Kandydatów śmierci", starałem się być tak samo bezwzględny wobec siebie, traktować się jak jedną z postaci na ekranie.

Jednocześnie musiał pan jednak być reżyserem…

Mówiąc kolokwialnie, po prostu kręciłem film. Starałem się, żeby to niczego w naszym świecie nie zmieniło. Czasami intuicyjnie czułem, że dzieje się coś ważnego, i tam kierowałem operatora Tomka Pawlika, przyjaciela chłopców, z kamerą. Kiedy indziej zadawałem jakieś pytanie, żeby pchnąć rozmowę w konkretnym kierunku. Ale bez kamery robiłbym to samo, przecież przez lata na naszych wyjazdach rozmawialiśmy w ten sam sposób. Choć może nie tak głęboko. Kamera potrafi być takim tajemniczym urządzeniem, które wyzwala w nas odwagę, chęć do rozmowy. W jej obecności jesteśmy gotowi na trochę więcej.

Czy praca nad tym filmem pozwoliła panu spojrzeć z dystansu na relacje między panem i Stanisławem? W jakiś sposób je przepracować?

To się działo przez te wszystkie lata, gdy jeździliśmy z chłopakami na wakacje. To wtedy odkrywałem np., że Staś się zakochał i ma już inne priorytety w życiu. Albo zaskakiwało mnie, jak mówił, że dom rodzinny nie jest już dla niego miejscem, do którego lubi wracać. Wiedziałem, że rozwód rodziców był dla niego trudny, ale nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak bardzo. Takie chwile, które są w naszym filmie, nadal we mnie rezonują. Bolą, bo wiem, z jak trudnymi uczuciami mojego syna się łączą.

Jest w filmie scena, w której siedzimy we dwóch na tratwie i daję Stasiowi rodzinny pamiętnik. Od kilku lat się do tego zbierałem, nie było jednak dobrej okazji, takiej chwili, żebyśmy byli ze sobą sami. Więc zabrałem ten pamiętnik na plan „Kandydatów" i udało się. Krótka nieporadna rozmowa o nieumiejętności wyrażania uczuć. Myślałem wtedy, że tylko ja tak to przeżywam, ale nagle zobaczyłem, że Staś się wzruszył, poleciały mu łzy, gdy tylko zaczął czytać pierwsze słowa. I siedem lat później, gdy wreszcie pokazałem chłopcom prawie gotową wersję filmu, zaskoczyło mnie, że syn tak samo się wzruszył, gdy tylko zaczęła się scena z tratwą. Te emocje sprzed lat wciąż przez nas przepływają.

Ale wracając do pytania: nie wiem, czy potrafię na to wszystko spojrzeć z dystansu. Nigdy nie przestaje się być ojcem i nigdy nie przestaje się być synem. Możemy tylko wyciągać wnioski z przeszłości, ale teraz przeszliśmy już do kolejnego etapu. Mam nadzieję, że ta przygoda z „Kandydatami śmierci" się nie skończyła, że będziemy robić kolejne części i to będzie nas w jakiś sposób scalać.

Pański film wpisuje się w ważną dyskusję o wzorcach męskości i ojcostwa. Obaj jesteśmy z pokolenia, w którym ojcowie nie umieli lub nie chcieli rozmawiać o uczuciach. Pan mówi o pewnej nieporadności w rozmowach z synem, lecz przynajmniej próbujecie rozmawiać o ważnych rzeczach.

Ja z tatą nie przeprowadziłem chyba żadnej treściwej rozmowy. Zazwyczaj pytał: co u ciebie? Czy wszystko w porządku? Czy masz pracę? Czy masz jeszcze długi? Taki podstawowy zestaw pytań. Dopiero po pewnym czasie zrozumiałem, że to nie była obojętność, ale troska. Spróbowałem wtedy spojrzeć na świat jego oczami.

Urodził się przed wojną, przez kilka lat wychowywał się bez ojca, który trafił do niemieckiej niewoli. Po wojnie dziadkowie prowadzili surowe, bardzo proste życie. Prawdziwą wartością w tym świecie była praca, więc tata nauczył się szanować to, że mógł chodzić do zakładu, zarabiać na rodzinę, a jeszcze po robocie budować sobie jacht, bo był żeglarzem. Dzięki temu mógł zapewnić rodzinie w czasach komunizmu nietypowe wakacje blisko przyrody, wody, co na pewno miało na mnie duży wpływ. To było maksimum tego, co mógł mi dać, lecz również tego, co mógł dać sobie.

Dziś myślę, że te jego banalne pytania były jedyną formą okazywania uczuć, na jaką mógł się zdobyć. Kochał mnie, choć nie potrafił tego powiedzieć, i wydawało się, że nie jest w ogóle zainteresowany jakimikolwiek moimi problemami czy poważną rozmową. Więc można powiedzieć, że nie miałem wzorca ojcostwa takiego, jak dziś je rozumiemy. I świadom tego deficytu sam starałem się dać synowi coś więcej, rozmawiać tak, jak potrafiłem.

Wiadomo, że wiele rzeczy przeoczyłem, niektórych rozmów, które powinienem przeprowadzić, nie przeprowadziłem albo gdy zebrałem się na odwagę, to okazało się, że jest zbyt późno i wypadłem bardzo blado. To też dla mnie był jakiś proces dojrzewania. Wydaje mi się, że dziś potrafimy szczerze rozmawiać, chociaż nie potrafimy się przytulać i patrzeć sobie w oczy. I nie wiem, czy to się zmieni, ale mam nadzieję, że mój syn wie, że go kocham.

Ale mówi pan, że „Kandydaci śmierci" to film o relacji ojca i syna, lecz dla mnie to również film o przyjaźni. Starałem się nas wszystkich traktować równo. Oczywiście byłoby nie fair wobec widzów, gdybym ukrywał, że jestem ojcem jednego z bohaterów, ale bardzo ważny był dla mnie aspekt przyjaźni między chłopakami, a także między nimi a mną. Tego, jak się kształtowała, jak się zmieniała, jak próbowaliśmy przezwyciężać kryzysy.

Gdy zaczynaliśmy przygodę, byli dziećmi, a ja byłem dla nich opiekunem, w pewnym stopniu autorytetem. Ale przez lata przestałem być dorosłym, który zawsze ma rację, a stałem się kimś, z kim można dyskutować, nie zgadzać się, spierać. Jestem dumny, że ta nasza relacja zmieniła się w przyjaźń, i to taką, która toleruje każdą indywidualność.

Dla mnie „Kandydaci śmierci" są również filmem o stracie: o odchodzeniu bliskich, o tęsknocie za minionym czasem, próbach nadrobienia zaległości w relacjach. Czy dla pana ten aspekt był również istotny?

Zawsze miałem taką dziwną naturę, że kiedy jest mi dobrze, spędzam czas w pięknym miejscu, z bliskimi ludźmi, to uruchamiają się we mnie absurdalne myśli, że ta chwila się zaraz skończy, że będę musiał wracać do domu, zająć się pracą. Więc jednocześnie cieszę się i martwię, że to nie może trwać i przeminie.

Chyba jestem nostalgiczny od zawsze i w swoich wcześniejszych filmach też często dotykałem tematu przemijania, odchodzenia. Więc w „Kandydatów śmierci" jest także wpisany smutek. Odbija się w nich utrata małżeństwa, jest to,

eprasa.pl 7b9ca5e5e4



Kadr z „Kandydatów śmierci”, od lewej: **Adrian Weber, Rafał Waraczewski, Stanisław Cuske i Maciej Cuske**

co nieuniknione, czyli mój tata, który powoli gaśnie, kiedy ja bawię się w kino... Rafał i Adrian opowiadają o swoich bolesnych stratach, Staś mówi o tym, ile kosztował go rozwód rodziców. I jest jeszcze ta ostatnia strata, w pewnym sensie symboliczna.

Mówi pan o swoim piesku, Fruni?

Kiedy odeszła, to obiecałem sobie, że jak ten film skończę, będę chciał go jej zadedykować. Towarzyszyła „Kandydatom” we wszystkich przygodach, oprócz tej ostatniej. Była z nami wszędzie, zazwyczaj przeszkadzała, wchodziła nieoczekiwanie w kadr albo zaczynała szczekać, gdy nagrywaliśmy dialogową scenę. Ale to był piękny dar, który dostałem od życia. Była moją wierną przyjaciółką, jeździła ze mną do każdej pracy i na każdy plan, jeśli to było tylko możliwe. Więc gdy jej zabrakło, poczucie straty było ogromne.

Zastanawiał się pan nad tym, jak ta wasza zabawa w kino wpłynęła na zawodowe decyzje chłopaków? Adrian wybrał inną drogę, ale Stanisław jest dziś utalentowanym operatorem, Rafał skończył studia reżyserskie.

Przyznaję, że trochę się tego bałem. Bałem się takiego wpływu, bo to jest trudny zawód, piękny, ale niewdzięczny, i gdyby im się nie udało na tej drodze odnaleźć, to miałbym olbrzymie wyrzuty sumienia. Myślę, że wystarczająco dużo im mówiłem o tym, jakie miałem kłopoty ze swoimi filmami, żeby nie myśleli, że to jest życie usłane różami.

Adrian zawsze był obok filmu, nie interesowała go taka kariera i może dlatego najlepiej sprawdzał się przed kamerą, bo w ogóle się nie spinał. Jeździł z nami po prostu dla zwariowanych przygód i wypadał najbardziej naturalnie. Cieszę się, że realizuje się w branży marketingowej i robi to, co naprawdę lubi.

Rafał natomiast od dzieciństwa marzył, żeby zostać reżyserem. Już w podstawówce kręcił z przyjaciółmi zwariowane pastisze na telefonie czy aparacie cyfrowym, więc robiąc „Kandydatów śmierci”, po prostu wykorzystałem tę jego iskrę bożą. Poszedł konsekwentnie za marzeniami. Chciał być reżyserem, osiągnął to, ale przed nim naprawdę trudna, ciernista droga.

Staś znalazł dla siebie nieco inną. Owszem, kręcił też własne krótkometrażowe filmy dokumentalne, ale głównie pracuje jako autor zdjęć i operator kamery. To piękny zawód. Nie wiem, czy niewdzięczniejszy niż reżyseria.

Pańska droga do kariery była trudna?

Zacząłem bardzo wcześnie. Już w drugiej klasie liceum zrealizowałem z przyjaciółmi podczas wakacji swój pierwszy film na taśmie. Nie wyszedł, był niedoświetlony. Nie potrafiliśmy jeszcze filmować, ale z czasem wychodziło nam to coraz lepiej i potem całą młodość bawiliśmy się w kino.

Kiedy urodził się Staś, na przekór trudnościom i nowym wyzwaniom zrealizowałem z przyjacielem Marcinem Sauterem film „I co wy na to Gałuszko?”. Musiałem jednak w końcu odpuścić filmowe plany i zająć się prozą życia na kilka dobrych lat. Dopiero kurs w Szkole Wajdy pozwolił mi wrócić do marzeń i zrozumieć, co naprawdę chcę w życiu robić. Więc mój start jako świadomego filmowca był opóźniony.

Dziś myślę, że szczęśliwie się złożyło. Nie wiem, czy gdybym skończył szkołę filmową jako młodziak, to by mnie to nie przygniotło. To olbrzymia presja i stan wiecznego poddawania się ocenom innych. A ja wciąż mam obawy, strachy, skrywane kompleksy. Może więc ten start był trudniejszy, długo się rozkręcał, ale za to stałem się nieco dojrzalszy i być może robię przez to bardziej dojrzałe kino.

Szkoła Wajdy nauczyła mnie przede wszystkim rzemiosła. Myślę, że jest w tej pracy najważniejsze. Z pewnością wolę o sobie powiedzieć, że jestem dobrym rzemieślnikiem niż artystą. Jeśli chcę zaprosić widzów do kina, to moja opowieść musi mieć początek, środek, koniec. Musi wciągać, nieść emocje, być czytelna, a jednocześnie pozwolić widzowi na własną refleksję. Staram się, żeby moje filmy balansowały między radością i smutkiem, tragedią i komizmem, energią i nagłym zatrzymaniem chwili, żeby to wszystko pracowało na siebie i widz przeżywał mocno obrazy na ekranie. To potem często wygląda lekko, jakby zrobione ot tak, ale żeby osiągnąć taki efekt, zazwyczaj potrzeba wiele potu i łez na planie i w montażu. Kino to rzemiosło. Trzeba je zbudować z odpowiednich klocków i wtedy działa.

ROZMAWIAŁ JAKUB DEMIAŃCZUK

© AGAINST GRAVITY

eprasa.pl 7b9ca5e5e4



Polscy górale w dorocznej paradzie z okazji Święta Dziękczynienia w Chicago

Lewy u prawego

Robert Lewandowski już strzela gole dla Chicago Fire, ale też dla najsilniejszej Polonii w USA. Czy może zostać jej nowym symbolem?

TOMASZ ZALEWSKI

Drużyna piłkarska Chicago Fire zagrała w sobotę pierwszy mecz u siebie. I to z nowym asem w składzie. Robert Lewandowski został bohaterem spotkania z Charlotte FC – strzelił dwa gole, które dały zwycięstwo klubowi, pierwsze w nowym sezonie. Umocnił tym wiarę kibiców, że postawi na nogi chicagowską drużynę, której w ostatnich latach się nie wiodło.

Dla jej właściciela, miliardera Joego Mansueto, założyciela Morningstar, renomowanej firmy doradztwa finansowego, to tylko jeden z licznych biznesów. On sam nigdy nie grał w futbol (czyli *soccer*), ale podobno zakochał się w nim, kiedy piłkę zaczęły kopać jego dzieci. Ma teraz ambicje, by klub znowu zdobył mistrzostwo w amerykańskich rozgrywkach Major League Soccer (MLS) – a zdarzyło się to tylko raz, w 1998 r.

16 mln dol. plus premie za sezon dla Lewandowskiego mają zapewnić ten sukces. To najwyższy dotąd kontrakt w MLS

eprasa.pl 7b9ca5e5e4

– po Lionelu Messim z Inter Miami (niecałe 20,5 mln). Ale eksperci przestrzegają, że wszystko zależy od tego, czy koledzy z drużyny będą Lewandowskiemu podawać piłkę tak celnie jak wirtuozi z Bayernu Monachium czy FC Barcelony.

Tymczasem Chicago Fire składa się z piłkarskich przeciętniaków, w większości obcokrajowców, ale nie gwiazd. Trener Gregg Berhalter zapowiada więc dalsze transfery, a Mansueto buduje nowy stadion, już ściśle piłkarski, bo na razie jego team gra na Soldier's Field, 70-tysięcznym obiekcie dla futbolu amerykańskiego. I stadion ten wypełniany jest zwykle w jednej trzeciej.

Nadzieje, że europejski futbol rozkwitnie w USA, opierają się na wysokiej frekwencji podczas niedawno zakończonego mundialu. Na razie jednak na spotkania ligi MLS przychodzi średnio 23,2 tys. widzów, czyli trzy razy mniej niż na mecze futbolu amerykańskiego. Jeśli chodzi o popularność, piłka nożna nie może się z nim równać, podobnie jak z koszykówką, hokejem czy baseballem.

Być może po World Cup 2026 Amerykanie będą się nią bardziej interesować, ale jeszcze tym razem znaczna część kibiców przyjechała na mecze z zagranicy. Znawcy przypominają, że w przeszłości grali już w USA Pele, Johan Cruyff, Franz Beckenbauer i Eusebio. A po pierwszym amerykańskim mundialu w 1994 r. też liczono, że piłka stanie się najważniejszym sportem. Na razie to jeszcze odległa perspektywa.

Mansueto sprowadził do Chicago Lewandowskiego, licząc na to, że tamtejsza Polonia – kilkaset tysięcy ludzi – będzie masowo kupować bilety na jego mecze. Zdaniem ekspertów to też może się okazać złudzeniem. – *Wszystko zależy od tego, czy Strażacy* (przydomek klubu – przyp. red.) *zaczną wygrywać* – mówi Jacek Zieliński, dziennikarz sportowy radia Polish American Mix.

Miejscowi Polacy cieszą się oczywiście, że będą oglądać na żywo polską legendę. A sam Lewandowski deklaruje radość, że zamieszka wśród swoich. Ale czy zostanie w Chicago na dłużej, po wygaśnięciu dwuletniego kontraktu? Czy się zakorzeni? Dyrektor „Dziennika Związkowego" Łukasz Dudka obawia się, że „może nie dowiemy się nawet, gdzie Lewandowski zamieszka" – tak bardzo mistrz i jego żona Anna strzegą swej prywatności.

– *Kolegowaliśmy się z europejskimi gwiazdami futbolu w Chicago Fire, chodziłem na piwo z Romanem Koseckim, Piotrem Nowakiem i królem strzelców z mundialu w 1994 r. Christo Stoiczkowem. Nie wyobrażam sobie, że będzie to możliwe z Lewandowskim* – mówi Jacek Zieliński.

Lewandowski to postać z finansowych himalajów i celebryta globalny. Globalne jest też Chicago, prawie trzymilionowy tygiel rasowo-etniczno-religijny. Mają w nim swój duży udział również Polacy. Chicago to największa – obok Nowego Jorku – koncentracja *Polish Americans*. Tylko takich specyficznych: m.in. ciąży im bagaż przeszłości, kiedy polskie Chicago obserwatorom z zewnątrz jawiło się jako zacofany zaścianek.

Pisarz i psychoterapeuta Grzegorz Dziedzic powiedział w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej", że kiedy kilkanaście lat temu przyjechał do Jackowa, polskiej dzielnicy w Chicago, miał wrażenie, że znalazł się w Radomiu lat 80. Ale to już przeszłość.

Polacy stanowili jeden z najliczniejszych segmentów imigracji do USA na przełomie XIX i XX w. W Chicago osiadło ich najwięcej, harowali w tamtejszych fabrykach, hutach i zakładach mięsnych. Wrzuceni do industrialnej Ameryki, bez języka, wykształcenia i kwalifikacji, wykorzenieni i dyskryminowani, zamykali się w swych etnicznych gettach. Azylem były dla nich katolickie parafie, chociaż i tam czuli się obywatelami drugiej kategorii, bo w hierarchii kościelnej dominowali Irlandczycy.

Bieda, patologie społeczne i przestępczość w polskich dzielnicach umacniały stereotyp głupiego, notorycznie pijanego i bijącego żonę Polaka. Ci, którym udało się wydobyć z nizin i awansować do *middle class*, zmieniali nazwiska i na ulicach w centrum Chicago bali się mówić po polsku.

Sytuacji tej nie zmieniła imigracja po drugiej wojnie światowej. Stosunki inteligenckich przybyszów z Europy z robotniczo-chłopską Polonią bywały wyboiste. Mechanizm kulturowego zderzenia powtórzył się w latach 80. i 90., kiedy do Ameryki i Chicago napłynęła kilkusettysięczna fala imigracji solidarnościowej, w większości ekonomicznej. Przez osiadłych i ciężko doświadczonych *Polish Americans* przybywający znów za chlebem rodacy postrzegani byli jako roszczeniowi, nienawykli do ciężkiej pracy. Z kolei ci ostatni uważali starych Polonusów za odmawiających im pomocy egoistów.



Robert Lewandowski z Dje D'avillą (pierwszy z lewej) **i Leonardo Barroso po strzeleniu gola dla drużyny Chicago Fire w meczu z Charlotte FC**

W drugiej połowie zeszłego stulecia amerykańskich Polaków w Chicago było już tak wielu – stanowili ok. 10–15 proc. populacji miasta – że musiano się z nimi liczyć politycznie. Z Wietrznego Miasta przybyli do Waszyngtonu wpływowi kongresmeni: Dan Rostenkowski i Roman Pucinski. W „Chicago Tribune" brylował felietonista Mike Royko, z ekranu znane było aktorskie rodzeństwo Casey i Nina Siemaszko. Polskie dzielnice w Chicago kwitły tysiącami sklepów, restauracji, klubów i instytucji kulturalnych. Doroczne parady na Święto Trzeciego Maja nad jeziorem Michigan przypominały Amerykanom o kraju nad Wisłą.

Z czasem coraz bogatsi *Polish Americans* przeprowadzali się z centrum miasta, zasiedlanego przez nową imigrancką biedotę z globalnego Południa, na czyste i bezpieczne przedmieścia. Tradycyjny polski trójkąt w rejonie alej Ashland, Division i Milwaukee oraz inne polskie osiedla traciły starych mieszkańców.

Nowi, w miarę postępów transformacji w starym kraju, przyjeżdżali coraz rzadziej. A jeśli już, to nie na saksy – mężczyźni na budowy, kobiety do sprzątania biur i mieszkań – a raczej ▶

eprasa.pl 7b9ca5e5e4

▶ do szkół i uniwersytetów. W pierwszej dekadzie XXI w., po wstąpieniu Polski do UE, przestali przyjeżdżać zupełnie, a po kryzysie finansowym w 2008 r. wielu tracących pracę i domy Polaków wyjechało. Jackowo i inne polskie dystrykty w centrum Chicago to dziś kraina Latynosów i Azjatów.

Młode pokolenie Polonii, dzieci imigrantów i najnowsi przybysze zza oceanu, w niczym nie przypomina dawnych zahukanych Polonusów, obiektów dowcipów o *Dumb Polacks*. W Chicago pracują jako lekarze, prawnicy, inżynierowie i naukowcy. Zakładają start-upy i budują nieruchomościowe miniimperia. Piotr Klich z Dębicy, który zaczynał za kierownicą ciężarówki, ma ich dziś kilkaset. Dr Monika Krezalek, chirurg robotyczna, zbiera wzorcowe recenzje od pacjentów. Za pioniera robotycznej chirurgii jelita grubego i odbytu uchodzi w Chicago absolwent kolegium Medycznego UJ dr Sławomir Marecik.

– *Polonii w Chicago nigdy nie powodziło się tak dobrze jak dziś. Nigdy nie była tak zamożna, nigdy nie było tak dużo wielkich polskich fortun* – mówi Łukasz Dudka. A według Jacka Niemczyka, menedżera radia Polish American Mix, status przeciętnego *Polish American* w Wietrznym Mieście jest dużo wyższy niż status przeciętnego Amerykanina. A statystyki potwierdzają, że zamożność amerykańskich Polaków, zwłaszcza wskaźnik posiadania domów, przewyższa analogiczne wskaźniki Amerykanów z klasy średniej.

Ten zbiorowy awans Polonii, w połączeniu z poprawą obrazu Polski w amerykańskich mediach, sprawia, że nikt w Chicago nie ma oporów, jak bywało kiedyś, by mówić po polsku. Jest odwrotnie – urodzeni w USA *Polish Americans* coraz częściej uczą się polskiego, szlifują język albo posyłają dzieci na naukę. W Chicago wciąż działa ok. 50 sobotnich polskich szkół, wydawanych jest kilka polskojęzycznych tygodników, a pięć stacji radiowych nadających po polsku pozwala na stały kontakt z językiem.

Chicago to większy bastion polskiej tożsamości niż Nowy Jork, gdzie Polaków jest nawet więcej, ale polskiej prasy ani radia prawie już nie ma. Nie ma też w Wielkim Jabłku, poza Fundacją Kościuszkowską i Polskim Instytutem Naukowym (PIASA), tak zasłużonych instytucji jak chicagowskie Polish Museum of America, Centrum Kopernikańskie czy Chopin Theatre.

Polskość jest dziś w Chicago przedmiotem dumy, by tak rzec, naturalnej, a nie defensywnej – na przekór negatywnym antypolskim stereotypom. – *Coraz więcej dzieci z polskich rodzin, kończących szkoły z wyróżnieniem, przy odbieraniu nagród zakłada szarfy z polską flagą* – mówi Łukasz Dudka.

Polscy liderzy opinii w Chicago skarżą się, że ojczyzna za oceanem tego nie docenia. – *Polacy z Polski nadal traktują nas jak jakieś cebulowo, Polskę B* – mówi z goryczą Jacek Niemczyk. – *A w konsekwencji same Polonusy powtarzają negatywne opinie o sobie, opinie pochodzące z Polski!* – dodaje Jacek Zieliński. Zdaniem Niemczyka przyczyną trwania złych stereotypów jest to, że amerykańscy Polacy głosują w wyborach na prawicę: w polskich na PiS, a w amerykańskich na Republikanów. Stąd etykietka polskiego Chicago jako ciemnogrodu.

Według Dudki w ostatnich wyborach 80 proc. z nich poparło Donalda Trumpa. To liczby szacunkowe, bo rzetelnych badań na ten temat nie prowadzono, a obraz zaburza dodatkowo niska frekwencja. Ale prawicowa tendencja jest wyraźna, szczególnie na kontrze wobec mocno lewicowych Demokratów, którzy rządzą w Chicago. Od Trumpa *Polish Americans* nie odstrasza nawet jego antyimigrancka retoryka, choć wielu z nich przyjechało do USA na wizach turystycznych, przedłużyli pobyt po ich wygaśnięciu i podjęli pracę bez pozwolenia.

– *Kiedyś Polacy razem z Meksykanami chodzili w marszach protestu przeciw zamykaniu granic. Ale gdy Trump mówił o ich uszczelnianiu, wielu poparło tę politykę. Powód jest prosty – podłoże rasowe: jako biali uważali się za nietykalnych. Okazało się, że nie są* – wspomina Łukasz Dudka. I zaznacza, że ofiarami prezydenckiej akcji byli ci, którzy popełnili wykroczenia lub przestępstwa.

W trzech ostatnich kampaniach wyborczych Trumpa poparły liczne organizacje polonijne, w tym najważniejsza z nich, 146-letni Związek Narodowy Polski. Większość tych organizacji, zrzeszonych pod parasolem Kongresu Polonii Amerykańskiej (KPA), ma centrale w Chicago. Przed wyborami w 2016 r. Trump przyjechał do Chicago, udzielił wywiadu organowi KPA „Dziennikowi Związkowemu", a prezesowi organizacji Frankowi Spule przyrzekł zniesienie amerykańskich wiz dla Polaków. I obietnicy dotrzymał.

Działalność polonijnych organizacji jest tematem wiecznych narzekań polskiej diaspory. Zarzucono im słabe upominanie się o polskie interesy, choć odegrały istotną rolę w lobbingu na rzecz kraju, kiedy w latach 90. ważyło się uznanie przez zjednoczone Niemcy granicy na Odrze i Nysie, a potem przyjęcie Polski do NATO. Szwankowała jednak promocja polskich kandydatów na wybieralne urzędy w USA. *Polish Americans* zdobywali je rzadziej niż inne, mniej liczne mniejszości, jak Grecy czy Żydzi. KPA nie miała szczęścia do przywódców – Edward Moskal, prezes organizacji w latach 90., skompromitował ją, grając antysemicką kartą w wyborach do Kongresu.

Łukasz Dudek martwi się, że Polonia mimo indywidualnych sukcesów swoich przedstawicieli wciąż nie wykorzystuje swego potencjału jako etniczna grupa nacisku. – *Na poziomie społecznym mamy spory kryzys* – mówi. Polacy nie garną się do działalności, organizacjom brakuje funduszy, starzy działacze zbyt długo blokowali młodym dostęp do stanowisk. Zdaniem Jacka Zielińskiego organizacje mogą jednak mieć pretensje same do siebie, bo są prowadzone zbyt tradycyjnie, ich oferta jest uboga, a konkurencja duża.

Skomplikowała się też formuła identyfikacji etnicznej. „Młodzi Polacy w USA coraz częściej funkcjonują w ramach tożsamości hybrydowej, która nie mieści się w tradycyjnych jednoznacznych kategoriach narodowych" – pisze badacz młodej Polonii dr Mateusz Kamionka z UJ. Mówiąc prościej, inaczej niż wtedy, kiedy oczekiwano od nich jednoznacznej deklaracji, kim są: Polakami czy Amerykanami, w epoce globalizmu mogą żyć w stanie tożsamościowego rozdwojenia.

Poza tym Polska, dziś kraj normalny i zamożny, nie polega już tak bardzo na polonijnym lobby jak kiedyś. Co nie oznacza, że nie ma ono znaczenia dla kraju i samych *Polish Americans*. Łukasz Dudka wskazuje, że Polonia wciąż wspiera starania Warszawy o stałą bazę wojsk amerykańskich w Polsce i priorytetową rolę zamówień na amerykańską broń dla naszego kraju. A Jacek Zieliński od ośmiu lat organizuje w Chicago Bieg Niepodległości z udziałem stałej symbolicznej liczby 1918 uczestników. Jeśli również Lewandowski stanie na wysokości zadania i będzie strzelał kolejne gole, Polonia znów może się stać modna.

TOMASZ ZALEWSKI

eprasa.pl 7b9ca5e5e4



Gorący kartofel

„Ależ on się wyciągnął przez wakacje! Chyba znowu podrósł. Jak wróci do szkoły we wrześniu, to go wychowawca nie pozna. I może lepiej...". Ciocia Klocia albo Wujek Który Wrócił z Ryb pochyla się nad tobą i szczypie za policzek lub tarmosi za włosy – znacie to, prawda? Jestem Ciocią Klocią, a Mateusz Morawiecki jest Mateuszkiem, który zasłużył na blika, niech sobie samodzielnie skoczy do Rossmanna i kupi tigera dla Tygryska vel Kosiniaka, pampersy na nietrzymanie moczu dla dziadków Donalda i Jarosława, dla Rafałka coś na zmarszczki mimiczne, a dla siebie grube rajstopki, by zasłonić twarz formacji, która kradła, ale nikt jej nie rozliczył.

Jako córka i matka wiem najlepiej – nie ma co liczyć na wdzięczność dzieci. Najpierw pomagasz dziecku znaleźć robotę, uczysz fachu, załatwiasz jakieś miejsce w radzie, żeby chłopaka w tę politykę wcisnąć, bo w światowych finansach sobie nie radzi. Dajesz mu pojeździć z tobą w samochodzie prezesa, niech sobie chłopak w takiej niemieckiej limuzynie jak Skoda Superb kierownicą pokręci, dajesz rozkaz Długopisowi, żeby brał chłopaka na premiera, a Beatkę na mule i ośmiorniczki do Brukseli zsyłasz (dość tego śląskiego żuru), a potem chłopak taki numer starym wywija. Na własnej piersi prezes wykarmił taką żmiję, takiego intryganta i niewdzięcznika, że prawdziwy Pinokio wraz z Carlem Collodim w grobie się przewracają.

Na własnej piersi prezes wykarmił taką żmiję, że prawdziwy Pinokio wraz z Carlem Collodim w grobie się przewracają.

W dodatku wziął i popsuł starszyźnie praktykę wyćwiczonych asan od pozycji kobry po psa z głową w dół. Bo tak już wprawieni byliśmy w wytykaniu PiS-owi, że kaczyzm to piekło kobiet albo w wykrzykiwaniu „Gdzie jest wrak?" czy „Kazałeś lądować bratu?", a jak pomysłów zabrakło, to można było się pośmiać z za dużego garnituru, braku konta w banku albo zejść do poziomu karykatury z kartoflem – „afery kartoflanej". Zabawa i kartonoza były przednie, aż tu przyszedł Morawiecki i wszystko zepsuł.

Tymczasem paliwo po 8 zł, a w lipcu w naszych skrzynkach pojawiły się karteczki o podwyżce opłat za wodę i ścieki. „Cztery nogi u stołka, tu możesz zalać gardziołka" – spisywał poezję warszawskich szyldów gastronomicznych Julian Tuwim. Dziś przystępne ceny dla mieszkańców centrum stolicy to mgliste wspomnienie sprzed pandemii i Airbnb. Kilka dni temu znajomy właściciel mieszkania wynajmowanego turystom w Zakopanem zwierzał mi się: „– Remont mi się wlecze. – Jak to remont, przecież nowe kupiłeś. – Tak, ale bez bidetu. Arabowie nie chcieli do mnie przyjeżdżać. Dla nich tylko z bidetami". Z bidetami pod Tatrami?

„Afera kartoflana" nie wywołała we mnie przed laty wielkiego zniesmaczenia, bo ziemniaki zawsze kojarzyły mi się dobrze. Poza gorącym kartoflem, czyli moim dzieckiem. Matki i ojcowie dzieci w wieku szkolnym to wielcy przegrani ekonomiczni tych i zapewne następnych wakacji. Potrzeba całego miasta, by wychować dziecko. Do tego trzeba mieć dobre mapy i stworzyć sobie przyczółki między mostami na Czerniakowie i w każdej dzielnicy od Powsina po Żerań. Mój syn ma już za duże gabaryty na okno życia, więc opracowałam rodzaj aplikacji uwzględniającej punkty, gdzie mogę Antka podrzucać w czasie wakacji.

Wczoraj desant nastąpił na Powiślu u mojej przyjaciółki z liceum. Wcisnęłam dziecko jej córce studentce, a same uciekłyśmy na kwartet wiolonczelowy w ramach „Ogrodów muzycznych". Upojny pokaz nietoksycznej męskości – czterech młodych wiolonczelistów, w tym jeden z Tajwanu i jeden z Estonii, grało sarabandy i transkrypcje Verdiego, zamiast bić się w klatce i obnażać tatuaże z kotwicą.

Przedwczoraj podrzuciłam dziecko do pracowni żony mojego majstra stolarza w okolicy Placu Hallera. Niech pomaga strugać Pinokia. Dziś mówi, że ciocia robi lepsze spaghetti bolognese i pozwoliła obejrzeć „Posejdona". Mało kto w Warszawie ma darmowe babcie, ciotki lub dziadków, bo długo to żyje się na Podkarpaciu, a nie w turbokapitalizmie wśród elektrycznych hulajnóg.

Dwa miesiące wakacji – nie wiem, kto i kiedy to wymyślił, ale żadnego Warszawiaka na to nie stać. Cena pięciodniowych półkolonii to ponad tysiąc złotych. Cena obozu gdzieś nad jeziorem Bukowo – ponad dwa tysiące plus transport. A przecież nie ma dnia, żeby rodzicom nie przypominano, jak to TikTok uzależnia, powoduje anoreksję i niechęć do czytania „Króla-Ducha"; a wielogodzinna gra w Fortnite grozi nadwagą i cukrzycą.

Trenerzy młodych zawodników łysieją nie z nadmiaru testosteronu, lecz wskutek wyrywania sobie włosów z głowy. „Kiedyś dostawałem z podwórka gotowego chłopaka do ćwiczeń technicznych, a teraz to nie ma trenowania, bo ja dzieciaki odchudzam" – słyszę tę mantrę już dwie dekady. Nie mówiąc już o innych niebezpieczeństwach wakacji w mieście, gdy matka i ojciec są w pracy. A to dziecko może utopić się w Jeziorku Czerniakowskim, a to może zostać pobite w tramwaju. Mój syn ma dwóch bliskich przyjaciół Ukraińców i ostatnio łapię się na tym, że się o nich martwię. Chyba piąta klasa to za wcześnie na gaz pieprzowy?

AGATA PASSENT

eprasa.pl 7b9ca5e5e4



Kult alfonsa

Aresztowanie braci Tate przeszło w naszych mediach bez większego echa. Potraktowano to jako zwykłą kryminalną ciekawostkę z USA, a to źle, działalność owych braci jest bowiem kluczem do zrozumienia całej współczesnej prawicy – także polskiej. Kilka lat temu bracia Tristan i Andrew Tate (ten drugi odgrywa dominującą rolę, brat zazwyczaj po prostu mu przytakuje) byli gwiazdami prawicowych mediów. Oczywiście tylko internetowych, ale w dzisiejszych czasach to nie jest „tylko". Największe autorytety prawicy lansowały ich w swoich podkastach: Tucker Carlson, Piers Morgan, Candace Owens, Alex Jones, Nick Fuentes, Joe Rogan.

Owszem, oni twierdzą, że zaproszenie do programu nie oznacza poparcia, bo „rozmawiać należy z każdym". W praktyce jednak specyficznie rozumieją owe „z każdym". U nich to znaczy, że z faszystą, oszustem, gwałcicielem czy rosyjskim agentem – zawsze, ale jakoś nigdy z fizykiem kwantowym (chyba że takowy będzie molestować studentki, wtedy oczywiście go zaproszą jako niewinną ofiarę *cancel culture*).

Konkurencja jest duża, ale na tym tle Andrew Tate to postać wyjątkowo odrażająca. Zaczynał karierę od sportów walki, ale w 2014 r. znalazł swoje prawdziwe powołanie – cyberseks. Rekrutował dziewczyny z Europy Wschodniej, żeby robiły różne rzeczy przed kamerą na życzenie klientów online. To na niego ściągnęło problemy prawne w Wielkiej Brytanii, aresztowano go tam po raz pierwszy w 2015 r. Przeniósł się do Rumunii, bo – jak mówił – wydawała mu się dzikim krajem, w którym bogatym wszystko wolno.

Klucz do sukcesu prawicy jest w rękach manosfery. Są już u nas politycy, którzy docierają do niej lepiej od Kaczyńskiego.

Tutaj aresztowano go w 2022 r., już na dłużej. Gdy jednak wybory wygrał Donald Trump, Tate zaczął się chwalić, że to oznacza dla niego wolność. Znał osobiście wielu ludzi z otoczenia Trumpa, szczególny wpływ miał na jego najmłodszego syna Barrona. I rzeczywiście, pod wpływem amerykańskich nacisków bracia wyszli na wolność. Jeszcze nie tak dawno byli fetowani w Rosji jako honorowi goście forum ekonomicznego w Petersburgu, razem z innymi gwiazdorami MAGA. Uwierzyli w swoją bezkarność, co ich wreszcie zaprowadziło za kratki, oby tym razem już na dobre.

Nakłonienie kobiety do zagranicznej podróży celem doprowadzenia jej do nierządu niemal wszędzie jest przestępstwem niezależnie od tego, czy ona sama czuje się poszkodowana. Od stu kilkudziesięciu lat regulują to międzynarodowe traktaty, wprowadzone dla rozbicia gangów rekrutujących kobiety do zamorskich burdeli. Zwabiali je naganiacze-amanci, którzy biedną dziewczynę najpierw uwodzili kwiatami i ciastkami, a potem wymyślali jakąś historyjkę, że nie mogą wziąć ślubu w Europie, tylko koniecznie w Buenos Aires. Te dziewczyny często do gorzkiego końca uważały, że zaszło jakieś nieporozumienie, i nawet gdy uwolniła je policja, kryły swojego „księcia z bajki". Trzeba było zdefiniować to jako odrębne przestępstwo (*sex trafficking*, czyli handel żywym towarem).

Andrew Tate o tyle się różni od swoich poprzedników sprzed stulecia, że działa jawnie. Chwali się swym brudnym biznesem wielomilionowej publiczności. Jest jedną z największych gwiazd prawicowego internetu, królem jego odnogi zwanej manosferą. Najsilniej trafia do dojrzewających chłopców. Opowiada im, jak okłamuje te swoje „dziwki", jak zmusza do posłuszeństwa, jak je bije (demonstrował to przed kamerą, a jakże!), jak zmusza do tatuowania nazwiska „Tate" jako „dowodu własności" itd. A swoich wyznawców naciągał na kursy typu „jak być bogatym alfonsem". Na to wszystko są paragrafy, ale Tate cieszy się poparciem wpływowych ludzi. Wspierają go cyberoligarchowie tacy jak Peter Thiel czy Elon Musk, którzy pomagali mu zdobywać popularność w internecie.

Ta popularność sprawiła, że już dawno podczepili się pod niego prawicowi politycy. Niektórzy nadal go próbują bronić, bo ta wielomilionowa publiczność to potężny kapitał polityczny. Nastolatek, który wyrastał na jego pierwszych filmikach, jest dziś wszak trzydziestoparoletnim wyborcą. I zapewne głosuje na prawicę, bo przecież nie na „lewactwo, klimatyzm, *woke*, eurokołchoz i elgiebety".

Myślę, że to dlatego Jarosław Kaczyński stracił złotą busolę, która pozwalała mu sterować swoim obozem. Oddajmy mu to: jak mało kto potrafi on zrozumieć prawicę wychowaną na Janie Pawle II, Margaret Thatcher i Ronaldzie Reaganie. Ale na kulcie alfonsa? Jako inteligent starej daty nie wytrzymałby paru minut oglądania Andrew Tate'a (albo innych autorytetów młodej prawicy, jak Sneako, Clavicular czy Asmongold). Rozumiem go, ale bez nich nie da się pojąć fenomenu MAGA. Wybory w demokracji zazwyczaj rozstrzygane są stosunkiem rzędu 51:49, klucz do sukcesu prawicy jest dziś w rękach wychowanków manosfery. W Polsce też już mamy polityków docierających do nich lepiej od Kaczyńskiego. Cóż, nie zazdroszczę mu. Wolałbym przegrać bez tych ludzi, niż wygrać dzięki nim.

WOJCIECH ORLIŃSKI

eprasa.pl 7b9ca5e5e4

FELIETON

Chutnik Plebanek



Czarna Helena

Wszyscy czytają Homera! Czyżby? Ale niemal każdy czuje się ekspertem od „Odysei". Zaskakująca jest popularność ekranizacji dzieła w reżyserii Christophera Nolana. Jakbyśmy właśnie teraz potrzebowali powrotu do korzeni, zbiorowego namysłu, uziemienia. Opowieść o ślimaczącym się powrocie Odyseusza do domu to mit i naiwnością byłoby spodziewać się po filmie wierności historycznej. Bo niby jakiej i po co? Toteż nie bolą łodzie wikingów ani hełmy w stylu Batmana, choć niektórych kole w oczy kolor skóry Heleny. Prawicę do białej gorączki doprowadza Lupita Nyong'o, która w filmie gra również Klitajmestrę. „Czarna Helena?!" grzmią ci, którym nie przeszkadza Jezus jako niebieskooki blondyn.

Kiedy Grażyna wracała z seansu w Brukseli, kolory skóry ludzi mijanych na ulicy nie różniły się od tych z filmowej „Odysei". Na ławkach siedzieli żółci, po parku spacerowali czarni, biali scrollowali telefony. Samo życie. Wystarczył ten widok, by się przekonać, że film jest celną próbą dialogu z dziełem Homera i z rzeczywistością XXI w.

Mit stanowi punkt odniesienia dla wszystkich, dlatego hałas wokół koloru skóry Heleny/Klitajmestry to sprawa polityczna. Człowiek to człowiek, a ten film jest właśnie o ludziach, którzy wzniecają wojny, po czym uginają się pod PTSD. Władzę przejmują młodzi, by zbudować nowy, lepszy świat. Po jakimś czasie, niedługim niestety, wszyscy zapominają, co wywołuje konflikty, i że może to być byle pretekst napompowany do rozmiarów gardłowej sprawy. Jak choćby kolor skóry aktorki. Nacjonaliści wrzeszczą, a dalej to już samo się kręci. Nolan nie ma wątpliwości, że ludzie nie uczą się na błędach. Jego „Odyseja" to mroczny film.

> Christopher Nolan nie ma wątpliwości, że ludzie nie uczą się na błędach. Jego „Odyseja" to mroczny film.

Jeszcze ciemniej jest w umysłach polityków. Nakręcają spiralę nienawiści, dobrze wiedząc, co się stanie. Donald Trump podtrzymuje własną popularność, wysyłając do ścigania imigrantów oddziały ICE w mundurach przypominających te z Trzeciej Rzeszy. Giorgia Meloni wygrywa wybory we Włoszech, bo obiecuje zrobić porządek z przybyszami, następnie sprowadza ich więcej niż którykolwiek z jej poprzedników. Media prześcigają się w doniesieniach o inwazji Afrykanów na Europę, a im częściej to powtarzają, tym szybciej przybywa reklamodawców.

Na ziemię sprowadzają nas cyfry. Hein de Haas, socjolog z Amsterdamu, twierdzi, że liczba osób, które migrują dziś, to norma w porównaniu z przeszłością. Autor książki „Migracja bez mitów. Wszystko, co trzeba wiedzieć o najbardziej spornej kwestii w polityce" w rozmowie z Maciejem Bochajczukiem („Gazeta Wyborcza") twierdzi, że „w skali globalnej i w liczbach względnych nie migruje dzisiaj więcej osób niż sto lat temu". Jednak choć „emigranci to źródło dochodów, lepszego wykształcenia, a więc szeroko pojętego rozwoju", to innym źródłem zarobków – już tylko dla wybranych – są obrazy przepełnionych ludźmi pontonów. Te zdjęcia stają się paliwem wyborczym.

Biznes to biznes, a wzorce idą z USA, lądu turbokapitalizmu. Do nagonki na „obcych" dołączyła manosfera z Elonem Muskiem na czele. Deklarują obronę „naszych kobiet", a w sieci organizują nagonki na białe partnerki czarnych mężczyzn. W kraju, gdzie przybysze z Europy wyrżnęli w pień większość rdzennej ludności, a niedobitki trzymają w rezerwatach. Za rzezie jeszcze nie przeprosili.

Terapeuta Gabor Maté powiedział, że Musk to genialny biznesowo gad. Bo gadzi ma nie tylko umysł, ale również serce i wątpia. Na cwane gady (przepraszamy gady!) wygląda wielu polityków, którzy leją krokodyle łzy nad Europą rzekomo najeżdżaną przez Afrykanów. Wygodnie zapominają, że część z tych osób zaprosiły rządy ich państw, jak choćby Belgowie Marokańczyków do pracy w kopalniach i innych miejscach, gdzie rodak Tintina nie zechciałby ubrudzić sobie rąk.

Szwajcarski pisarz Max Frisch napisał: „Chcieliśmy rąk do pracy, a przyjechali ludzie". Toleruje się ich, dopóki trzymają się wyznaczonego miejsca (np. w kopalni). Kiedy jednak ich dzieci chcą się uczyć i zarabiać, robi się nieprzyjemnie, nawet jeśli są biali, jak Polacy w Belgii. W kraju, gdzie wydaje się książki frankofonki Kingi Wyrzykowskiej czy chodzi na koncerty gwiazdy hip-hopu polskiego pochodzenia PLK (pseudonim Mathieu Claude Daniela Pruskiego, skrót od słowa „Polak"), uparcie króluje stereotyp Polaka hydraulika.

Rasizm idzie pod rękę z ksenofobią. Kto jest „nasz", a kto zawsze będzie odstawać? Dyskusja wokół tożsamości sprawcy zabójstwa na Paradzie Równości w Berlinie miota się między islamofobią a próbą zdefiniowania, kim są dzieci migrantów urodzone w kraju docelowym. W Polsce politycy dają błogosławieństwo obywatelom, by tłukli tych, którzy mają „nie dość polski akcent". Agresorzy mogliby równie dobrze atakować samych siebie, bo cechuje ich polszczyzna skąpa, zabarwiona lokalnie. „Europa przez wieki była kontynentem wyjazdów, a nie przyjazdów. Teraz musi nauczyć się nowej roli i to jest trudne" – mówi prof. Hein de Haas. Dlatego tak kłuje w oczy czarna Helena.

SYLWIA CHUTNIK, GRAŻYNA PLEBANEK

eprasa.pl 7b9ca5e5e4

FELIETON

Hartman



Duma i uprzedzenie

Filozofia polityki bardziej niż jakakolwiek dyscyplina filozofii zasługuje na skwitowanie jej słowami Whiteheada, że wszystko to są tylko przypisy do Platona. Nie licząc anarchistycznych skrajności, cała jej historia jest apoteozą państwa. Republiki czy monarchii, bardziej czy mniej demokratycznej, ale zawsze – rzeczpospolitej. W ramach tej wielkiej pochwały państwa jako najwyższego dobra – wspólnoty politycznej, dzięki której człowiek wyszedł z dziczy bezprawia, nieodmiennie wychwala się cnoty obywatelskie i zaangażowanie w sprawy ojczyzny, samemu zaś państwu przypisuje suwerenność jako jego wartość nadrzędną i najwyższe dobro.

Obrona suwerennego państwa i zabezpieczenie obywateli jest w myśl tradycji właściwie tym samym. Utrata życia i utrata państwa to jakby dwa wymiary najwyższego politycznego zła, a bezpieczne prosperowanie jednostki i szczęście ojczyzny to nieodłącznie sprzężone ze sobą najwyższe dobra. Dlatego jednostka musi służyć całości jako dobry, zaangażowany w sprawy wspólne obywatel, a władza (rząd) ma wszelkimi środkami bronić swej suwerenności.

Paradoksalnie więc ganiony w przypadku pojedynczego człowieka egoizm w przypadku państwa jest, co do zasady, uprawniony. Dobre zaś ułożenie relacji między obywatelami i rządem (bądź monarchą) powinno polegać na reprezentowaniu i służbie. Sprawujący władzę są na służbie narodu (ogółu obywateli) i mają za zadanie kierować się jego dobrem (z respektem dla ich praw i swobód). O ile zaś władza jest demokratyczna, o tyle służąc narodowi, powinna odzwierciedlać w swojej strukturze i w swojej działalności poszczególne jego odłamy. Ten niemalże uniwersalny schemat służy retoryce politycznej demokratów, populistów, liberałów, konserwatystów, słowem – niemal wszystkich, którzy pałętają się po politycznej scenie w poszukiwaniu zarobku, sławy i władzy. Odnajdziemy go nawet u najpaskudniejszych dyktatorów.

> Więź polityczna rodzi się z dwóch wielkich rozkoszy: pogardzania kimś gorszym i podziwu wobec kogoś wyżej postawionego.

Niestety, wszystko to bajki. Co gorsza, ludzie nie tylko nie wierzą w mit zaangażowanego w dobro wspólne obywatela, we władzę jako służbę i w reprezentację jako sposób na sprawiedliwą równowagę między interesem partykularnym a narodowym, ale w ogóle tych idei nie znają. Owszem, dociera do nich przesłanie o suwerenności jako wartości nadrzędnej, usprawiedliwiającej wszelkie środki w jej obronie, lecz doprawdy niewiele ponad to. Retoryka chwały państwa, używana solidarnie przez autokratów i demokratów, spotyka się z aprobatą i zjednuje poparcie wykorzystującym ją politykom wtedy, gdy koduje w sobie emocje, na których opiera się realna polityka.

Od dawna już nie zajmuję się tzw. filozofią polityki. Podszedłszy bowiem niegdyś nieco za blisko polityki i polityków, zrozumiałem coś, czego wcześniej nie wiedziałem, a mianowicie, że fałszywa jest alternatywa szlachetnego idealizmu i cynicznego machiawelizmu. Polityka nie polega na realizowaniu ideałów na przekór demagogom i despotom. To jest wtórne. „Polityczność" to nie żadna tam współpraca na gruncie prawa i instytucji, nie żadna tam walka dobra (szlachetnych ideałów) ze złem (żądzą władzy i pieniądza), lecz niekończąca się teatralizacja emocji odpowiedzialnych za więź społeczną bądź za więzi tej rozpad.

Więź polityczna to taka więź społeczna, która rodzi się z uzgodnienia dwóch wielkich namiętności, dwóch form rozkoszy: pogardzania kimś gorszym i uniżonego podziwu wobec kogoś wyżej postawionego. Kto umie zarządzać tymi emocjami, wplatając je w porywający dramat, we własnej reżyserii odgrywany na politycznej scenie, ten zyskuje podziw i w konsekwencji władzę. Taki „lider" może nas obronić przed pogardzanymi, gdy nam zagrażają, albo odizolować ich od nas, gdy rzucają się w oczy – ważne, aby nasza pogarda przybrała postać trwałego poczucia sprawiedliwego górowania nad innymi.

Porywcza, niestabilna pogarda ma się zamienić w spokojną i roztropną dumę. I o to właśnie – o ustabilizowanie wzgardliwego narcyzmu – chodzi w polityce. Sposobów jest wiele – autorytarnych i demokratycznych – ale cel zawsze ten sam. Jeśli polityk nakarmi narcystyczne dziecko swego narodu, będzie rządził. I to pomimo biedy i wojny. Naród mogący przeżywać emocje uwielbienia, uwznioślenia, a także gniewu i pogardy, przemienionych w protekcjonalną wspaniałomyślność, jest politycznie spełniony i szczęśliwy. Reszta to dekoracje.

Naród zorganizowany w państwo jest zbiorowym podmiotem własnej chwały. Niezależnie od tego, czy czerpie swą dumę z demokratycznej konstytucji, czy z oddawania czci ubóstwionemu władcy, jego polityczne życie zawsze polega na „regulowaniu emocji". Wielkie ideały kultury demokratycznej są słuszne i ważne, lecz nie o te ideały w istocie chodzi w polityce. Są jedynie instrumentami, a najczęściej zaledwie woalem, za którym kotłują się brzydkie uczucia. Jaka szkoda, że ich znawcami najczęściej bywają szpetne charaktery.

JAN HARTMAN

eprasa.pl 7b9ca5e5e4



Czy Tusk przekombinował

Po tym, jak Morawiecki i członkowie jego stowarzyszenia zostali wyrzuceni z PiS, a zaraz potem zostali z niego niewyrzuceni, trudno powiedzieć, czy są członkami partii. Zadecydowanie o niewyrzucaniu ich po podjęciu decyzji o wyrzuceniu świadczy o elastycznym podejściu do czasu, który, jak widać, nie jest dla władz PiS problemem, nawet gdy biegnie do tyłu. Dla zwolenników Jarosława Kaczyńskiego to tylko potwierdzenie, że jego przywództwo przezwycięża czas, na skutek czego czas, w którym miałby nastąpić kres tego przywództwa, wciąż się oddala.

Mimo ujawnienia przez Jacka Kurskiego, że Morawiecki, będąc pisowskim premierem, działał na szkodę PiS, chcę jasno powiedzieć, że oskarżanie Donalda Tuska o to, że doprowadził do wyboru swojego byłego doradcy na premiera, żeby za jego pośrednictwem rządzić Polską, będąc w opozycji i udając, że rządzi Kaczyński, uważam za krzywdzące. Tusk bywa bezwzględny, ale nawet jego bezwzględność ma granice. Nie zmienia to faktu, że po tych rewelacjach sytuacja w PiS tak się skomplikowała, że rozumieją ją tylko osoby o umysłowości Kurskiego i Maciarewicza. Bo osiągnięcia Morawieckiego, jakie były, takie były, niestety okazuje się, że nie były to osiągnięcia PiS, tylko Niemiec, które omotały Tuska, który omotał Kaczyńskiego, który myślał, że Morawiecki pracuje dla niego.

Na usta ciśnie się pytanie: czy Morawiecki jako premier realizował interesy Tuska działającego w interesie Niemiec, czy interesy Kaczyńskiego myślącego, że Morawiecki jest częścią jego planu (który faktycznie był planem Tuska)? Czy Morawiecki miał świadomość, że działa na zlecenie Tuska działającego na zlecenie Niemiec? Może uważał, że działa zupełnie samodzielnie, ogrywając i Kaczyńskiego (sądzącego, że ogrywa Tuska poprzez podebranie mu jego doradcy), i Tuska (przekonanego, że podsunął Morawieckiego Kaczyńskiemu).

Po tych oskarżeniach dla „maślarzy" jasne jest, że niepowstanie fabryki polskich elektryków, niewybudowanie100 tys. tanich mieszkań, nierozpoczęcie budowy CPK, a także fiasko wyborów kopertowych były częścią planu, który Morawiecki realizował na zlecenie Tuska. Ale jeśli tak było, to według mnie Morawiecki, mimo talentów organizacyjnych, sam by temu zadaniu nie podołał, dlatego Tusk musiał mieć w PiS więcej swoich byłych doradców i pomagierów.

Na pytanie, czy upadek rządu Morawieckiego to porażka Tuska, czy Kaczyńskiego, odpowiedź zna tylko Jacek Kurski. Według mnie wygrał Kaczyński, choć myślał, że przegrał. A Tusk przekombinował, doprowadzając do obalenia rządu swojego byłego doradcy i samemu zajmując jego miejsce, co – jak dziś widzimy – było pułapką, której konsekwencje od trzech lat ponosi.

GALERIA POLITYKI



ISKRA, ZNANY JAKO AUTOR „SMUTNYCH HISTORII SPISANYCH NA KACU I TANIM PAPIERZE"

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA
tel. 22 451-61-33, 451-61-34
e-mail: polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY
Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00

CZŁONKOWIE ZARZĄDU
Mariusz Janicki (*Wiceprezes, Pierwszy Zastępca Redaktora Naczelnego*), Bartek Chaciński (*Zastępca Redaktora Naczelnego*), Katarzyna Białek (*Dyrektor Zarządzający*)

Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO TYGODNIKA POLITYKA
Witold Pawłowski

SEKRETARZ REDAKCJI
Artur Podgórski *tel. 22 451-60-22, 22 451-61-84*

BIURO REKLAMY, KAMPANII I PROJEKTÓW SPECJALNYCH
Izabela Kowalczyk-Dudek *(Dyrektor)*
tel. 22 451-61-45, e-mail: reklama@polityka.pl
ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ REDAKCJA PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚĆ W GRANICACH WSKAZANYCH W UST. 2 ART. 42 USTAWY PRAWO PRASOWE

PION WYDAWNICZY
Piotr Zmelonek *(Dyrektor) 22 451-61-85*
PION CYFROWY
Joanna Chmielecka *(Dyrektor) 67 210-86-30*
ADMINISTRACJA
Jadwiga Kucharczyk *(Dyrektor)*

SERWIS INTERNETOWY polityka.pl
REDAKTOR NACZELNA
Aleksandra Żelazińska
Aktualne teksty i komentarze autorów Polityki - siedem dni w tygodniu, bieżące wydania Polityki, podkasty i wideokasty oraz wiele więcej.

NEWSLETTERY POLITYKI
polityka.pl/newslettery

MEDIA SPOŁECZNOŚCIOWE
facebook.com/TygodnikPolityka
Instagram: @tygodnikpolityka
X (dawniej Twitter): @Polityka_pl
LinkedIn: linkedin.com/company/polityka

PRENUMERATA PAPIEROWA
sklep.polityka.pl
tel. 22 336-75-80
e-mail: prenumerata@polityka.pl
Cena rocznej prenumeraty (52 wydania) – 679 zł

SUBSKRYPCJA CYFROWA
polityka.pl/cyfrowa
tel. 22 336-79-16
e-mail: cyfrowa@polityka.pl
Cena rocznej subskrypcji – 299 zł

PORTAL POPULARNONAUKOWY projektpulsar.pl
REDAKTORKA NACZELNA
Katarzyna Czarnecka
Codzienny serwis popularnonaukowy, bieżące wydania miesięczników WIEDZA I ŻYCIE oraz ŚWIATA NAUKI/SCIENTIFIC AMERICAN, podkasty i wideokasty poświęcone nauce.

Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA
Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

Przedruki: Justyna Sadowska
tel. 22 451-61-50
e-mail: przedruki@polityka.pl

DRUK P/mint

eprasa.pl 7b9ca5e5e4

O Janinie Paradowskiej wspomnienie polonistyczne





Do wspomnień o Janinie Paradowskiej chciałbym dołączyć jeszcze jedno – raczej zapomniane – a dotyczące jej polonistycznych studiów na Uniwersytecie Jagiellońskim. Był to początek lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku. Pracowałem wówczas jako asystent na uniwersyteckiej filologii polskiej i prowadziłem ćwiczenia z historii literatury i poetyki. I nagle, niespodziewanie, zaskoczył mnie przydział grupy studenckiej po starszym koledze, który odmówił jej dalszego prowadzenia. Uważał, że jest to grupa niezdyscyplinowana, mająca własne oryginalne pomysły, natomiast nie przygotowana do ścisłych odpowiedzi na zadawane pytania z lektur; słowem grupa bezczelna, nieodpowiadająca ustalonym ćwiczeniowym schematom. Zasługująca na rozwiązanie. Jednak moi polonistyczni zwierzchnicy postanowili inaczej i teraz ta „okropna" grupa przypadła mnie.

Nie bardzo wiedziałem, o co chodzi, ale już na pierwszych zajęciach zostałem zaskoczony. Ten niewielki zespół studencki okazał się i aktywny, i sympatyczny. Pomysłowy w interpretacjach i samodzielny w myśleniu. Słowem daleki od wszelkich stereotypów. Pojawiło się więc pytanie, dlaczego mój poprzednik sądził inaczej? Otóż – jak się później okazało – wynikało to z osobowości mego starszego o kilkanaście lat kolegi, bardziej miłośnika niż badacza romantyzmu, który nie mógł „zarazić" młodych ludzi swoją emocjonalnością. Było w nim coś z gombrowiczowskiego Pimki. Tym bardziej iż reagował po belfersku, nakazując niepokornym „za karę" składać kwiaty na wawelskim grobowcu Słowackiego, który jak wiadomo „wielkim poetą był". I dlatego śmieszył i chyba dziwił.

I z taką studencką grupą przyszło mi się przez przypadek spotkać. A była to grupa na swój sposób niezwykła, niesłychanie aktywna i pomysłowa. Daleka od wszelkich stereotypów, ciekawa lektur i odczytująca je niebanalnie, a jej zbiorowy iloraz inteligencji znacznie wykraczał poza normy, do których się przywykło. I dlatego prowadzenie zespołu stawało się przyjemnością, a nie belferską udręką. Nie był to jeszcze czas, kiedy zajęcia należało opisywać w wielostronicowych sylabusach, przewidując cele kształcenia i jego skutki. Wystarczył krótki konspekt, od którego możliwe były odstępstwa. Tej grupie wystarczyło podrzucić temat lektury i jakieś główne kwestie – a zajęcia toczyły się same. Dyskutowano i spierano się zajadle. Pod ich „presją" więcej uwagi niż „klasyce" poświęcaliśmy na poetyce Czechowiczowi i Leśmianowi, a na ćwiczeniach z literatury Gombrowiczowi i Mrożkowi. W tle zaś mieliśmy niedawne krakowskie wystawienie w Teatrze 38 „Czekając na Godota" Samuela Becketta w reżyserii Waldemara Krygiera.

Dodajmy, że nie była to typowa „nauczycielska" polonistyczna grupa; jej profil okazał się przede wszystkim „dziennikarski". Znalazł się w niej starszy o kilka lat od swoich kolegów, pełen pasji i zaciekły dyskutant Maciek Szumowski, obok niego także znany później w środowisku publicystów krakowskich Leszek Mazan oraz jeszcze kilku dziennikarzy prasy lokalnej. Mimo ich dominacji wyróżniali się też intelektualnie i inni członkowie grupy. Niektórzy z nich zrobili karierę naukową, inni znaleźli się w ważnych instytucjach kultury, a i ci, których wchłonęła szkoła, byli nauczycielami niebanalnymi i nowatorskimi. Słowem była to grupa na swój sposób niezwykła.

I w takiej właśnie, niepokornej grupie studenckiej znalazła się Janina Paradowska, zapewne również zbuntowana przeciwko staroświeckim metodom asystenta prowadzącego zajęcia, ale również w pewien sposób zdystansowana wobec „rozbrykanych" kolegów. Na tym tle Janina Paradowska wyróżniała się dojrzałością, elegancją i opanowaniem. Była „prymuską", ale nie „pierwszą uczennicą". Zawsze świetnie przygotowana, oczytana w literaturze znacznie przekraczającej „spisy lektur", ale zarazem już wówczas można było zauważyć, iż jej sposób interpretacji nie mieścił się w normach zwykłych wymagań „polonistycznej edukacji". Nie wdawała się jednak w efektowne (jak np. Maciej Szumowski) spory i dyskusje. Jak mówiła w którymś ze swoich wywiadów: „Ja nigdy nie lubiłam chodzić w stadzie". Ale to „stado", na które składało się kilka wybitnych indywidualności, tworzyło atmosferę intelektualnego fermentu. Może to przesada, ale w tym małym studenckim środowisku mogła kiełkować jej późniejsza publicystyka.

Niestety nie zachowały się pisane wówczas prace roczne, ale – jak sobie przypominam – miała świetne pióro i niebanalne spostrzeżenia. Z rozmów wynikało, że nie interesuje jej kariera uniwersytecka (a zapewne łatwo mogłaby zostać asystentką na krakowskiej polonistyce), ale raczej krytyka czy właśnie dziennikarstwo. I dlatego – Krakowianka z urodzenia – opuściła wcześnie to miasto. Z wyboru, bo jak sama mówiła: „Lubię żyć w tempie i dlatego nie mogłabym wrócić do Krakowa". Ale może właśnie to tempo nadała Jej ta niezwykła, zbuntowana przeciw schematom grupa studencka?

PROF. TADEUSZ BUJNICKI

© ARCHIWUM POLITYKI (2)

eprasa.pl 7b9ca5e5e4

TREND



Nowy eliksir młodości

Po rosole i mizerii internetową karierę robi polski kompot. Jako witaminowa bomba i niesamowite wsparcie dla jelit.

Doskonale zna go pokolenie *baby boomers*. Znają też milenialsi, jeśli tylko odwiedzali swoje babcie. Gorzej z zetkami wychowanymi na energetykach. Kompoty popadły bowiem w niełaskę wraz z ekspansją kolorowych, gazowanych i piekielnie słodkich napojów, ale szanujące się bary mleczne nadal mają je w ofercie do naleśników czy pierogów. Od kilku tygodni polskie kompoty przeżywają swoisty renesans za sprawą amerykańskich influencerek, zachwycających się na TikToku czy Instagramie tym specyficznym wywarem z truskawek, jabłek bądź wiśni. Nie tylko piją „fruit water", ale też zjadają to, co w niej pływa. Bo napój – jak przekonują – ma doskonale nawadniać, dostarczać witamin, polepszać stan skóry, włosów, jelit, usprawniać trawienie... Tym samym kompot został ogłoszony eliksirem młodości, witaminową bombą i niesamowitym wsparciem dla jelit.

To kolejne odkrycie influencerów – po rosole (miksturze na wzmocnienie organizmu), makaronie z truskawkami i śmietaną (wypromowanym przez Igę Świątek) czy swojskiej mizerii. Dlaczego tym razem padło na kompot? Diabli wiedzą.



Katarzyna Kaczorowska – dziennikarka POLITYKI; autorka m.in. reportaży historycznych „80 milionów. Historia prawdziwa" i „Archiwum Kajetana, czyli 80 milionów w rachunkach" oraz biografii Emilii Krakowskiej „Aktorzyca". W 2012 r. wybrana Dziennikarzem Roku Dolnego Śląska.

Kompot, popularny w Polsce, nie jest naszym wynalazkiem. Samo słowo jest pochodzenia francuskiego – *compote* to gęsty i bardzo słodki deser w postaci przetartych ugotowanych owoców, nie napój. Ale już łacińskie *compositus*, z którego wywodzi się francuski rzeczownik, oznacza zmieszany, wymieszany, skomponowany – czyli mieszankę przygotowywaną na zdrowie, może więc amerykańskie influencerki jakoś intuicyjnie wyczuły, o co chodzi z tym kompotem? Tak czy siak, tradycja przygotowywania owocowej „wody" ma sięgać Bizancjum; kompot znany był w kuchni staropolskiej – dojrzałe, ale niezepsute owoce gotowano w słodkiej wodzie z przyprawami. Królowały goździki i kardamon, czyli przyprawy korzenne szczególnie cenione w polskiej kuchni. Na dworze ostatniego z Piastów, Kazimierza Wielkiego, do gotowanych owoców dodawano rodzynki, nierzadko wcześniej namoczone w alkoholu. Taki kompot nazywano – ze względu na zamiłowanie monarchy do spożywania go – kompotem kazimierzowskim. W późniejszych wiekach kompot podawano po kolacji, zwykle chłodny, by wspomóc trawienie posiłku.

Dziewczyny pochylone nad miseczkami, dzbankami czy przezroczystymi kubkami z „owocową wodą", zdobywające swoimi filmikami milionowe zasięgi, pewnie nie wiedzą, że kompot wymyślono jako sposób na konserwację owoców, która pozwalała przechowywać je przez zimę. Lucyna Ćwierczakiewiczowa, autorka słynnej książki kucharskiej „365 obiadów" i mistrzyni marketingu (posyłała kosze swoich wiktuałów znanym i wpływowym Warszawiakom – na liście był m.in. Bolesław Prus), kompoty uważała za tak istotne w kuchni, że umieściła przepisy na nie w drugim rozdziale „Jedynych praktycznych przepisów wszelakich zapasów spiżarnianych oraz pieczenia ciast". W „Konserwach czyli komputach" można znaleźć przepis na kompot truskawkowy: „Na funt dojrzałych truskawek bierze się funt cukru, zrobić syrop bardzo gęsty, wrzucić obrane truskawki, potrzymać na wolnym ogniu minut 5, aż war je obejmie, a jak ostygną, wlewać w słoiki, obwiązać pęcherzem i gotować w kociołku minut 10".

W książce są też przepisy na kompoty z moreli, jagód, rajskich jabłuszek, agrestu, brzoskwiń, winogron czy z... orzechów. Ten ostatni to – jak napisała Ćwierczakiewiczowa – wyborna a zupełnie nowa konserwa: „Świeże orzechy dopiero co dojrzałe – obrać ze skóry zielonej następnie z twardej łupiny, a na koniec obciągnąć z cienkiej skórki pokrywającej sam owoc. Tak obrane orzechy ułożyć w kompotierę, zalać syropem, obwiązać pęcherzem i gotować w wodzie pół zimnej od zagotowania lub pod angielską kuchnią".

I tu zderzamy się z małym, kuchennym horrorem: ów pęcherz to naturalny pęcherz zwierzęcy, najczęściej świński lub cielęcy, który w XIX i na początku XX w. pełnił funkcję dzisiejszej folii spożywczej, papieru do pieczenia czy silikonowych nakładek na słoiki. A, i jeszcze kuchnia angielska to żeliwny piecyk. Smacznego! ■

© SHUTTERSTOCK, LESZEK ZYCH

eprasa.pl 7b9ca5e5e4

WIRAL

Bośnia i Haaland



Tego lata gwiazdy internetu są dwie: to norweski piłkarz **Erling Haaland** i... administrator konta Bośni na Instagramie. Sieć ich kocha, bo się prawie nie wylogowują. Tylko tak można wytłumaczyć nadaktywność Haalanda, który chętnie komentuje wpisy zachwyconych fanów i wciąż odcina mundialowe kupony. „Instagram jest wspaniały. Wrzucasz cokolwiek, a typ o imieniu Erling pisze ci na to: nice!" – cieszą się internauci. „Nice!" to już niemal wirtualny podpis norweskiego snajpera, autograf nowego typu. Haaland ma do siebie dystans; na swoim kanale na YouTube komponuje memy ze sobą w roli głównej. „Tak, oglądam wszystkie!", wyjaśnił.

Z Bośnią było nieco inaczej – internet nawet nie wiedział, że jej potrzebuje. Twórca konta twierdzi, że reprezentuje bośniacką społeczność, ale kim jest i jakie ma intencje – nie wiadomo. Wiadomo, że spisuje się znakomicie, żartując i uaktywniając się tam, gdzie Haaland nie zdołał jeszcze dotrzeć. Na tym cały dowcip polega: udzielają się często w tych samych miejscach. Czasem to element targu. „Jeśli Haaland skomentuje mój post, rzucę pracę i przeprowadzę się do Europy" – deklaruje ktoś. A bywa jeszcze poważniej. „Jeśli Bośnia zostawi tu komentarz, oczyszczę jej drogę do Unii Europejskiej", obiecuje Lukas Sieper, niespełna 30-letni europoseł z Niemiec. „Mądrze wydamy pieniądze", zarzeka się Bośnia wywołana do tablicy. Nawet jeśli konto jest satyryczne, to już chyba cały świat – ten wirtualny – umie wskazać Bośnię na mapie i ma ochotę ją odwiedzić (jak tam jest naprawdę, opisuje w poprzedniej POLITYCE Ziemowit Szczerek).

Pośmialiśmy się, to teraz na poważnie: nastoletni internauci oznaczają w postach swoich idoli (jak Ronaldo czy Messi) i często są zawiedzeni brakiem reakcji. Gwiazdy czy celebryci raczej się nie spoufalają, zresztą rzadko samodzielnie prowadzą konta, mają od tego menedżerów. W sieci dystans między fanem a idolem mocno się skrócił, ale to iluzoryczne więzi, jednostronne, nazywane relacjami parasocjalnymi. Bywają groźne, jeśli granice są przekraczane albo gdy ktoś próbuje nas oszukać. Pod Haalanda podszywa się już mnóstwo kont. Ten oryginalny też jest pewnie połowicznie szczęśliwy – zyskał w dwa tygodnie 20 mln fanów (łącznie ma już ponad 70), ale ciągle ktoś go błaga o komentarz i wszystkich nie zadowoli. Kolejki po autograf w sieci mają to do siebie, że się nie kończą.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

SŁOWO

Era farmera

Co ma wspólnego **Michał Kołodziejczak** z Taylor Swift? Z pozoru niewiele. Ten pierwszy to poseł na Sejm (klub KO), ta druga – globalna gwiazda muzyki rozrywkowej. Oboje są też milenialsami (niemal rówieśnikami) i małżonkami (Swift od niedawna). Na pewno też – z punktu widzenia historii Ziemi – żyją w tej samej erze: kenozoiku. Tu jednak trzeba wspomnieć o najważniejszym: oboje mają swoje ery. Taylor Swift zaliczyła już kilka różnych, o czym przypominała i w Polsce podczas trasy The Eras Tour: była era country, była popowa, była poetycka itd. Niby nic nowego, w kulturze popularnej ery (w Polsce powiedzielibyśmy raczej: epoki) zdarzały się różnym artystom. Ale Swift zrobiła z nich osobną grę wizerunkową. Kołodziejczak, dzięki umieszczanym w mediach społecznościowych sielskim obrazkom z życia na wsi pomógł na razie wylansować jedną: erę farmera. A właściwie przenieść do Polski trend *countryside era*. Czyli pokazywanie siebie na łonie wiejskiej natury, eksponowanie świeżo nabytej fascynacji naturą.



Rzecz zrobiła się u nas głośna tego lata. Choć pierwsze jaskółki mieliśmy już wiosną – gdy w maju Krzysztof Ibisz bawił się (dla potrzeb telewizji) w uprawę truskawek i komentował: „countryside era dopadła i mnie". Dziś takich wpisów znajdziemy mnóstwo: „Countryside era, beach vibes, połączenie z naturą" (z platformy X – to „beach vibes" to po polsku plażowy klimat). Albo: „Jadłam dziś ogórki i borówki, które sama uzbierałam, a nawet kopałam kartofle – czy to już moja countryside/kołodziejczak era?". Wreszcie: „Guys, countryside era mnie dopadła".

Na TikToku i Instagramie termin pojawia się co rusz, głównie w kontekście romantyzowania życia na wsi, czasem z lekką ironią. Angielskie *countryside* brzmi światowo, wpisuje się w globalny trend i pozwala nie machać polską wsią. Poseł Kołodziejczak coś o tym wie i najwyraźniej widzi w tym narzędzie polityki albo przynajmniej kreowania wizerunku. „Co wy na to? Niezłe, co?" – mówi w najnowszym filmie, oprowadzając po polu. – „Krówki. To jest prawdziwa countryside era". Dla niego pewnie będzie trwać, dla większości wczasowiczów potrwa najprawdopodobniej do jesieni.

BARTEK CHACIŃSKI

© MP (2), SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 7b9ca5e5e4



Nadziewane kwiaty cukinii

KUCHNIA

Historia mozzarelli z bawolego mleka to, jak mawiają Włosi, sacco di segreti, czyli worek tajemnic.

Istnieje kilka teorii na temat tego, kiedy włoskie bawolice i bawoły pojawiły się na Półwyspie Apenińskim. To właśnie im zawdzięczamy *mozzarella di bufala*, czyli najlepszą wersję tego sera. Są historycy, którzy wiążą ich przybycie z Długobrodymi, czyli pochodzącymi ze Skandynawii Longobardami, którzy w VI w. wkroczyli do Italii. Zdobyli Mediolan, potem Pawię, z której uczynili stolicę swojego państwa. Chwilę potem kontynuowali marsz na południe i dotarli do umbryjskiego Spoleto, gdzie pozostawili po sobie piękne świątynie. W Benewencie z kolei utworzyli niezależne księstwo. Gdyby całą tę wyczerpującą drogę pokonały z nimi bawoły, używane jako zwierzęta pociągowe, zagadka byłaby rozwiązana.

Spora grupa znawców historii jest jednak przekonana, że na terenach południowej Italii bawoły pojawiły się razem z Arabami. Zwierzęta miałyby najpierw trafić na Sycylię. Kiedy królowi Rogerowi II udało się odbić wyspę z rąk muzułmanów, powołał do życia nowe państwo, Królestwo Sycylii, obejmujące Maltę, Sycylię i południową Italię wraz z Neapolem. I to wtedy, zdaniem wielu, bawoły zawędrowały do Włoch kontynentalnych, do Kampanii.

W grę wchodzi jeszcze jedna opcja i ta zdecydowanie spodobałaby się Mussoliniemu i innym nacjonalistom. Mówi się bowiem, że włoskie bawoły mogą być rasą autochtoniczną. Na podstawie analiz część badaczy doszła do wniosku, że zwierzęta, którym zawdzięczamy mleko będące bazą do produkcji *mozzarelli di bufala*, nie mają zbyt wiele wspólnego z innymi bawołami na świecie.

Z datą powstania jednego z najsłynniejszych włoskich serów też nie jest lepiej. Pierwsza wzmianka o tymże przysmaku pochodzi z XII w. i została odnaleziona w archiwum w Kapui. Zapisano tam, że mnisi z klasztoru San Lorenzo karmili pielgrzymów kawałkiem chleba z serem zwanym *mozza*. Na pełną wersję nazwy trzeba było poczekać aż do czasów, kiedy w Rzymie zaczął gotować Bartolomeo Scappi, jeden z największych włoskich szefów kuchni. To on zanotował bowiem obecność mozzarelli na papieskim stole w XVI w., i to dokładnie pod tym określeniem.

Coś jednak o mozzarelli wiadomo na pewno. Na przykład, jak się ją robi. Otóż wytyczne są następujące. Najpierw należy mleko podgrzać; powinno osiągnąć temperaturę w przedziale między 33 a 39 st. Celsjusza. Potem dodaje się do niego nieco serwatki pozostałej po produkcji mozzarelli dzień wcześniej oraz podpuszczkę. Efektem jest mleczny skrzep. Należy go pociąć na nieduże kawałki i odstawić do odcedzenia – a serwatkę wykorzystać do wyprodukowania *ricotty di bufala*, czyli jednego z najpiękniejszych twarogów na świecie. Po kilku godzinach skrzepnięte mleko znów trzeba pokroić na kawałki, wrzucić do wielkiej miski, zalać wrzącą wodą i zacząć mieszać. Pod wpływem temperatury powstaje filatura, jednorodna, ciągliwa masa, z której można odrywać kawałki i formować kulki.

I tu doszliśmy do nazwy sera. *Mozzarella* pochodzi od słowa *mozzatura*, oznaczającego odrywanie, i czasownika *mozzare*, oznaczającego oddzielenia części od całości cięciem lub przez pociągnięcie. W wypadku mozzarelli chodzi raczej o to drugie. Po takiej dawce wiedzy pora na przepis prosto z Sycylii z mozzarellą w roli głównej. ■



Bartek Kieżun – dziennikarz, podróżnik i fotograf; prowadzi warsztaty kulinarne i organizuje kolacje degustacyjne. Jego przewodniki kulinarne po Włoszech: „Italia do zjedzenia" i „Neapol łakomym okiem", są bestsellerami. „Jerozolima do zjedzenia" otrzymała World Gourmand Cookbook Award, a „Uczta na Wawelu" – Prix de la Litterature Gastronomique. Jest zdobywcą Nagrody Magellana. Wykłada w Collegium Civitas.

Smażone kwiaty cukinii

Składniki:

(Ciasto)
- 220 ml wody
- 150 g mąki
- 3 g drożdży
- sól
- łyżeczka cukru

(Farsz)
- 300 g mozzarelli di bufala
- 12 filecików anchois
- pieprz
- sól
- starta skórka z połowy cytryny
- olej do smażenia

Wykonanie:

- Suche składniki ciasta wsypujemy do miski i dokładnie mieszamy. Wlewamy letnią wodę i znów mieszamy. Zamykamy miskę z ciastem o konsystencji jogurtu w szczelnie zawiązanym worku i odstawiamy w ciepłe miejsce na godzinę.
- Mozzarellę rwiemy na nieduże kawałki. Pozwalamy wypłynąć serwatce. Doprawiamy pieprzem i solą. Dodajemy startą skórkę i anchois w małych kawałkach. Mieszamy. Odstawiamy w zimne miejsce.
- Zaglądamy do kwiatów cukinii, upewniając się, że nikt tam nie mieszka. Usuwamy pręcik i faszerujemy każdy kwiat mozzarellą z anchois. Rozgrzewamy olej. Mieszamy rózgą kuchenną ciasto, kwiaty zanurzamy w nim najpierw z jednej strony, potem z drugiej, pilnując, by masa pokryła ewentualne pęknięcia pąków. Smażymy na złoto, osuszamy na papierowym ręczniku, solimy i szybko zjadamy, bo tylko zaraz po wyjęciu z oleju kwiaty mają chrupiącą skórkę i delikatne kremowe wnętrze.

eprasa.pl 7b9ca5e5e4



MALTA: wyspa otwarta

Przyciąga przyjemnym klimatem, zabytkami i bogatą historią. A ta ma wpływ także na dzisiejszą politykę.

Ulicami robotniczego Ħamrunu, najbardziej szorstkiej z maltańskich miejscowości, jechał rozbity samochód. Nie miał szyb ani dachu, był mocno poobijany, ale jakimś cudem był ciągle na chodzie. Na masce miał namalowane logo Partii Pracy, na drzwiach – jej wyborcze hasło: „Int Malta" („Ty, Malto"), a na bagażniku nazwisko premiera Roberta Abeli. Jechało w nim chyba z dziesięć osób. Jedna z partyjną flagą, druga z parasolem trzymanym nad kierowcą, trzecia z odpaloną racą. Ich zdjęcie szybko obiegło czołowe maltańskie portale.

W ten sposób wyborcy laburzystów 31 maja świętowali sukces swojej partii, czwarty z rzędu. „Tworzymy historię. To jest zwycięstwo dla całej Malty. Zachowujmy pozytywnego ducha narodowego" – cieszył się poprzedniego wieczora premier Abela. Jego Partia Pracy zdobyła 52 proc. głosów, pokonując głównego rywala, na którego postawiło 45 proc. rodaków. Szefowi Partii Nacjonalistycznej, zwanej także Narodową, Alexowi Borgowi przyszło uznać kolejną porażkę. „Jest nadzieja, jest światło na końcu tunelu" – nadrabiał miną. Jego zwolennicy po cichu liczą, że kiedyś na białym koniu wróci na Maltę z Brukseli szefowa Parlamentu Europejskiego Roberta Metsola i ocali prawicę.

Na razie jednak zwolennicy obu stronnictw szli do każinów, klubów partyjnych, które funkcjonują w każdym miasteczku Wysp Maltańskich (największe i zamieszkane to Malta, ze stolicą Valletą, Gozo i Comino). *Każin* jest prowadzony przez partię polityczną i zwykle łączy funkcje barowe ze społecznymi. Można się tu napić piwa albo czegoś mocniejszego, zjeść obiad, czasem pograć w bilard albo obejrzeć mecz. Otwarcie nowego klubu jest wydarzeniem na skalę kraju, zwykle uczestniczy w nim partyjny lider, co zostaje potem upamiętnione stosowną tablicą na ścianie. U nacjonalistów najczęściej wiszą symbole religijne, wystrój knajp lewicowych jest świecki.

W każinach omawia się bieżące plotki, spotyka z politykami, świętuje zwycięstwa i opłakuje porażki. Ich rytm staje się coraz bardziej monotonny. Laburzyści zgarniają pełną pulę od 2013 r., nacjonaliści wszystko przegrywają, inni się nie liczą. Tożsamości partyjne są na Malcie potężne jak nigdzie w Europie. Osobiste wybory polityczne często dziedziczy się po rodzicach. Wielu Maltańczyków broni swoich partii nawet wtedy, kiedy po cichu z jakąś ich decyzją się nie zgadza. Jedno z badań, co prawda jeszcze z 1987 r., wykazało, że co trzeci z ankietowanych wsparłby swoje ugrupowanie nawet wbrew własnym interesom. Rządząca od 13 lat Partia Pracy wyciągnęła z tego wnioski i odkryła polityczne złoto.

Laburzyści postawili na rewolucję obyczajową. Przed każdymi wyborami wrzucają do dyskusji jakiś temat



Michał Potocki – redaktor w „Dzienniku Gazecie Prawnej", pisarz, autor reportażowej książki „Malta. Święci i diabły", która ukazuje się 12 sierpnia nakładem Wydawnictwa Czarne.

© SHUTTERSTOCK (2), MP

eprasa.pl 7b9ca5e5e4

światopoglądowy. Ich wyborcy i tak ich poprą, choćby przez zaciśnięte zęby, za to wśród nacjonalistów wywołuje to ferment i wewnętrzne podziały na skrzydło bardziej postępowe i zachowawcze. Narzuca się przy tym tematy i skazuje rywala na wieczną kontrę. W tegorocznych wyborach była to eutanazja. Wcześniej w ten sposób legalizowano rozwody, zrównywano w prawach małżeństwa dwu- i jednopłciowe.

Została jeszcze aborcja, ale nawet politycy prawicy nie mają wielkich złudzeń, że kategoryczny zakaz przerywania ciąży da się na dłuższą metę obronić. „Na pytanie o to, czy aborcja pojawi się na Malcie, zwykle odpowiadam, że co dzieje się na świecie, po 20 latach trafia i do nas. Presja na nas, polityków, będzie rosła. Pojawią się te same argumenty, co w innych krajach. Ja zawsze będę przeciw, podobnie jak moja partia. Ale nie oszukujmy się. Nie wykluczam, że pewnego dnia aborcja zostanie zalegalizowana" – mówił mi w siedzibie parlamentu w Valletcie Beppe Fenech Adami, poseł Partii Nacjonalistycznej. To syn Eddiego, wieloletniego lidera ugrupowania, premiera i prezydenta, bo na Malcie polityka to często sprawa rodzinna.

Dzięki dyskusjom obyczajowym na dalszy plan schodzą pretensje, jakie do laburzystów zgłaszają także ich wyborcy. W ten sposób partia przetrwała choćby społeczny bunt, gdy okazało się, że w zabójstwo dziennikarki śledczej Daphne Caruany Galizii w 2017 r. byli zamieszani znajomi poprzedniego premiera Josepha Muscata. Caruana Galizia latami chłostała polityków za nadużycia i korupcję, a na rozplotkowanej i w sumie małomiasteczkowej Malcie, gdzie każdy każdego zna, wyciąganie brudów nie było specjalnie trudne. Ludzie zmusili wprawdzie Muscata do ustąpienia, ale zastąpił go członek jego rządu. Pod wodzą Abeli partia wygrała trzy kolejne wybory parlamentarne.

Na dalszy plan schodzą też wątpliwości co do obranego modelu rozwoju. Muscat oparł wzrost PKB na turystyce i masowym ściąganiu imigrantów. W 2025 r. liczba gości wakacyjnych przekroczyła 4 mln przy lokalnej populacji rzędu niespełna 600 tys. osób. Wśród turystów było 400 tys. Polaków. Stanowimy już trzecią największą grupę przybyszy po Brytyjczykach i Włochach. W Polsce zapanowała moda na Maltę. Wyspy przyciągają przyjemnym klimatem, bogatą historią i różnorodnymi zabytkami, wśród których są m.in. świątynie starsze niż egipskie piramidy czy **Valletta**, barokowa perła na skalę światową.

Ale jest też druga strona medalu. Gwałtowny wzrost liczby turystów napędza hotelarską patodeweloperkę, zapycha plaże, drogi i autobusy, zagraża przyrodzie. Partia Pracy, żeby obsłużyć popyt, zaczęła ściągać obcokrajowców do pracy w usługach. Od 2011 r. ich odsetek wzrósł z 5 do 31 proc. Podbiło to ceny nieruchomości i koszty życia, jednocześnie spowalniając wzrost płac. Otwarcie ksenofobicznych haseł w polityce raczej nie ma, partie skrajnej prawicy wegetują na marginesie. Ale nietrudno znaleźć Maltańczyków narzekających na powolną utratę tożsamości. Niebagatelne znaczenie ma choćby fakt, że obcokrajowcy nie uczą się maltańskiego, skoro wszędzie można się dogadać po angielsku. Autochtoni widzą, jak ich dzieci też przestawiają się na angielski, bo coraz częściej zajmują się nimi przedszkolanki spoza wysp. Żywa jest obawa, że maltański, unikalny, bo jedyny na świecie język semicki zapisywany alfabetem łacińskim, jest skazany na zagładę. „Nie lubię o tym mówić, ale sądzę, że stracimy nasz język w ciągu, powiedzmy, 50 lat" – mówił mi Trevor Żahra, najpoczytniejszy maltańskojęzyczny pisarz.

Gdyby język maltański rzeczywiście podupadł, byłby to smutny paradoks, bo nastąpiłoby to w pierwszym okresie w dziejach, gdy Maltańczycy rządzą się sami. Lokalna tożsamość rozwijała się przez setki lat pod panowaniem Arabów, Hiszpanów, joannitów, Brytyjczyków. Podejście do tych ostatnich ukształtowało podział na dwie partie. Reprezentujący klasę robotniczą laburzyści uważali, że pełna integracja z Wielką Brytanią zrówna płace w kolonii z tymi w metropolii. Wywodzący się z elit włoskojęzyczni nacjonaliści – liderem tej partii nigdy w historii nie była osoba bez studiów prawniczych – ciążyli ku Włochom. Ale gdy Benito Mussolini zaczął ciężkie bombardowania Malty, porzucili język włoski na rzecz maltańskiego i zaczęli myśleć o większej autonomii.

Z drugiej strony – Londyn powiedział laburzystom twarde „nie". Odrzucona miłość popchnęła ich do starań o pełną niepodległość i neutralność. Nacjonalistom wystarczał status Malty jako państwa Wspólnoty Narodów. Z powodu chrześcijańskiego dziedzictwa czuli się pełnoprawną częścią Europy, podczas gdy laburzyści, dowodzeni przez charyzmatycznego architekta Doma Mintoffa, identyfikowali się bardziej z regionem śródziemnomorskim i nie zapominali o semickich korzeniach. Nacjonaliści ery zimnej wojny chcieli integracji europejskiej, laburzyści woleli trzymać równy dystans do supermocarstw.



Rywalizacja obu partii nieraz przybierała krwawe formy. Pod rządami Mintoffa dochodziło do zabójstw na tle politycznym i prześladowań prawicowej opozycji. W latach 90. obie partie wymieniały się władzą. Gdy nacjonaliści składali wniosek o członkostwo we Wspólnocie Europejskiej, laburzyści go wycofywali. W końcu pod rządami prawicy Malta przeprowadziła skuteczne referendum akcesyjne i w 2004 r., razem z m.in. Polską, weszła do Unii. Partia Pracy szybko się z tym pogodziła. Maltańczycy wchodzili do UE jako najbardziej ambiwalentny z dziesięciu narodów wielkiego rozszerzenia. Dziś oceniają akcesję najbardziej entuzjastycznie ze wszystkich. Południowy klimat skłania do godzenia się z rzeczywistością. ■

eprasa.pl 7b9ca5e5e4

24/7, czyli zapraszamy na stale aktualizowane strony **polityka.pl**, na nasze blogi i podkasty

Zderzak prezesa



„Morawieckiego należało usunąć wiosną przyszłego roku. Ale Jarosław Kaczyński chyba się czegoś przestraszył" – mówi prof. Antoni Dudek w rozmowie z Karoliną Lewicką w podkaście „Temat tygodnia". Ten odcinek poświęcamy wojnom rozwodowym w PiS. Co to zmienia przed wyborami 2027? I dlaczego zdaniem prof. Dudka Morawiecki jest jak „zużyty zderzak prezesa"? Do sprawdzenia na YouTube i polityka.pl.

Młodzi się nie garną



O rejteradzie Morawieckiego rozmawiamy też **w podkaście „Polskie demo". Naszą gościnią jest dr Katarzyna Kasia, filozofka, wykładowczyni na ASP. Jeszcze bardziej niż PiS interesuje nas entuzjazm kobiet i młodzieży przed wyborami w 2023 r.** – dokąd wyparował, co czują dzisiaj? Zastanawiamy się też nad przyczynami popularności skrajnej prawicy. I wystosowujemy specjalny apel do prokuratury.

Wnioski z leja



Kolejne wtargnięcie pocisku w polską przestrzeń powietrzną komentują na polityka.pl Michał i Jacek Fiszerowie, rzeczowo wyjaśniając, dlaczego nie była to rakieta ukraińska, a decyzja, żeby jej nie zestrzeliwać, była słuszna. Z kolei Agnieszka Bryc sprawdza, co o sprawie myślą Rosjanie. Kremlowskie media wzięły na celownik zwłaszcza ministra obrony Radosława Sikorskiego. Szczegóły w naszym serwisie.

Kara za pomoc



„To opowieść o tym, że urzędnik zawinił, a przedsiębiorcę powiesili" – mówi Les Gondor, właściciel hotelu Mieszko w Gorzowie Wielkopolskim, któremu za pomaganie uchodźcom fiskus naliczył 1,5 mln zł podatku. „Czuję się jak chłopiec do bicia", mówi w rozmowie z POLITYKĄ. Mieszko nadal gości uchodźców. Od państwa nie dostaje na ten cel ani złotówki, ale nie zamierza przestać.

Bojkotować czy czytać?



Dlaczego Roman Polański opublikował swoją biografię („Nie biec! Iść!") bez większego rozgłosu, jakby w tajemnicy przed czytelnikami? **Czy Polańskiego należy bojkotować za stawiane mu od lat zarzuty? Gościem Janusza Wróblewskiego w „Kulturze na weekend" jest prof. Tadeusz Lubelski, wybitny teoretyk i historyk filmu.** W rozmowie wyjaśniamy genezę tytułowej frazy, przekonując, że Polańskiego warto, a nawet trzeba czytać.

GALERIA POLITYKI



JAN KOZA

eprasa.pl 7b9ca5e5e4

POSZERZAMY HORYZONTY



Naukowe miesięczniki POLITYKI





Sierpniowe numery już w punktach sprzedaży prasy i na sklep.polityka.pl

Prenumerata cyfrowa obu tytułów: projektpulsar.pl

Prenumerata także z bezpłatną dostawą do wybranego

InPost Paczkomat 24/7

eprasa.pl 7b9ca5e5e4

POD ZNAKIEM MENORY



W sprzedaży

108 stron

KUP TERAZ

Wydanie papierowe – w punktach sprzedaży prasy i na **sklep.polityka.pl**

Wydanie cyfrowe – subskrypcja **polityka.pl/cyfrowa**

Podkast POLITYKA o historii – **polityka.pl/podkasty**

Newsletter historyczny – **polityka.pl/newslettery**

Na sklep.polityka.pl znajdziesz ponad 60 tytułów z serii Pomocnik Historyczny

eprasa.pl 7b9ca5e5e4